



**Uuk Quality Books**

**Terry Pratchett**

Zadziwiający Maurycy i jego uczone szczury

Przekład: Dorota Malinowska-Grupińska

Tytuł oryginału: The Amazing Marice And His Educated Rodents

Prószyński i S-ka, Warszawa 2004

*Dla D'niace, za odpowiednią książkę  
w odpowiednim czasie*

## **Spis treści**

**Rozdział 1**

**Rozdział 2**

**Rozdział 3**

**Rozdział 4**

**Rozdział 5**

**Rozdział 6**

**Rozdział 7**

**Rozdział 8**

**Rozdział 9**

**Rozdział 10**

**Rozdział 11**

**Rozdział 12**

**Od autora**

## Rozdział 1

**Pewnego dnia, kiedy pan Królik był niegrzeczny, spojrzął przez płot na pole Farmera Freda. Pole pełne było świeżej zielonej sałaty. A pan Królik nie był pełen sałaty. Czuł, że to nie jest w porządku.**

„Przygoda pana Królika”

Szczury!

Polowały na psy, gryzły koty i...

Ale chodziło o coś znacznie ważniejszego. Jak powiedział zadziwiający Maurycy, to po prostu opowieść o ludziach i szczurach. A niekiedy najtrudniej określić różnicę między człowiekiem a szczurem.

Z kolei według Malicii Grim jest to opowieść o opowieściach.

Zaczęła się — w każdym razie jej część się rozpoczęła — w dyliżansie jadącym przez góry z odległego miasta na równinie.

Tego odcinka drogi woźnica zdecydowanie nie lubił. Prowadziła przez las, kręciła przez przełęcz. Pod drzewami panował głęboki mrok. Woźnicy wydawało się, że coś podąża za powozem, pozostając na granicy cienia. To kosztowało go okropnie dużo nerwów.

Ale dziś najbardziej przerażały go głosy. Słyszał je wyraźnie. Dochodziły z góry, z dachu, a tam przecież nie było nic poza workiem pocztowym i bagażem tego młodego człowieka. Z pewnością nie było tam nic na tyle dużego, by mógł schować się człowiek. Ale od czasu do czasu, bez żadnych wątpliwości, ktoś szeptał.

W powozie siedział jeden pasażer. Był to jasnowłosy chłopak czytający książkę. Czytał powoli, na głos, wodząc palcem po literach.

— Ubberwald — przeczytał.

— Überwald — poprawił go piskliwy, ale bardzo wyraźny głosik. — Kropki nad literą U oznaczają, że należy czytać ją dłuugo. Ale dobrze ci idzie.

— Uuuuuberwald?

— Istnieje coś takiego jak przesadna wymowa, chłopcze — odezwał się inny, nieco senny głos. — Ale wiesz, co jest najlepszego w Überwaldzie? Że znajduje się bardzo, bardzo daleko od Sto Lat. I równie daleko od Pseudopolis. Jest daleko od każdego miejsca, w którym komendant straży obiecał nas ugotować żywcem,

gdybyśmy się tylko znowu pojawili. I nie jest za bardzo nowoczesny. Prowadzą do niego kiepskie drogi. I żeby tam się znaleźć, trzeba pokonać góry. Ludzie niechętnie tam podróżują. Więc i wieści nie rozchodzą się zbyt szybko, rozumiesz? I najprawdopodobniej nie mają policji. Chłopcze, możemy tam zbić fortunę.

— Maurycy... — w głosie chłopca brzmiało wahanie.

— Tak, chłopcze?

— Nie myślisz, że to, co robimy, jest... no wiesz... nieuczciwe?

Przez chwilę panowała cisza.

— Jak rozumiesz słowo „nieuczciwe”?

— No, zabraliśmy ich pieniądze.

Dylizans zachybotął się na wystającym korzeniu.

— To prawda — odparł niewidoczny Maurycy — ale pytanie, które powinienes sobie zadać, brzmi: Komu tak naprawdę zabraliśmy pieniądze?

— No cóż... burmistrzowi czy przedstawicielowi rady, komuś w tym rodzaju.

— Właśnie! A to oznacza... no, co? Mówiłem ci to jakiś czas temu.

— Eee...

— To są rządowe pieniądze — powiedział cierpliwie Maurycy. — Powtórz: rządowe pieniądze.

— Rządowe pieniądze — powtórzył chłopiec posłusznie.

— No! A co rząd robi z pieniędzmi?

— Eee... oni...

— Płacą żołd żołnierzom — mówił dalej Maurycy. — Prowadzą wojny. Zabierając te pieniądze i chowając je tam, gdzie nikomu nie zrobią krzywdy, zapobiegliśmy najprawdopodobniej wielu wojnom. Gdyby o tym pomyśleli, powinni nam postawić pomnik.

— Niektóre z tych miast wyglądały całkiem biednie, Maurycy. — W głosie chłopca czaił się niepokój.

— No właśnie, dlatego nie powinno tam być wojen.

— Niebezpieczny Groszek mówi, że to... — chłopiec skupił się, poruszał ustami, jakby ćwicząc wymowę, zanim wypowiedział słowo na głos: — że to nieetyczne.

— To prawda, Maurycy — odezwał się skrzekliwy głosik. — Niebezpieczny Groszek mówi, że nie powinniśmy żyć jak oszuści.

— Posłuchaj, Śliczna, oszustwo jest ludzkie — mówił Maurycy. — Ludzie tak bardzo lubią oszukiwać się wzajemnie, że wymyślili rząd, by robił to za nich. My za te pieniądze zrobiliśmy coś naprawdę wartościowego. Dręczyła ich straszliwa plaga szczurów, zapłacili zaklinaczowi szczurów i wszystkie szczury wyszły za chłopcem z miasta, koniec plagi, każdy jest szczęśliwy, rząd został wybrany po raz kolejny przez wdzięcznych mieszkańców, uroczystościom nie ma końca. Moim zdaniem to były dobrze wydane pieniądze.

— Ale plaga była tylko dlatego, że spowodowaliśmy, by tak myśleli — odezwał się głos Ślicznej.

— No cóż, moja droga, inaczej wszystkie te rządy i rady wydałyby pieniądze na szczurołapów, prawda? Nie wiem doprawdy, czemu w ogóle to wszystko wam tłumaczę, naprawdę nie wiem...

— Tak, ale my...

Zauważyli, że powóz się zatrzymał. Z zewnątrz poprzez szum deszczu usłyszeli brzęk uprzęży, a potem tupot stóp.

— Czy jest tu jakiś czarownik? — dobiegł ich z ciemności nowy głos.

Popatrzyli na siebie w zdziwieniu.

— Nie... — odpowiedział chłopiec takim „nie”, które jednocześnie znaczyło: „A czemu pytasz?”.

— Może czarownice? — zapytał głos.

— Nie, nie ma żadnych czarownic — odpowiedział chłopiec.

— To dobrze. A może jest ciężko uzbrojony troll zatrudniony przez kampanię przewozową?

— Wątpię — tym razem odezwał się Maurycy.

Przez chwilę nie działo się nic, słychać było tylko szum deszczu.

— Co z wilkołakami? — zapytał wreszcie głos.

— A jak wyglądają? — odpowiedział pytaniem chłopiec.

— No cóż, właściwie wyglądają całkiem normalnie, do chwili kiedy wszystko im rośnie, wiesz, włosy, zęby i pazury, a wtedy rzucają się na ciebie przez okno. — Ten, kto to mówił, chyba się przedzierał przez krzaki.

— Wszyscy mamy włosy i zęby — odparł chłopiec.

— Więc jesteście wilkołakami?

— Nie.

— W porządku, w porządku. — Zapadła cisza, którą wypełniał tylko szum deszczu. — No dobrze, jeszcze wampiry — odezwał się po chwili głos. — Jest mokra noc, chyba nie chciałoby im się latać w taką noc jak dzisiaj. Czy są tam jakieś wampiry?

— Nie! — wykrzyknął chłopiec. — Jesteśmy całkiem niegroźni!

— O rany! — mruknął Maurycy, wpełzając pod siedzenie.

— Co za ulga — powiedział głos. — W dzisiejszych czasach ostrożności nigdy dosyć. Tyle przedziwnych ludzi dookoła. — W oknie pojawiła się kusza. — Pieniądze i życie. To jest transakcja typu dwa w jednym, rozumiano?

— Pieniądze są w skrzyni na górze — odpowiedział Maurycy z poziomu podłogi. Rozbójnik omiół wzrokiem wnętrze powozu.

— Kto to powiedział?

— No, ja — odparł chłopiec.

— Nie widziałem, byś poruszał ustami, dzieciaku.

— Pieniądze są na dachu. W skrzyni. Ale gdybym był na twoim miejscu, nie...

— Hm, tak właśnie podejrzewam, że ty nie — przerwał mu rozbójnik. Jego zamaskowana twarz znikła.

Chłopiec sięgnął po leżącą obok niego na siedzeniu fujarkę.

— Zagraj „Napad z bronią w ręce”, chłopcze — powiedział cicho Maurycy.

— Nie moglibyśmy po prostu oddać mu pieniędzy? — zapytała Śliczna. Ale bardzo cicho.

— To nam ludzie mają oddawać pieniądze — stanowczo stwierdził Maurycy.

Usłyszeli, jak skrzynia ciągnięta przez zbója trze o dach.

Chłopiec posłusznie wziął flet i zagrał parę nut. Teraz rozległy się różne dźwięki, najpierw skrzyp, potem głuchy łomot, odgłosy jakby bójki i krótki krzyk.

Kiedy zapanowała cisza, Maurycy wspiął się na siedzenie i wystawił głowę przez okno na ciemną, deszczową noc.

— Mądry człowiek — powiedział. — Całkiem rozsądny. Im bardziej się bronisz, tym bardziej gryzą. Skóra nawet nietknięta? Dobrze. Podejdź bliżej, chciałbym ci się przyjrzeć. Ale ostrożnie. Nie chcemy, żeby ktoś tu wpadł w panikę, prawda?

Zbójca pojawił się znowu w świetle powozowych lamp. Szedł wolno i ostrożnie,

szeroko stawiając nogi. I cicho pojękiwał.

— A, tu cię mamy — pogodnie stwierdził Maurycy. — Od razu weszły w nogawki, prawda? Typowe dla szczurów. Kiwnij tylko głową, nie chcemy przecież, żeby zaczęły gryźć, prawda? Nie wiadomo, jak by się to mogło skończyć.

Zbójca bardzo wolno skinął głową. Nagle jego oczy zwęziły się w szparki.

— Jesteś kotem? — wybełkotał. W tej samej chwili zamknął oczy i jęknął.

— Czy namawiałem cię, żebyś coś powiedział? — zapytał wesoło Maurycy. — Nie sądzę, żebym coś takiego zrobił, prawda? Woźnica uciekł, czy go zabiłeś? — Twarz rozbójnika nie wyrażała nic. — Aha, szybko się uczysz, to mi się u zbójców podoba — stwierdził Maurycy. — Możesz odpowiedzieć na to pytanie.

— Uciekł — padła szybka odpowiedź.

Maurycy odwrócił się do wnętrza powozu.

— Jak myślicie? — zapytał. — Powóz, cztery konie, prawdopodobnie jakieś wartościowe rzeczy w przesyłkach... może to być warte z tysiąc dolarów, jak nie więcej. Dzieciak dałby sobie radę z powozem. Warto spróbować?

— To jest kradzież, Maurycy — powiedziała Śliczna. Siedziała koło chłopca. Była szczurem.

— Niezupełnie kradzież — odparł Maurycy. — Raczej... znalezienie. No właśnie, możemy to oddać w zamian za nagrodę. To brzmi znacznie lepiej. I legalniej. Jak myślicie?

— Ludzie będą zadawać zbyt wiele pytań — stwierdziła Śliczna.

— Ale jeśli nie my, to ktoś inny na pewno wszystko ukradnie — jęknął Maurycy. — Jakiś złodziej. Będzie znacznie lepiej, jeśli to my weźmiemy. My nie jesteśmy złodziejami.

— Zostawimy, Maurycy — oświadczyła Śliczna.

— W takim razie ukradnijmy konia zbójcy — powiedział Maurycy, jakby noc nie mogła się porządnie skończyć, jeżeli czegoś nie ukradną. — Ukradzenie złodziejowi nie jest kradzieżą, bo się kasuje.

— Nie możemy tutaj spędzić całej nocy — tłumaczył chłopiec Ślicznej. — Ma trochę racji.

— Słusznie! — poparł go zbójca gorliwie. — Nie możecie zostać tutaj przez całą noc!

— Słusznie — powiedział chór głosików z okolic jego spodni. — Nie możemy zostać tu przez całą noc!

Maurycy westchnął i znowu wystawił głowę przez okno.

— No dobrze, oto co zrobimy. Będziesz stał nieruchomo, patrząc przed siebie, i ostrzegam, żadnych numerów, bo wystarczy jedno moje słowo...

— Nie mów — poprosił szybciutko zbójca.

— Dobrze — zgodził się Maurycy. — Bierzymy za karę twojego konia, a ty możesz sobie wziąć powóz, ponieważ to będzie kradzież, a tylko złodzieje mają prawo kraść. Czy tak będzie w porządku?

— Cokolwiek powiesz! — wykrzyknął zbójca. — Tylko proszę nic nie mów! — Stał, patrząc prosto przed siebie. Widział, jak chłopiec i kot opuszczają dylizans. Słyszał za sobą przeróżne dźwięki, kiedy brali konia. I pomyślał o mieczu. Co prawda w rozrachunku miał mu przypaść cały powóz, ale istnieje coś takiego jak duma zawodowa.

— Gotowe — doszedł go po chwili głos kota. — Odjedziemy teraz wszyscy, a ty masz przyrzec, że nie ruszysz się, aż nas nie będzie. Przyrzekasz?

— Macie moje złodziejskie słowo — powiedział zbój, powoli nachylając się w stronę miecza.

Poczuł, że spodnie przestają mu ciążyć — to opuściły je szczury. Chwilę potem usłyszał dzwonięcie upręży. Odczekał jeszcze moment, obrócił się, wyciągnął miecz i ruszył naprzód.

W każdym razie nieco naprzód. Na pewno nie wyrznąłby na ziemię jak długi, gdyby ktoś nie związał mu sznurowadeł.

Mówili, że jest zadziwiający. Zadziwiający Maurycy. Nigdy nie myślał o tym, by kogoś zadziwiać. Tak po prostu wyszło.

Że stało się coś dziwnego, zrozumiał tego dnia, kiedy zaraz po obiedzie zobaczył swoje odbicie w kałuży i pomyślał: To ja. Nigdy wcześniej nie był świadomy siebie. Oczywiście trudno było pamiętać, w jaki sposób myślał, zanim stał się zadziwiający. Jemu wydawało się, że wcześniej jego umysł był jak zupa.

A potem zdarzyło się to coś ze szczurami, które mieszkały pod śmietnikiem na skraju jego terytorium. Zdał sobie sprawę, że szczury są rozumne, kiedy skoczył na jednego i usłyszał: „Czy moglibyśmy o tym porozmawiać?”. I wtedy jego zadziwiający

umysł stwierdził, że nie należy jeść czegoś, co mówi. Przynajmniej dopóki się nie usłyszy, co to coś ma do powiedzenia.

Tym szczurem — niezwykłym szczurem — była Śliczna. Niezwykli byli też Niebezpieczny Groszek, Obwarzanek, Ciemnaopalenizna, Szynkawieprz, Przecena, Trucizna i cała reszta. Ale wtedy Maurycy już był niezwykłym kotem.

Inne koty nagle stały się, no cóż, po prostu głupie. Maurycy zaczął więc trzymać ze szczurami. Z nimi można było przynajmniej pogadać. Wszystko szło dobrze tak długo, jak długo pamiętał, żeby nie zjeść któregoś z ich kumpli.

Szczury bardzo się martwiły, dlaczego nagle stały się takie mądre. Maurycy uważał, że to strata czasu. Stało się i już. Ale szczury analizowały wte i wewte, czy przyczyna nie tkwiła w ich pożywieniu. Nawet Maurycy widział, że to nie tłumaczy, czemu on się zmienił, bo przecież on nigdy nie jadł śmieci. A z pewnością nigdy by nie zjadł niczego z tego śmietnika, wiedząc, skąd te odpadki pochodzą...

Uważał, że szczury są, uczciwie mówiąc, durne. Sprytne, to prawda, ale durne.

Maurycy przeżył na ulicach cztery lata, niewiele co pozostało mu po uszach i miał szramy na nosie, ale był mądry. Tak zadzierał nosa przy chodzeniu, że często groziła mu wywrotka. A kiedy puszył ogon, nawet ludzie omijali go z daleka. Nie miał wątpliwości, że trzeba być nie lada mądrą, by przeżyć cztery lata na ulicach, szczególnie przy tych wszystkich wałęsających się psach, gangach i — od czasu do czasu — innych zwierzętach. Jeden fałszywy ruch i stawałeś się czymś obiadem lub parą rękawiczek. Tak, naprawdę trzeba mieć łeb nie od parady. Dobrze też być bogatym. To musiał szczurom wyjaśnić. Maurycy znał miasto na wylot, a życie nauczyło go, że pieniądze są kluczem do wszystkiego.

Pewnego dnia zobaczył głupawego dzieciaka grającego na flecie i zbierającego datki, wtedy właśnie wpadł na pomysł. Zadziwiający pomysł. Nagle wszystko się połączyło. Szczury, flet, chłopak wyglądający na głupka...

— Cześć, głupku! Co byś powiedział na zabicie fortu... nie, spójrz w dół...

\* \* \*

Wstawał świt, kiedy koń zbójcy dojechał do skraju lasu. Tutaj się zatrzymał.

W dolinie płynęła rzeka, za nią widoczne były zarysy miasta.

Maurycy wygramolił się z przytroczonego do siodła saku i przeciągnął się.

Chłopak wyglądający na głupka pomógł szczurom wydostać się z drugiej torby. Spędziły podróż w niewygodnym towarzystwie pieniędzy, ale wolały to, niż jechać w jednej torbie z kotem. Były jednak zbyt grzeczne, by o tym wspomnieć.

— Jak nazywa się to miasto, chłopcze? — zapytał Maurycy, siadając na skale i spoglądając w dół. Za jego plecami szczury kolejny raz przeliczały pieniądze, układając je w stosy obok skórzanej torby. Robiły to każdego dnia. Było coś takiego w Maurycym, że — choć nie miał kieszeni — czuło się konieczność codziennego sprawdzania stanu kasy.

— Nazywa się Lśniący Zdrój — odparł chłopiec, sprawdzając w przewodniku.

— Aha... czy powinniśmy tam jechać, jeśli trzeba zejść z drogi, by się tam dostać? — zapytała Ślicznotka, odrywając się od liczenia.

— No, Zdrój nie oznacza, że trzeba zejść z drogi — wyjaśnił Maurycy. — To słowo oznacza źródło.

— Więc powinno nazywać się Lśniące Źródło, czyż nie? — zapytał Obwarzanek.

— Nie, nie, mówią Zdrój, ponieważ... — zadziwiający Maurycy zawahał się, ale tylko przez chwilę — kąpiel w tym źródle jest zdrowa, rozumiecie? To bardzo schowane miejsce. W pobliżu nie ma żadnych innych źródeł. I oni są ze swojego bardzo dumni. Pewnie nawet trzeba kupić bilet, żeby je zobaczyć.

— Czy mówisz nam prawdę, Maurycy? — zapytał Niebezpieczny Groszek. Zadał to pytanie bardzo grzecznie, ale wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę chce powiedzieć: „Ty nie mówisz prawdy, Maurycy”.

No właśnie... Niebezpieczny Groszek. Twardy orzech do zgryzienia. Maurycy myślał nieraz, że w dawnych czasach nawet by mu się nie chciało ruszyć tak małego, bladego i w ogóle wyglądającego na schorowanego szczurka. Teraz spojrzał w dół na niepozorne stworzonko o śnieżnobiałym futerku i różowych oczkach. Niebezpieczny Groszek nie mógł mu odpowiedzieć spojrzeniem, ponieważ był krótkowidzem. Oczywiście ślepotą nie jest wielkim utrudnieniem dla kogoś, kto i tak większość czasu spędza w ciemnościach i ma zmysł węchu równie silny jak wzrok, słuch i zdolność mowy złożone razem do kupy. Przynajmniej tak się Maurycemu zdawało. Groszek zawsze, w każdych warunkach odwracał się w jego stronę, kiedy kot coś mówił. To było niesamowite. Maurycy znał pewnego ślepego kota, który często nabijał sobie guza, ale Niebezpiecznemu Groszkowi nigdy się to nie zdarzało.

Przewodnikiem stada nie był Niebezpieczny Groszek, tylko Szynkawieprz — duży, groźny, okryty bliznami. Niespecjalnie mu się podobało, że tak dużo myśli, a już zupełnie nie lubił tego, że może rozmawiać z kotem. Był już dość stary, kiedy nadeszła Przemiana, jak to nazywały szczury, i powtarzał, że jest już zbyt stary, by się zmieniać. Rozmowy z Maurycem pozostawił Niebezpiecznemu Groszkowi, który urodził się tuż po Przemianie. Poza tym ten biały szczurek był sprytny. Niesamowicie sprytny. Za sprytny. Kiedy Maurycy rozmawiał z Groszkiem, musiał bardzo uważać.

— To zadziwiające, ile ja wiem — rzekł powoli Maurycy, mrużąc oczy. — Tak czy siak, miasto wygląda na miłe. Zasobne, powiedziałbym. A więc zrobimy tak...

— Hmm...

Maurycy nienawidził tego dźwięku. Jeśli istniał jakiś gorszy dźwięk od tego, który zwiastował, że Groszek zada jedno ze swoich dziwnych pytań, to tylko chrząknięcie Ślicznej. Zawsze oznaczało, że szczurzyca ma zamiar powiedzieć — bardzo cichutko — coś, co mu zepsuje humor.

— Tak? — zapytał nerwowo.

— Czy naprawdę musimy ciągle to robić? — zapytała.

— No cóż, oczywiście, że nie — odparł Maurycy. — Ja w ogóle nie muszę tutaj być. Przecież jestem kotem. Kotem o wielu zdolnościach, prawda? Mógłbym mieć całkiem spokojną pracę u jakiegoś magika. Albo na przykład u brzuchomówcy. Jest nieskończenie wiele rzeczy, które mógłbym robić, ponieważ ludzie lubią koty. Ale tylko dlatego, że jestem niesamowicie głupi i dobry, postanowiłem dopomóc bandzie szczurów, które... powiedzmy to sobie szczerze, nie stoją na pierwszym miejscu wśród ulubieńców ludzi. Teraz przypomnę ci, że niektórzy z was — tu łypnął żółtym okiem na Groszka — mieli pomysł, by wybrać się na jakąś wyspę i rozpocząć budowę czegoś w rodzaju szczurzej cywilizacji. Pomysł uważam za bardzo, bardzo... podziwu godny, ale potrzebujecie... przecież już to wam mówiłem.

— Potrzebujemy pieniędzy, Maurycy — odparł Groszek — tylko że...

— Pieniądze. Zgadza się, bo co możecie mieć za pieniądze? — rozejrzał się po szczurach. — Zaczyna się na ł — podpowiedział.

— Łodzie, Maurycy, ale...

— No a ponadto potrzebujecie narzędzi, jedzenia i oczywiście...

— Orzechy kokosowe — odezwał się nagle wyglądający na głupka chłopiec,

który siedział obok i czyścił flet.

— O, czyżby ktoś coś powiedział? — zdziwił się Maurycy. — Co wiesz na ten temat, chłopcze?

— Orzechy kokosowe bierze się z bezludnych wysp — odparł chłopiec. — Mówił mi człowiek, który je sprzedawał.

— Jak się je bierze? — zapytał Maurycy. Na gruncie orzechów kokosowych nie czuł się zbyt mocno.

— Nie wiem. Po prostu.

— No cóż, przypuszczam, że rosną na drzewach, prawda? — zapytał sarkastycznie Maurycy. — Nie mam pojęcia, jak zamierzacie sobie poradzić bez... ktoś wie bez czego? — rozejrzył się wokół. — Zaczyna się na M.

— Bez ciebie, Maurycy — odparł Groszek. — Ale posłuchaj, tak naprawdę chodzi nam o to...

— Tak? — zapytał Maurycy.

— Hmm — odchrząknęła Śliczna.

Maurycy jęknął.

— Groszkowi chodzi o to — powiedziała szcurzyca — że całe to zjedanie zboża, sera, wygryzanie dziur w ścianach — spojrzała w żółte oczy Maurycego — czy to jest moralne?

— Przecież to właśnie robią szczury! — wykrzyknął kot.

— Jednak my czujemy, że nie powinniśmy tego robić — odparł Groszek. — Powinniśmy znaleźć własny sposób na życie.

— O jejku, jejku, jejku! — Maurycy potrząsnął głową. — Wyjeżdżamy na wyspę, co? Królestwo szcurów! Ja wcale nie naśmiewam się z waszych marzeń — dodał pospiesznie. — Każdy potrzebuje marzeń. — Maurycy prawdziwie w to wierzył. Jeśli się wie, czego inni naprawdę, ale tak naprawdę pragną, można nimi pokierować.

Czasami zastanawiał się, czego pragnie chłopiec wyglądający na głupka. Na ile on mógł to ocenić, tylko tego, by mu pozwolono grać na flecie i zostawiono w spokoju. Ale... to było tak jak z orzechami kokosowymi. Od czasu do czasu chłopiec wyskakiwał z czymś, co wskazywało, że cały czas uważnie słucha. Takimi ludźmi trudno pokierować.

Ale koty dobrze wiedzą, jak kierować ludźmi. Tu miauknięcie, tam mruknięcie,

delikatne naciśnięcie łapą... Maurycy nigdy wcześniej nie musiał się nawet nad tym zastanawiać. Koty nie muszą myśleć. Muszą tylko wiedzieć, czego chcą. Myślenie jest sprawą ludzi.

Maurycy wracał z nostalgią do starych dobrych dni, zanim jego umysł zaczął buzować jak fajerwerk. Pojawiał się u drzwi uniwersytetu ze słodką minką, a kucharki starały się domyślić, czego chce. To było zadziwiające! Mówiły wtedy na przykład: „Czy kotek chce mleczka?“, „Czy kotek chce ciasteczko?“, „A może jakieś świetne resztki?“. Maurycy musiał tylko poczekać cierpliwie na znajomą nazwę, jak na przykład „nóżka indyka“ czy „siekana jagnięcina“.

Jednego był pewien — to, co jadł, nie było magią. Przecież nie istnieje coś takiego jak zaczarowane kurze podroby.

To szczury zjadły coś magicznego. Śmietnisko, które nazywały domem, a niekiedy nazywały też żarciem, znajdowało się na tyłach uniwersytetu, a przecież był to uniwersytet dla czarodziei. Ten dawny Maurycy nie zwracał specjalnie uwagi na ludzi, którzy nie mieli do czynienia z miskami, ale zdawał sobie sprawę, że mężczyźni w spiczastych kapeluszach wyprawiali dziwne rzeczy.

A teraz wiedział także, co stało się ze wszystkim, czego używali. Kiedy kończyli, wyrzucali to po prostu przez mur. Wszystkie stare i zniszczone księgi z czarami, roztopione świece i pozostałości po czerwonej bąblującej w kociołkach cieczy lądowały na śmietniku, razem z metalowymi puszkami, kartonami i kuchennymi resztkami. Oczywiście czarodzieje pisali na użytych przez siebie przedmiotach: „Niebezpieczeństwo“ lub „Uwaga! Trucizna!“, ale w tamtych czasach szczury nie potrafiły przecież czytać, za to lubiły ogarki świec.

Maurycy nigdy nie zjadł nic ze śmietnika. Stosował ponadto w życiu, dobre jego zdaniem, motto: Nie jedz nigdy niczego, co świeci.

Ale przecież on też zaczął myśleć, i to w tym samym czasie co szczury. To była prawdziwa zagadka.

Wcześniej robił to, co zawsze robiły koty. Kierował ludźmi. Teraz, oczywiście, zaczął szczury traktować jak ludzi. A ludzie to ludzie, nawet gdy mają cztery nogi i noszą tak dziwaczne imiona jak Niebezpieczny Groszek — imię, które może sobie nadać ktoś, kto nauczył się czytać, zanim zrozumiał, co tak naprawdę znaczą poszczególne słowa. Czytał wszystkie napisy na nalepkach i akurat taka nazwa mu się

spodobała.

Kłopot z myśleniem polega na tym, że jak już raz zaczniesz, nie możesz przestać. A zdaniem Maurycego szczury myślały zdecydowanie za dużo. Już sam Niebezpieczny Groszek był wystarczająco kłopotliwy, ale tak zajmowało go myślenie o kraju, który szczury stworzą gdzieś dla siebie, że Maurycy jakoś go znosił. Najgorsza była Śliczna. Metoda Maurycego, by mówić dużo i szybko, zazwyczaj wprawiająca rozmówcę w zakłopotanie, na nią nie działała w ogóle.

— Hmmm — zaczęła szczurzyca znowu — my uważamy, że to powinien być ostatni raz.

Maurycy spojrział na nią bez słowa. Pozostałe szczury cofnęły się odrobinę, ale ona zachowała spokój.

— Ostatni raz godzimy się odegrać tę głupią sztuczkę z plagą szczurów — powiedziała. — Ten jeden raz i koniec.

— Czy Szynkawieprz się z tym zgadza? — zapytał Maurycy. Kiedy Śliczna zaczynała stwarzać problemy, dobrze było odwołać się do przywódcy, ponieważ nie darzył jej zbyt dużą sympatią.

— Co masz na myśli? — zapytał Szynkawieprz Śliczną.

— Ja... sir, ja myślę, że powinniśmy zrezygnować z tej sztuczki. — Potrząsnęła nerwowo głową.

— Och, myślisz, naprawdę? — odparł Szynkawieprz. — Dzisiaj wszyscy myślą. Ja myślę, że my zbyt wiele myślimy, tak ja myślę. Kiedy byłem młody, nigdy nie myśleliśmy o myśleniu. Gdybyśmy myśleli, nigdy byśmy niczego nie zrobili.

Szynkawieprz nie lubił Maurycego. Nie lubił zresztą większości tego, co się zdarzyło po Przemianie. Prawdę mówiąc, Maurycy zastanawiał się, jak długo Szynkawieprz utrzyma się jako przywódca. Ten szczur nie lubił myśleć. Tęsknił do starych czasów, kiedy wódz szczurów musiał być duży i bitny. Teraz świat zdecydowanie przyspieszył, co wprawiało go w złość.

Nie tyle on przewodził szczurom, ile sam był popychany.

— Ja... Niebezpieczny Groszek uważa, sir, że powinniśmy gdzieś osiąść na stałe.

Maurycy spochmurniał. Szynkawieprz nie posłuchałby Ślicznej i ona dobrze o tym wiedziała, ale Niebezpieczny Groszek był w stadzie czymś w rodzaju szamana i

miał posłuch nawet u największych szcurów.

— Myślałem, że wsiądziemy na łódź i popłyniemy, by znaleźć wyspę — powiedział Szynkawieprz. — Łodzie są w sam raz dla szcurów — dodał z zadowoleniem w głosie. Kiedy jednak zaczął mówić dalej, nie brzmiało to już tak pewnie i zerkał przy tym z niepokojem na Niebezpiecznego Groszka. — A inni mówią, że potrzebujemy pieniędzy, ponieważ teraz, kiedy możemy... no, myśleć, musimy być et... etyk...

— Etyczni, sir — podpowiedział Niebezpieczny Groszek.

— Co dla mnie wcale nie brzmi szcurzo. Chociaż moja opinia najwyraźniej się dla nikogo nie liczy — dodał Szynkawieprz.

— Mamy dość pieniędzy, sir — powiedziała Śliczna. — Mamy już bardzo dużo pieniędzy. Mnóstwo pieniędzy, prawda, Maurycy? — To nie było pytanie, tylko oskarżenie.

— No cóż, jeśli mówisz: mnóstwo... — zaczął Maurycy.

— Mamy więcej, niż się spodziewaliśmy — powiedziała Śliczna, równie spokojnie jak przedtem. Była bardzo grzeczna, ale nie chciała zamilknąć i zadawała nieodpowiednie pytania. Maurycy uważał za nieodpowiednie te pytania, których on nie chciał słyszeć. Śliczna znowu odchrząknęła po swojemu. — Mówię, że mamy więcej pieniędzy, Maurycy, bo powiedziałeś, że złote monety błyszczą jak księżyc, a srebrne błyszczą jak słońce i że ty będziesz trzymał srebrne. Tylko że jest inaczej, Maurycy. To srebrne monety błyszczą jak księżyc.

Maurycy pomyślał brzydkie słowo w kocim języku, jedno z wielu brzydkich słów tego języka. Jaka korzyść z edukacji, pomyślał, jeśli ci, którzy cię słuchają, zdobywają potem więcej wiadomości i je wykorzystują?

— Tak więc myślimy, sir — mówił dalej Niebezpieczny Groszek do Szynkawieprza — że po tym razie, który już będzie ostatnim, powinniśmy podzielić pieniądze i rozstać się. Powtarzanie tej samej sztuczki staje się niebezpieczne. Należy przestać, póki jeszcze nie jest za późno. Tutaj płynie rzeka. Dostaniemy się nią do morza.

— I tam znajdziemy wyspę bezludną i bezkrllrrtkotną — dokończył zadowolony Szynkawieprz.

Maurycy nie pozwolił, by z jego mordki znikł uśmiech, choć dobrze wiedział, co

znaczy krllrrt.

— A my nie chcemy zatrzymywać Maurycego, którego czeka wspaniała przyszłość u boku magika — dodała Śliczna.

Maurycy zmrużył oczy. Przez chwilę był bliski złamania swej żelaznej zasady, że nie je niczego, co potrafi mówić.

— A ty co, dzieciaku? — zapytał chłopca wyglądającego na głupka.

— Mnie to nie obchodzi — powiedział chłopiec.

— Co cię nie obchodzi? — zapytał Maurycy.

— Właściwie nic. Przynajmniej tak długo, jak długo nikt nie przeszkadza mi grać.

— Ale musisz pomyśleć o przyszłości! — zawołał Maurycy.

— Myślę — odparł chłopiec. — W przyszłości chcę grać na flecie. Granie nic nie kosztuje. Ale może szczury mają rację. Parę razy ledwo nam się udało.

Maurycy nie był pewny, czy chłopak z niego nie kpi, ale zrezygnował z podejrzeń. No, może niezupełnie zrezygnował. Po prostu je odłożył. Przecież zawsze coś wymyśli.

— W porządku — rzekł. — Zrobimy to jeszcze tylko ten jeden ostatni raz, a potem podzielimy pieniądze na trzy części. Niech tak będzie. To żaden problem. Ale jeśli ma to być rzeczywiście ostatni raz, niech będzie pamiętny. Co wy na to? — Uśmiechnął się.

Szczury, jak to szczury, nie były zbyt zachwycone na widok uśmiechającego się kota, ale jednocześnie rozumiały, że została podjęta trudna decyzja. Odetchnęły z ulgą.

— Zgadzasz się, chłopcze? — zapytał Maurycy.

— A czy będę mógł potem grać na flecie?

— Oczywiście.

— To się zgadzam.

Pieniądze, i te lśniące jak słońce, i te lśniące jak księżyc, zostały skrupulatnie włożone do torby, którą szczury zaciągnęły w krzaki i zakopały. Nikt tak nie zakopuje pieniędzy jak szczury, a do miasta nie warto było brać gotówki.

Mieli jeszcze konia. Musiał dużo kosztować i Maurycy bardzo żałował, że muszą go puścić wolno. Ale, co podkreśliła Śliczna, koń należał do zbójcy i miał niezwykle

kunsztowne siodło i uprząż. Próba sprzedaży mogła się okazać niebezpieczna. Ludzie zaczęliby gadać. To pewnie zwróciłoby uwagę straży. A nie był to dobry moment, by pozwolić strażnikom na deptanie im po piętach.

Maurycy stanął na skraju urwiska i popatrzył na miasto budzące się w pierwszych promieniach słońca.

— Tym razem zabawimy się na całego — powiedział, kiedy szczury wróciły. — Poproszę o maksimum pisków, strojenia min do ludzi i pozostawiania odchodów, dobrze?

— Uważamy, że pozostawianie odchodów nie jest.... — zaczął Niebezpieczny Groszek, ale Śliczna odchrząknęła, więc rzekł tylko: — No cóż, jeśli to ma być ostatni raz...

— Ja sikałem na wszystko od chwili, kiedy wyszedłem z gniazda — stwierdził Szynkawieprz. — A teraz mi mówią, że to nie w porządku. Jeżeli to właśnie oznacza myślenie, jestem zadowolony, że mnie ono nie dotknęło.

— Zadziwmy ich — powiedział Maurycy. — Szczury! Jeśli ci ludzie myślą, że widzieli jakieś szczury w mieście, to teraz się naprawdę zdziwią. Będą o nas opowiadać legendy.

## Rozdział 2

### **Pan Królik ma wielu przyjaciół.**

### **Ale największym przyjacielem pana Królika jest jedzenie.**

„Przygoda pana Królika”

A więc mieli plan.

I to bardzo dobry plan. Nawet szczury, nawet Śliczna przyznała, że musi im się udać.

Wszyscy wiedzą, że zdarzają się plagi szczurów. Krążyły opowieści o zaklinaczach szczurów, którzy zarabiali na życie w ten sposób, że jeździli od miasta do miasta i pomagali pozbyć się gryzoni. Oczywiście istniały też inne plagi — na przykład trafiała się plaga akordeonistów, cegieł związanych sznurkiem czy ryb — ale o pladze szczurów słyszał każdy.

I o to właśnie chodziło. Do plagi nie potrzeba wielu szczurów, oczywiście jeśli się znają na robocie. Jeden szczur wyskakujący to tu, to tam, piszczący głośno, biorący kąpiel w świeżej śmietanie i sikający do mąki, może okazać się plagą sam w sobie.

Niesamowite, jak po kilku dniach ludzie cieszyli się na widok głupkowato wyglądającego chłopca z magicznym fletem. A wręcz z zachwytem przyglądali się wyłazającym ze wszystkich dziur szczurom, wychodzącym za nim z miasta. W takim stanie ducha ani przez chwilę się nie zastanawiali, że szczurów nie było wcale tak wiele.

Ale dopiero by się zdziwili naprawdę, gdyby kiedyś się dowiedzieli, że zaklinacz wraz ze szczurami i kotem wspólnie przeliczają pieniądze w krzakach za miastem.

\* \* \*

Lśniący Zdrój budził się właśnie, kiedy wkraczał do niego Maurycy wraz z chłopcem. Nikt ich nie niepokoił, chociaż Maurycy budził zainteresowanie. To go nie martwiło. Wiedział, że jest interesujący. Koty zawsze czują się władcami świata, a na świecie jest pełno głupkowato wyglądających chłopców i nikomu nie jest spieszno, by zobaczyć jeszcze jednego.

Przybyli w dzień targowy, ale straganów stało niedużo i sprzedawano na nich, no cóż, po prostu śmieci. Stare spodnie, stare garnki, używane buty... takie rzeczy

ludzie sprzedają, kiedy brakuje im pieniędzy.

Maurycy widział mnóstwo targowisk podczas swych podróży i wiedział, jak wyglądają.

— Powinna być gruba kobieta sprzedająca kurczaki — twierdził. — Ludzie sprzedający słodczyce dla dzieci i wstążki. Akrobaci i klauni. Nawet żonglerzy, jeśli będziemy mieli szczęście.

— Niczego takiego nie ma. Jak widać, niewiele nawet jest do kupienia — powiedział chłopiec. — Mówiłeś, że to bogate miasto, Maurycy.

— No cóż, z daleka wyglądało na zasobne — odparł kot. — W dolinie widać było żyzne pola, na rzece pełno łodzi... można by pomyśleć, że ulice będą wybrukowane złotem.

Chłopiec zadarł głowę.

— Zabawne — stwierdził.

— Co?

— Ludzie wyglądają biednie — odparł. — Ale budynki wyglądają bogato.

Maurycy nie był ekspertem od architektury, lecz widział, że drewniane budynki są ozdobione rzeźbami i pomalowane. Zauważył coś jeszcze. Niestaranny napis przybity na pobliskiej ścianie.

Napis głosił:

SZCZURZE TRUCHŁA — 50 CENTÓW OD OGONA!

ZGŁASZAĆ SIĘ DO SZCZUROŁAPA W MAGISTRACIE

Chłopiec także przyglądał się wywieszce.

— Tutaj naprawdę chcą się pozbyć swoich szczurów — zauważył pogodnie Maurycy.

— Nikt dotąd nie proponował pół dolara za jeden ogon — rzekł chłopiec.

— Mówiłem, że tym razem to będzie naprawdę coś — ucieszył się Maurycy. — Przed końcem tygodnia będziemy siedzieć na stosie złota.

— Co to jest magistrat? — zapytał chłopiec. — Czy ma coś wspólnego z magią? I dlaczego wszyscy na ciebie patrzą?

— Jestem dość przystojnym kotem — odparł Maurycy. Ale nawet jemu zainteresowanie, które budził, wydawało się nieco dziwne. Ludzie tręcali się łokciami, patrząc na niego znacząco. — Czyżby nigdy nie widzieli kota? — mruknął, patrząc na

potężny budynek po drugiej stronie ulicy. Budowla była duża, na planie kwadratu, otoczona ludźmi, a wielki napis głosił: Magistrat. — Magistrat jest po prostu miejscowym słowem na... urząd miasta.

— Znasz bardzo wiele słów, Maurycy — powiedział z podziwem chłopiec.

— Sam siebie czasami zadziwiam — odrzekł Maurycy.

Przed otwartymi na oścież drzwiami stała kolejka. Inni ludzie, którzy najwyraźniej mieli już za sobą to, na co pozostali jeszcze czekali, pojawiali się w innych drzwiach pojedynczo lub parami. Wynosili bochenki chleba.

— Czy my także powinniśmy stanąć w kolejce? — zapytał chłopiec.

— Nie sądzę — odparł ostrożnie Maurycy.

— Dlaczego nie?

— Widzisz tych mężczyzn w drzwiach? To strażnicy. Mają duże gumowe pałki. I każdy, kto przechodzi, pokazuje im jakiś papier. Nie podoba mi się, jak to wygląda — powiedział Maurycy. — A wygląda mi to na rząd.

— Nie zrobiliśmy nic złego — tłumaczył chłopak. — W każdym razie nie tutaj.

— Z rządem nigdy nic nie wiadomo. Po prostu usiądź. A ja się rozejrzę.

Ludzie gapili się na Maurycego, który wmaszerował do budynku, lecz to normalne, że w mieście oblężonym przez szczury koty są w poważaniu. Jakiś człowiek próbował go podnieść, ale zrezygnował, kiedy Maurycy pokazał pazury.

Kolejka skręcała do dużej sali, gdzie przechodziła przed blatem opartym na kozłach. Tutaj każdy wyciągał kawałek papieru, by pokazać go dwóm siedzącym za wielką tacą z chlebem kobietom, i wtedy dostawał swój przydział. Potem kolejka przesuwała się do mężczyzny nad kadzią z kiełbaskami, której dawano odpowiednio mniej niż chleba.

Przyglądał się temu burmistrz, od czasu do czasu rzucając jakąś uwagę do osób wydających jedzenie. Maurycy rozpoznał go od razu po wielkim złotym łańcuchu na piersi. Od czasu gdy zaczął współpracować ze szczurami, widział wielu burmistrzów. Ten jednak się wyróżniał. Miał zmartwioną twarz i sporą łysinę, którą starał się przykryć trzema pasmami włosów. Był niższy i znacznie chudszy niż burmistrze, jakich Maurycy widział wcześniej. Nie wyglądał na człowieka, którego życie rozpieszczało.

A więc nie ma tu wiele jedzenia, pomyślał Maurycy. Muszą je wydzielać w racjach. Najwyraźniej bardzo potrzebują zaklinacza szczurów. Co za szczęście, że

przybyliśmy na czas...

Wyszedł na dwór, przyspieszając kroku, ponieważ usłyszał melodię graną na flecie. Tak jak się obawiał, to grał jego dzieciak. Położył przed sobą czapkę i nawet leżało już w niej kilka monet. Kolejka zakręciła, by więcej ludzi mogło słuchać, a kilkoro dzieci nawet tańczyło.

Maurycy był ekspertem jedynie od kociej muzyki, która polega na staniu na kilka centymetrów od drugiego kota i darciu się wniebogłosy. Ludzka muzyka zawsze wydawała mu się jakaś cienka, rozwodniona. Ale kiedy ten dzieciak grał, ludzie zawsze przytupywali. I uśmiechali się.

Maurycy odczekał do końca melodii. Kiedy kolejka klaskała, on usiadł za chłopcem, oparł się o niego i wysyczał:

— Świetna robota, ptasi mózdzku. Mieliśmy być zakonspirowani! Teraz bierz pieniądze i zmykamy.

Szli przez plac, gdy kot zatrzymał się tak nagle, że chłopiec o mało co na niego nie wpadł.

— Ups, mamy kolejnych urzędasów — mruknął. — I wiemy, co to za jedni...

Chłopiec też wiedział. To były dwa szczurołapy. Każdy miał na sobie długi zakurzony płaszcz i zniszczony czarny cylinder, charakterystyczne dla tej profesji. Każdy trzymał na ramieniu kij, z którego zwisały różnego rodzaju pułapki, a na drugim ramieniu niósł wór, do którego nikt nie chciałby zaglądać. Każdy też prowadził na smyczy teriera. Psy były wychudzone i aż się rwały do roboty. Kiedy przeciągano je koło Maurycego — warczały.

Kolejka na widok szczurołapów znacznie się ożywiła, a kiedy obaj sięgnęli do worków i wyciągnęli garść czegoś, co dla Maurycego wyglądało jak czarne sznurki, dostali nawet brawa.

— Dwie setki dzisiaj! — wykrzykiwali.

Jeden z terierów próbował się rzucić na Maurycego, szarpiąc smycz z całej siły. Kot nawet nie drgnął. Prawdopodobnie tylko chłopiec wyglądający na głupka usłyszał jego szept:

— Do nogi, worku na pchły! Niedobry pies!

Terier wykrzywił mordę w grymasie ogromnego zmartwienia. Wiedział, że koty nie potrafią mówić, i wiedział, że ten kot właśnie się odezwał. To był poważny problem.

Pies usiadł i zawył.

Maurycy mył się. Dla psa nie ma większej zniewagi.

Szczurołap niezadowolony, że jego pies wyszedł na tchórza, pociągnął za smycz. Przy okazji upuścił czarne sznurki.

— Szczurze ogony! — stwierdził chłopiec. — Naprawdę muszą tu mieć problem.

— Większy niż myślisz — powiedział Maurycy, wpatrując się w pęk ogonków. — Podnieś je, kiedy nikt nie będzie widział, dobrze?

Chłopiec poczekał i gdy ludzie się odwrócili, schylił się i już miał chwycić ogony, lecz nadepnął na nie duży, czarny lśniący but.

— Nie chcesz ich chyba dotykać, młody człowieku — odezwał się z góry głos. — Wiesz przecież, że szczury są nosicielami zarazy. Ludziom eksplodują od tego nogi. — To był jeden ze szczurołapów. Śmierdziało od niego piwem. Uśmiechał się szeroko do chłopca, ale nie był to wesoły uśmiech.

— Zgadza się, młody człowieku, a potem mózg wycieka ci nosem — dokończył drugi, zachodząc chłopca od tyłu. — Kiedy dopadnie ci zaraza, nie będziesz mógł użyć chusteczki.

— Mój kumpel jak zwykle trafił w sedno — rzekł pierwszy szczurołap, zionąc w twarz chłopca nieświeżym oddechem.

— A jeszcze potem — mówił szczurołap numer dwa — zaraza spowoduje, że odpadną ci palce...

— Wam nogi nie odpadły — zauważył chłopiec.

Maurycy jęknął w duchu. To nigdy nie jest dobry pomysł sprzeciwiać się zapachowi piwa. Lecz szczurołapy, choć wydawało się to prawie nieprawdopodobne, uznały odpowiedź za zabawną.

— Dobrze powiedziane, młody człowieku, ale tak jest, ponieważ pierwsza lekcja w Gildii Szczurołapów mówi, jak zrobić, żeby nogi nie eksplodowały — powiedział szczurołap numer jeden.

— Co jest o tyle dobre, że druga lekcja odbywa się na piętrze — dodał numer dwa.

Pierwszy szczurołap sięgnął po wiązkę szczurzych ogonków. Jego uśmiech zbladł, kiedy spojrzał na chłopca.

— Czy ja cię gdzieś nie widziałem już, mały? Dobrze ci radzę, miej czysty nos i

nie mów nic nikomu o niczym. Ani słowa. Zrozumiano?

Chłopak otworzył usta, żeby odpowiedzieć, i jeszcze szybciej je zamknął.

Szczurołap numer jeden uśmiechnął się swym przerażającym uśmiechem.

— Szybko łapiesz, młody człowieku — stwierdził. — Może jeszcze się spotkamy.

— Założę się, że chcesz być szczurołapem, kiedy dorośniesz — dodał numer dwa, poklepując chłopca zbyt mocno po ramieniu.

Chłopiec przytaknął. Najwyraźniej to powinien zrobić. Pierwszy szczurołap pochylił się tak, że jego czerwony, pokryty krostami nos znalazł się na wysokości twarzy chłopca.

— Jeżeli dorośniesz, młody człowieku — powiedział.

Szczurołapy odeszły, ciągnąc za sobą psy. Jeden z terierów nie spuszczał oka z Maurycego.

— Bardzo niezwykłych szczurołapów mają w tej okolicy — stwierdził kot.

— Nigdy wcześniej takich nie widziałem — dodał chłopiec. — Wyglądają nieprzyjemnie. Jakby lubili to, co robią.

— A ja jeszcze nie widziałem zapracowanych szczurołapów, którzy mieliby czyste buty — zauważył Maurycy.

— Prawda... — zamyślił się chłopiec.

— Ale nawet to nie jest tak dziwne jak tutejsze szczury — mówił dalej Maurycy spokojnie, odmierzając słowa, jakby przeliczał pieniądze.

— Co jest takiego dziwnego ze szczurami? — zapytał chłopiec.

— Niektóre z nich mają bardzo dziwne ogony — powiedział Maurycy.

Chłopiec rozejrzał się po placu. Kolejka po chleb wcale się nie zmniejszała, co go irytowało. Poza tym miał dziwne wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

— Znajdźmy szczury i wyośmy się stąd — zaproponował.

— O nie, czuję, że to miasto daje wiele możliwości — powiedział Maurycy. — Tutaj coś się dzieje, a jeśli coś się dzieje, to ktoś robi na tym pieniądze, a jeśli ktoś robi pieniądze, to dlaczego nie moglibyśmy to być my?...

— Tak, ale nie chcemy, by ci ludzie zabili Niebezpiecznego Groszka ani całej reszty!

— Szczury nie dadzą się złapać — powiedział Maurycy. — Ci faceci nie wygraliby konkursu na inteligencję. Powiedziałbym, że nawet Szynekawieprz potrafiłby ich zrobić

w konia. A Niebezpiecznemu Groszkowi mózg się uszami wylewa.

— Mam nadzieję.

— Tak, tak — kontynuował Maurycy, który zazwyczaj mówił ludziom to, co chcieli właśnie usłyszeć. — Chodzi mi o to, że nasze szczury są mądrzejsze od ludzi, prawda? Pamiętasz, jak Sardynki wpadł w Scrote do kociołka i rzucał truskawkami w staruszkę, która podniosła przykrywkę? Ha, nawet zwyczajny szczur potrafi przechytryć człowieka. Ludzie myślą, że tylko dlatego, że są więksi, są od razu lepsi... Poczekaj, chyba powinienem się zamknąć, ktoś nas obserwuje...

Mężczyzna z koszykiem idący od strony ratusza przystanął i z dużym zainteresowaniem przyglądał się Maurycemu. Potem przeniósł wzrok na chłopca i powiedział:

— Dobry na szczury, co? Taki duży kot. Jest twój, chłopcze?

— Powiedz, że tak — wyszeptał Maurycy.

— Można powiedzieć, że... no tak — powtórzył chłopiec i wziął Maurycego na rękę.

— Dam ci za niego pięć dolarów — zaproponował mężczyzna.

— Załadaj dziesięć — wysyczał Maurycy.

— On nie jest na sprzedaż — odparł chłopiec.

— Idiota! — parsknął Maurycy.

— Dam ci siedem dolarów — zaproponował mężczyzna. — Albo lepiej... dostaniesz cztery całe bochenki chleba, co ty na to?

— To głupie. Bochenek chleba nie powinien kosztować więcej niż dwadzieścia pensów — powiedział chłopiec.

Mężczyzna rzucił mu dziwne spojrzenie.

— Jesteś tu od niedawna? I masz mnóstwo pieniędzy?

— Wystarczająco — odparł chłopiec.

— Tak myślisz? Nic z nimi nie zrobisz. Posłuchaj, cztery bochenki chleba i słodka bułeczka z rodzynkami. Za dziesięć bochenków mogę mieć teriera, a one dostają szalu na widok szczurów... co? No, kiedy będziesz głodny, oddasz go za pół kromki chleba z omastą<sup>[1]</sup> i jeszcze będziesz uważał, że zrobiłeś dobry interes, wierz mi.

Odszedł. Maurycy wyrwał się spod ramienia chłopca i miękko wylądował na bruku.

— Naprawdę, gdybym tylko był dobrym brzuchomówcą, zbilibyśmy fortunę — mruknął.

— Brzuchomówcą? — powtórzył z pytaniem w głosie chłopiec, patrząc, jak mężczyzna zawraca.

— Ty otwierasz i zamykasz usta, a ja mówię — wyjaśnił Maurycy. — Dlaczego mnie nie sprzedasz? Będę z powrotem za dziesięć minut! Słyszałem historię o facecie, który zarobił krocie, sprzedając gołębnie pocztowe, a miał tylko jednego, który zawsze wracał do domu!

— Nie uważasz, że coś jest nie tak w mieście, gdzie ludzie płacą więcej niż dolara za bochenek chleba? — zapytał chłopiec. — A pół dolara za sam szczurzy ogon?

— Nie interesuje mnie to, dopóki mają pieniądze, żeby zapłacić tobie — odparł Maurycy. — Szczęśliwy traf, że tutaj już zaczęła się plaga szczurów, nie sądzisz? Szybko, poklep mnie po głowie, jakaś dziewczynka na nas patrzy.

Chłopiec podniósł wzrok. Dziewczynka rzeczywiście im się przyglądała. Ludzie szli w jedną i drugą stronę, przechodzili między chłopcem a dziewczynką, ale ona stała nieruchomo i po prostu wpatrywała się w niego. I w Maurycyego. Miała włosy za czerwone, nos za długi, a spojrzenie tak samo przygważdżające do ściany jak Śliczna. Ubrana była w długą czarną sukienkę obszytą czarną koronką. Nie wróżyło to niczego dobrego.

Przeszła przez ulicę i stanęła naprzeciwko chłopca.

— Jesteś tu nowy, co? Szukasz pracy. Pewnie z poprzedniej cię wylali, już ja to czuję. Z pewnością zaspaleś i wszystko przez ciebie się zepsuło. Albo uciekłeś, bo twój pan zbił cię kijem — dodała, kiedy nowa myśl przyszła jej do głowy — na co pewnie zasłużyłeś, bo jesteś leniwy. I jeszcze na dodatek ukradłeś kota, bo wiesz, ile ludzie ci za niego tutaj zapłacą. I na pewno jesteś tak głodny, że ci odbija, bo gadasz do kota, a każdy wie, że koty nie potrafią mówić.

— Nie potrafią powiedzieć ani słowa — odparł Maurycy.

— I pewnie jesteś tajemniczym chłopcem, który... — zamilkła zdziwiona, ale w tym momencie Maurycy wygiął grzbiet w pałąk i powiedział „prpppt”, co w kocim języku oznacza „ciasteczko”. — Czy ten kot coś powiedział? — zapytała.

— Myślałem, że wszyscy wiedzą, że koty nie potrafią mówić.

— No ale może jesteś uczniem czarnoksiężnika. Tak, to by pasowało. Byłeś

uczniem czarnoksiężnika, pozwoliłeś, żeby zielona mikstura w kociołku wygotowała się, i on zagroził, że cię zamieni w... w... w...

— W gerbila — odpowiedział Maurycy.

— W gerbila, więc ukradłeś zaczarowanego kota, którego tak nienawidziłeś, i... a co to jest gerbil? Czy ten kot powiedział „gerbil”?

— Nie patrz na mnie! — odparł chłopiec. — Ja po prostu sobie stoję.

— No dobrze, a potem dowiedziałeś się, że panuje tu straszliwy głód, więc przywiozłeś kota tutaj i chcesz go sprzedać. Tamten mężczyzna zapłaci ci nawet dziesięć dolarów, jeśli go przetrzymasz.

— Dziesięć dolarów to za dużo pieniędzy nawet za kota, który dobrze łapie szczury — rzekł chłopiec.

— Kto mówi o łapaniu szczurów? — zdziwiła się rudowłosa dziewczynka. — Tutaj wszyscy są głodni. A z kota można zrobić przynajmniej dwa posiłki!

— Co? Jecie tutaj koty? — Maurycy nastroszył ogon jak szczotkę.

Dziewczynka nachyliła się nad nim z morderczym uśmiechem na twarzy, takim samym jaki malował się zawsze na pyszczku Ślicznej, kiedy wygrała jakąś dyskusję. Pacnęła go palcem w nos.

— Mam cię! Wpadłeś w taką prostą pułapkę. Chodźcie obaj ze mną, bo jak nie, to zacznę wrzeszczeć. A jak ja wrzeszczę, to ludzie słuchają!

### Rozdział 3

**— Nigdy nie wchodź do Ciemnego Lasu, przyjacielu — powiedział szczur Szymon. — Tam jest strasznie.**

„Przygoda pana Królika”

Daleko poniżej łap Maurycego w podziemiach Lśniącego Zdroju zbierały się szczury. Ludzie budują miasto zarówno w górę, jak i w dół. Powstają szeregi piwnic i piwniczek, niektóre z nich są zapomniane — ale nie przez stworzenia, które wolą pozostać w ukryciu.

W gęstej, ciepłej wilgotnej ciemności odezwał się głos:

— Kto ma zapałki?

— Ja, Groszku. Cztery porcje.

— Dobra robota, szczurku. A kto ma świecę?

— Ja, sir<sup>[2]</sup>. Jestem Kawalek.

— Dobrze, połóż ją tutaj, a Śliczna zapali.

Z ciemności dochodziły dźwięki przepychania. Nie wszystkie szczury przyzwyczyły się do idei zapalania ognia, niektóre w takich sytuacjach robiły kilka kroków do tyłu. Śliczna, trzymając zapałkę w przednich łapkach, przytknęła ją do knota. Płomień chybotął się przez chwilę, aż rozgorzał stałym blaskiem.

— Czy naprawdę to widzisz? — zapytał Szykowieprz.

— Tak, sir — odparł Niebezpieczny Groszek. — Nie jestem kompletnie ślepy. Potrafię rozróżnić ciemność od jasności.

— Wiesz — mówił dalej Szykowieprz, przyglądając się podejrzliwie płomieniowi — ja wciąż tego nie lubię, wcale a wcale. Ciemność była wystarczająco dobra dla naszych rodziców. Czuję kłopoty. Poza tym palenie świecy oznacza niszczenie dobrego jedzenia.

— Musimy umieć posługiwać się ogniem, sir — odparł spokojnie Niebezpieczny Groszek. — Mając płomień, możemy ogłosić ciemności: jesteśmy indywidualnościami. Mówimy też: nie jesteśmy tylko szczurami. Mówimy: jesteśmy klanem.

— Hrump — mruknął Szykowieprz, co robił, kiedy nie rozumiał tego, co do niego mówiono. W ostatnich czasach hrumpał bardzo często.

— Słyszałam, jak młode szczury mówiły, że cienie ich przerażają — wtrąciła

Śliczna.

— Dlaczego? — zapytał Szynkawieprz. — Przecież nie boją się całkowitej ciemności, prawda? Ciemność jest szczurza. Przebywanie w ciemnościach to było szczurze życie!

— To dziwne — odezwała się Śliczna — ale dopóki nie poznaliśmy światła, nie widzieliśmy, że są cienie.

Jeden z młodszych szcurek nieśmiało podniósł łapę.

— Hmm... i nawet kiedy gaśnie światło, wiemy, że cienie nadal są wokół nas — powiedział.

Niebezpieczny Groszek odwrócił się w stronę młodego szcureka.

— Ty jesteś...?

— Wyśmienity — odparł młody szcurek.

— A więc posłuchaj, Wyśmienity — odezwał się łagodnie Groszek — myślę, że obawa przed cieniami to pierwszy objaw inteligencji. Umysł podpowiada ci, że istniejesz ty i że istnieje także coś poza tobą. Więc teraz już boisz się nie tylko tych rzeczy, które możesz zobaczyć, usłyszeć czy poczuć, ale także tego, co potrafisz... tak jakby... zobaczyć wewnątrz głowy. Kiedy uczymy się stawić czoło cieniom na zewnątrz, uczymy się też, jak sobie poradzić z cieniami wewnątrz. A wtedy żadna ciemność nie będzie nam straszna. To wielki krok naprzód. Dobra robota.

Wyśmienity wyglądał trochę na dumnego, ale przede wszystkim na zdenerwowanego.

— Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz — powiedział Szynkawieprz. — Dobrze sobie radziliśmy w ciemnościach. Ja nigdy nie bałem się niczego.

— Byliśmy ofiarą dla każdego zabłąkanego kota czy zgłodniałego psa, sir — odparł Niebezpieczny Groszek.

— Och, dobrze, jeśli mamy teraz rozmawiać o kotach... — mruknął Szynkawieprz.

— Ja myślę, że możemy ufać Maurycemu, sir — rzekł Groszek. — Tylko nie w sprawach pieniędzy, to przyznaję. Ale nigdy nie zjada niczego, co potrafi mówić. Za każdym razem sprawdza.

— Możesz ufać, że kot będzie kotem — odparł Szynkawieprz. — Mówiący czy nie!

— Tak, sir. Ale my jesteśmy inni i on też. Ja wierzę, że w głębi serca on jest bardzo pocziwy.

— Hmm — wtrąciła Śliczna. — To się zobaczy. Ale teraz lepiej się zorganizujemy. Szynkawieprz się najeżył.

— A kim ty jesteś, żeby mówić „zorganizujemy się”? — zapytał ostro. — Czy jesteś przywódcą, młoda kobieto, która może o rilk dyskutować ze mną? Nie! To ja jestem przywódcą. To moją rolą jest powiedzieć „zorganizujemy się”.

— Tak jest, sir. — Śliczna ukloniła się nisko. — Jak chcesz, byśmy się zorganizowali, sir?

Szynkawieprz popatrzył na nią. Potem spojrzął we wpatrzone w niego w oczekiwaniu szczury z paczkami i tobołkami, jeszcze raz rozejrzał się po starożytnej piwnicy i znowu powrócił wzrokiem do wciąż pochylonej Ślicznej.

— Po prostu... zorganizujemy się — mruknął. — Nie zawracaj mi głowy szczegółami! Ja jestem przywódcą. — I odmaszerował w ciemność.

Kiedy poszedł, Groszek i Śliczna omietli wzrokiem piwnicę, którą wypełniały drżące cienie stworzone przez światło świecy. Woda kropelkami spływała po zeskorupiałej ścianie. Tu i ówdzie powypadały cegły, pozostawiając zachęcające otwory. Podłogę pokrywała ziemia bez śladów ludzkich stóp.

— Idealne miejsce na bazę — wyszeptał Niebezpieczny Groszek. — Sekretne i bezpieczne. Doskonałe dla szczurów.

— Zgadza się — odezwał się nowy głos. — I wiecie, co mnie w związku z tym martwi?

W krąg światła świecy wkroczył szczur Ciemnaopalenizna, szarpiąc łapką pas z narzędziami. Szczury umilkły, wyteżyły uwagę. Szynkawieprza słuchano, ponieważ był przywódcą, ale Ciemnejopalenizny — ponieważ często mówił to, co trzeba, naprawdę trzeba wiedzieć, żeby przetrwać. Był duży, chudy, silny; wiele czasu poświęcał na odnajdywanie pułapek i na zrozumienie, jak działają.

— Co cię martwi, Ciemnaopalenizno? — zapytał Niebezpieczny Groszek.

— Tutaj wcale nie ma szczurów. Poza nami. Szczurze tunele — tak. Ale nie widzieliśmy żadnych szczurów. A w mieście powinno ich być mnóstwo.

— Och, pewnie się nas zlekły — stwierdziła Śliczna.

Ciemnaopalenizna poklepał się po swoim zmartwionym pyszczku.

— Może — powiedział — lecz coś tu się nie zgadza. Myślenie jest wielkim wynalazkiem, ale dostaliśmy też nosy i opłaca się ich słuchać. Trzeba zachować szczególną ostrożność. — Podniósł głos: — Szczury, znacie swoje zadania! Przede mną, w plutony, formować się!

Podzielenie się na trzy grupy nie zabrało szczurom wiele czasu. Miały w tym sporo praktyki.

— Bardzo ładnie — powiedział Ciemnaopalenizna, kiedy ostatnie dołączyły do swoich grup. — Dobrze! Jesteśmy na terytorium wroga, więc trzeba zachować szczególną ostrożność...

Ciemnaopalenizna też tym się różnił od innych szczurów, że nosił coś na sobie.

Kiedy szczury odkryły książki — a idea książek wciąż była trudna dla najstarszych — w sklepie, który odwiedzały co noc, znalazły Księgę.

Księga była zadziwiająca. Nawet zanim Śliczna i Obwarzanek nauczyli się czytać ludzkie słowa, zadziwiały ich rysunki.

Były na nich zwierzęta w ubrankach. Był królik, który maszerował na tylnych nogach, w błękitnym surducie. Był szczur w kapeluszu, z mieczem za pasem i w wielkiej czerwonej kamizelce. Nawet wąż nosił kołnierzyk i krawat. I wszystkie mówiły, i żadne nie zjadało innych, i — a to było najdziwniejsze ze wszystkiego — wszystkie rozmawiały z ludźmi, którzy traktowali je jak, no... braci mniejszych. Nie było pułapek ani trucizn. Trzeba przyznać (tak mówiła Śliczna, która z trudem, ale przedzierała się przez książkę, czasami czytając fragmenty na głos), wąż Olly był niezłym szubrawcem, ale nic tak naprawdę złego się nie zdarzało. Nawet kiedy Królik zgubił się w Ciemnym Lesie, był tylko trochę przestraszony.

O tak, „Przygoda pana Królika” wywoływała sporo dyskusji pomiędzy Przemienionymi. Dlaczego powstała taka książka? Czy była to, jak wierzył Niebezpieczny Groszek, wizja wspaniałej przyszłości? Czy książkę napisali ludzie? To prawda, że sklep był dla ludzi, ale przecież nawet ludzie nie mogli jednocześnie pisać książki o szczurku Szymonie, który nosił kapelusz, i jednocześnie rozsypywać trutki na szczury. A może? Jak trzeba być szalonym, żeby jedno z drugim pogodzić?

Niektóre z młodszych szczurów sugerowały, że może ubranie jest ważne. Próbowaly nosić kamizelki, ale niełatwo było wygryźć odpowiedni kształt, a potem zaczynają się kłopoty z guzikami, materiał zahacza o byle drzazgę i bardzo trudno w

tym biegać. A kapelusze po prostu spadają.

Ciemnaopalenizna uważał po prostu, że ludzie są szaleni i źli. Jednak ilustracje w książce podsunęły mu pomysł. On nie nosił kamizelki, tylko coś w rodzaju szerokich pasów, które łatwo było zawinąć i odwinąć. Na nich naszył kieszenie — i to był bardzo dobry pomysł, jakby dostał dodatkowe łapy, bo trzymał w nich wszystko, czego potrzebował, jak kawałki metalu czy drutu. Reszta oddziału poszła za jego przykładem. Nigdy nie wiadomo, czego możesz za chwilę potrzebować, jeśli jesteś w Oddziale Unieszkodliwiania Pułapek. To było twarde, naprawdę szczurze życie.

Kiedy Ciemnaopalenizna przechadzał się wzdłuż oddziałów, jego pełne metalu kieszenie pobrzękiwały. Zatrzymał się przed dużą grupą młodych szczurów.

— No dobrze, plutonie trzeci, waszym zadaniem jest pozostawianie odchodów — powiedział. — Idźcie i dobrej zabawy.

— Och, my zawsze mamy brudzić — poskarżył się jeden szczur.

Ciemnaopalenizna zbliżył do niego pyszczek tak, że prawie dotknął nosem nosa. Młodziak aż się cofnął.

— Bo jesteście w tym dobrzy, chłopcze! Matka wychowywała cię, żebyś pozostawiał odchody, więc idź i rób, co do ciebie należy! Nic bardziej nie wytrąca ludzi z równowagi niż świadomość, że w tym miejscu był szczur! A jeśli będziecie mieć okazję, gryźcie, co się da. I z piskiem biegajcie pod podłogami! I pamiętajcie, żaden nie wychodzi, póki nie dostaniecie wiadomości od Oddziału Unieszkodliwiania Pułapek, że droga jest czysta. A teraz do dzieła! Dwójkami marsz! Raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa!

Pluton pospiesznie się oddalił.

Ciemnaopalenizna zwrócił się do plutonu drugiego. W jego skład wchodziły stare szczury, ze szramami, śladami pogryzień i złachmanione, niektóre z kikutami ogonków albo bez ogonów w ogóle, inne bez łapy, bez oka lub ucha. Chociaż było ich w sumie dwadzieścia, kompletnych szczurów zebrałoby się siedemnaście.

Ale ponieważ były stare, były też przebiegłe, gdyż szczur, który nie jest przebiegły, chytry i podejrzliwy, nie stanie się starym szczurem. Wszystkie były już dorosłe, kiedy dopadła ich inteligencja. Wciąż więc miały swoje stare przyzwyczajenia. Szynkawieprz zawsze mówił, że właśnie takich ich lubi. Wciąż mieli dużo z dawnego szczura, prymitywny spryt, co pozwalało im unikać pułapek, w które wpadali zbyt ufni w swą inteligencję młodzi. I nie trzeba im było mówić, gdzie szczur powinien

zostawić ślady.

— Znacie swoje zadanie — powiedział Ciemnaopalenizna. — Chcę wielu zuchwałych czynów. Kradnijcie jedzenie z psich misek, ciasto spod nosa kucharek...

— Sztuczne zęby z ust starca — dokończył szczurek, który wydawał się tańczyć, choć stał w miejscu. Przebierał cały czas nóżkami po podłodze piwnicy. Miał też kapelusz, zmaltretowany, ręcznej roboty, ze słomy. Był jedynym szczurem, któremu udawało się nosić kapelusz; nie gubił go dzięki swym odstającym uszom. Mówił, że bez kapelusza nigdzie nie wychodzi.

— To był tylko szczęśliwy traf, Sardynki. Założę się, że nie powtórzysz już tego numeru — uśmiechnął się Ciemnaopalenizna. — I przestań wciąż opowiadać dzieciakom, jak to wybrałeś się popływać w czyjejś wannie. Wiem, że to zrobiłeś, ale nie chcę stracić kogoś tylko dlatego, że nie będzie potrafił się wspiąć po śliskiej ścianie wanny. Tak czy siak... jeśli w ciągu dziesięciu minut nie usłyszę wrzasku kobiet uciekających z kuchni, nie jesteście szczurami, za jakich was miałem. No co? Czemu tu jeszcze stoicie? Do roboty! I... Sardynki?

— Słucham, szefie?

— Uważaj tym razem ze stepowaniem, dobrze?

— Ja mam po prostu tańczące stopy, szefie.

— I ciągle musisz nosić ten głupi kapelusz? — Ciemnaopalenizna wciąż się uśmiechał.

— Tak jest, szefie! — Sardynki był jednym z najstarszych szczurów, ale nie znać było po nim sędziwego wieku. Tańczył, żartował i nigdy nie wdawał się w bójki. Kiedyś mieszkał w teatrze i zjadł całe pudło szminki. Najwyraźniej weszła mu w krew.

— I nie wychodźcie przed Oddział Unieszkodliwiania Pułapek! — powtórzył Ciemnaopalenizna.

Sardynki uśmiechnął się szeroko.

— Ojej, szefie, pozwól mi na odrobinę zabawy.

I ruszył roztańczonym krokiem za swoją grupą, która już zniknęła w dziurach w ścianie.

Ciemnaopalenizna przeszedł do plutonu pierwszego. To była najmniejsza grupa. Trzeba być szczególnym szczurem, żeby przetrwać długo w Oddziale Unieszkodliwiania Pułapek. Trzeba być uważnym, cierpliwym i myślącym. I trzeba

mieć dobrą pamięć. I trzeba być ostrożnym. Jeśli jesteś szybki, niedbały i lekkomyślny, możesz się dostać do tego oddziału, tyle że długo nie zagrzejesz tu miejsca.

Obejrzał ich z góry na dół i uśmiechnął się. Był dumny z tych szczurów.

— Wy wszystko już wiecie — powiedział. — Nie potrzebujecie żadnych wykładów. Tylko pamiętajcie, że to jest nowe miasto i nikt nie wie, co tutaj znajdziemy. Mogą to być zupełnie inne pułapki, ale my uczyliśmy się szybko, prawda? Mogą używać trutek, na jakie nigdy wcześniej się nie natknęliśmy, więc bądźcie uważni. Nigdy się nie spieszcie. Nie chcemy być jak pierwszy szczur, co?

— Nie chcemy, Ciemnaopalenizno! — odparły posłusznie chórem.

— Powiedziałem, że jakim szczurem nie chcemy być?

— Nie chcemy być jak pierwszy szczur! — odkrzyknęły.

— Właśnie! Jakim szczurem chcemy być?

— Drugim szczurem, Ciemnaopalenizno! — odrzekły szczury, które przechodziły tę lekcję już wiele razy.

— Właśnie! A dlaczego chcemy być jak drugi szczur?

— Bo drugi dostanie ser, Ciemnaopalenizno!

— Dobrze! Wsolance poprowadzi oddział drugi... Najlepiej przed, dostajesz awans, poprowadzisz oddział trzeci i mam nadzieję, że będziesz równie dobry, jak była stara Ekofarma, nim zapomniała, jak odsunąć zapadkę w pułapce na szczury model pięć. Zbyt pewność siebie jest naszym wrogiem! Więc jeśli zobaczycie cokolwiek podejrzanego, niepokojącą tackę, jakiej nie widzieliście wcześniej, cokolwiek z przewodami, sprężynkami czy czymś w tym rodzaju, oznaczcie to i wyślijcie gońca do mnie.

Młoda szczurzyca wyciągnęła przed siebie łapę.

— Tak? — spytał Ciemnaopalenizna. — Jak masz na imię... panienko?

— Eee... Odżywka, sir — odparła. — Eee... czy mogę zadać pytanie?

— Czy jesteś nowa w tym plutonie, Odzywko?

— Tak, sir! Zostałam przeniesiona z Oddziału Pozostawiania Odchodów, sir!

— Uważali, że będziesz dobra w rozpoznawaniu pułapek?

Odżywka wyglądała na zawstydzoną, ale teraz już nie miała odwrotu.

— No... niezupełnie, sir. Powiedzieli, że nie mogę być w tym gorsza, niż jestem

w pozostawianiu odchodów, sir.

Szczury gruchnęły śmiechem.

— Jak szczur może nie być w tym dobry? — zdziwił się Ciemnaopalenizna.

— Bo to takie... takie... krępujące, sir — odparła Odżywka.

Ciemnaopalenizna westchnął skrycie. Z myślenia rodziło się mnóstwo dziwnych rzeczy. Jemu samemu odpowiadała koncepcja Ustronnego Miejsca, ale niektóre pomysły młodych szczurów były, no cóż... dziwne.

— Dobrze. O co chciałaś zapytać?

— Powiedział pan, że drugi szczur dostanie ser, tak?

— Zgadza się. To jest motto tego oddziału. Zapamiętaj je. Będzie ci zawsze towarzyszyć.

— Tak jest, sir. Zapamiętam. Ale... czy pierwszy coś dostanie?

Ciemnaopalenizna patrzył na młodą szczurycę. Pewne wrażenie na nim zrobiło, że nie spuściła wzroku, nie płaszczyła się.

— Widzę, że będziesz wartościowym nabytkiem do tego oddziału, Odżywko — powiedział. Po czym krzyknął: — Oddział! Co dostanie pierwszy szczur?

Grzmot głosów spowodował, że aż kurz spadł z sufitu.

— Pułapkę!

— Nie zapomnij o tym — powiedział Ciemnaopalenizna. — Wyprowadź ich, Ofertospecjalna. Dołączę do was za chwilę.

Jeden z młodszych szczurów wystąpił przed kolumnę.

— Idziemy, szczury. Raz, raz, raz...

Kiedy szczury specjalizujące się w unieszkodliwianiu pułapek odbiegły truchtem, Ciemnaopalenizna podszedł do Niebezpiecznego Groszka.

— No, zaczęliśmy — rzekł. — Jeśli miejscowi ludzie nie zaczną szukać dobrego szczurołapa już jutro, to nie znamy się na swojej robocie.

— Musimy zostać trochę dłużej, niektóre z pań oczekują lada chwila rozwiązania.

— Powiedziałem, że jeszcze nie wiemy, czy jest tu bezpiecznie — odparł Ciemnaopalenizna.

— Czy chcesz to powiedzieć Przecenie? — zapytała słodko Śliczna. Przecena była starą przywódczynią szczuryc, ogólnie znaną z ostrych jak siekiera zębów i

muskułów twardych jak skały. Poza tym nie miała cierpliwości do samców. Nawet Szynkawieprz schodził jej z drogi, kiedy była w nie najlepszym nastroju.

— Oczywiście, że natura musi iść zgodnie ze swoim rytmem — powiedział szybko Ciemnaopalenizna. — Ale nie zbadaliśmy tego miasta. Tu muszą być jakieś inne szczury.

— Och, kiikiisy trzymają się od nas z daleka — skwitowała Śliczna.

Z tym Ciemnaopalenizna musiał się zgodzić. Zwykle szczury trzymały się z daleka od Przemienionych. Nieraz zdarzały się problemy, ale Przemienione były duże, silne i potrafiły zastanowić się przed walką. Niebezpieczny Groszek nie był szczęśliwy z tego powodu, ale — jak mówił Szynkawieprz — sprawa sprowadza się do my albo oni, bo tak naprawdę jest to świat, gdzie szczur zjada szczura...

— Idę dołączyć do mojego oddziału — powiedział Ciemnaopalenizna, wciąż zdenerwowany samą perspektywą konfrontacji z Przecena. Przysunął się bliżej do Ślicznej. — Co się dzieje z Szynkawieprzem?

— On... myśli o różnych sprawach.

— Myśli. No dobrze. Muszę dopilnować oddziałów. Do powąchania później!

— Co się dzieje z Szynkawieprzem? — zapytał Niebezpieczny Groszek, kiedy został ze Śliczną sam na sam.

— Starzeje się — odparła. — Potrzebuje dużo wypoczynku. I jak sądzę, martwi się, że Ciemnaopalenizna lub ktoś inny rzuci mu wyzwanie.

— Zrobią to? Jak myślisz?

— Ciemnaopaleniznę bardziej interesuje rozgryzanie pułapek niż gryzienie drugiego szczura.

— Lub zajmowanie się rllk, z tego co słyszałem — powiedział Niebezpieczny Groszek.

Śliczna skromnie spuściła oczy. Gdyby szczury potrafiły się czerwienić, z pewnością spłonęłyby rumieńcem. To zadziwiające, jak czerwone oczy, które niewiele co widziały, potrafiły przejrzeć cię na wylot.

— Samice mają teraz dużo wyższe wymagania. Chcą, by ojcem ich dzieci był ktoś, kto potrafi myśleć.

— Dobrze — powiedział Groszek. — Niech wybierają. Nie musimy się mnożyć jak szczury. Nasza siła nie jest w ilości. Jesteśmy Przemienionymi.

Śliczna przyjrzała mu się zaniepokojona. Kiedy Niebezpieczny Groszek myślał, to było tak, jakby zaglądał do świata, który tylko on mógł widzieć.

— O co chodzi tym razem? — zapytała.

— Myślałem o tym, że nie powinniśmy zabijać innych szczurów. Żaden szczur nie powinien zabijać innego szczura.

— Nawet kiikiisów?

— To także są szczury.

Śliczna wzruszyła ramionami.

— Przecież próbowaliśmy z nimi rozmawiać i nic z tego nie wyszło. Tak czy siak większość z nich trzyma się od nas z daleka.

Niebezpieczny Groszek wciąż wpatrywał się w inny świat.

— Mimo to — powiedział cicho — chciałbym, żebyś to zapisała.

Śliczna westchnęła, ale z jednej z paczek, które szczury transportowały ze sobą, wyciągnęła swoją torbę. Był to tylko skrawek materiału z rączką ze sznurka, ale mieściło się w nim kilka zapalek, parę grafitów z ołówka, ułamek srebrnego ostrza do ostrzenia grafitów i brudny kawałek papieru. Same potrzebne rzeczy.

Wyładziła papier na zmurszałej cegle, sięgnęła po kawałek grafitu i spojrzała na to, co wcześniej zapisała.

Pierwsza myśl brzmiała: W klanie siła.

Trudno to było przełożyć na ich język, ale zrobiła, co mogła. Większość szczurów nie potrafiła czytać w ludzkim języku. Po prostu za trudno było ułożyć linie i zakrętasy w jakiś sens. Więc Śliczna pracowała bardzo ciężko, by ułożyć język, który mogły czytać szczury. Narysowała dużego szczura składającego się z małych szczurów.

Pisanie doprowadziło do scysji z Szynkawieprzem. Nowe pomysły potrzebowały trampoliny, żeby dostać się do głów starych szczurów. Niebezpieczny Groszek tłumaczył swoim dziwnym spokojnym głosem, że to, co zostanie zapisane, przetrwa nawet śmierć szczurów. Powiedział, że każdy szczur powinien nauczyć się tego, co

umie Szynkawieprz, na co Szynkawieprz odparł: „Nie ma mowy!”. Jemu zabrało lata nauczenie się niektórych sztuczek. Dlaczego miałby się teraz nimi dzielić? To by znaczyło, że każdy młody szczur wiedziałby tyle co on!

Niebezpieczny Groszek odpowiedział: Będziemy współpracować albo zginieemy.

To była następna zapisana myśl. Niełatwo przedstawić „współpracować”, ale przecież nawet kiikiisy czasami pomagają ślepemu lub zranionemu towarzyszowi, a to z pewnością jest współpraca. Gruba linia — Śliczna musiała mocno naciskać na grafit — oznaczała „nie”. Symbol pułapki oznaczał „umrzeć”, „źle” lub „unikać”.

Ostatnia myśl utrwalona na papierze: Nie brudzisz, gdzie jesz. To było całkiem proste.

Teraz złapała grafit w obie łapki i starannie narysowała: Szczur nie zabija drugiego szczura.

Usiadła. Tak... nieźle... Pułapka była dobrym symbolem śmierci, a żeby wszystko wyglądało jeszcze poważniej, narysowała też martwego szczura.

— Ale założmy, że musisz, to co wtedy? — zapytała, wpatrując się w rysunek.

— Jak musisz, to musisz — odparł Niebezpieczny Groszek. — Ale nie powinnaś.

Śliczna potrząsnęła ze smutkiem głową. Wspomagała Groszka, ponieważ było w nim... coś. Nie był duży ani szybki, prawie nie widział, można powiedzieć słabeusz, często zapominał o jedzeniu, bo przychodziła mu do głowy myśl, której nikt — a przynajmniej żaden szczur — nie pomyślał wcześniej. Zwykle denerwował

Szynkawieprza, na przykład kiedy zapytał: „Co to jest szczur?”. Szynkawieprz wtedy odparł: „Zęby. Pazury. Ogon. Biec. Chować się. Jeść. Tym jest szczur”.

A na to Niebezpieczny Groszek powiedział: „My teraz potrafimy zapytać: «Co to jest szczur?» i to oznacza, że jesteśmy czymś więcej”. Jesteśmy szczurami — kłócił się Szynkawieprz. — Biegamy i piszczyemy, kradniemy i robimy więcej szczurów. Po to zostaliśmy stworzeni”. A na to Niebezpieczny Groszek: „Przez kogo?”, i to doprowadziło do kolejnej dyskusji i do powstania teorii o Wielkim Szczurze Żyjącym Głęboko pod Ziemią.

Ale nawet Szynkawieprz słuchał Niebezpiecznego Groszka, tak samo jak Ciemnaopalenizna czy Obwarzanek. A Śliczna słuchała potem ich rozmów.

— Mamy nosy — mówił Ciemnaopalenizna do swoich oddziałów. Kto dał im nosy? Myśli Niebezpiecznego Groszka wędrowały niezauważalnie po głowach innych szczurów.

Pokazywał, co daje myślenie. Pokazywał znaczenia słów. Pokazywał, że zaprowadzą ich na nieznany teren, i on wydawał się jedynym, który miał pojęcie, gdzie zmierzają.

Zostawiła go siedzącego przy świecy i poszła odszukać Szynkawieprza. Kulił się przy ścianie. Jak większość starych szczurów, zawsze trzymał się blisko ściany, z daleka od otwartych przestrzeni i światła.

Chyba się trząsał.

— Dobrze się czujesz? — zapytała.

Dygotanie ustało.

— Nic mi nie jest! — zachnął się Szynkawieprz. — Trochę mi strzyka w kościach, nic poważnego.

— Nie wyszedłeś z żadnym oddziałem — zauważyła Śliczna.

— Nic mi nie jest! — krzyknął stary szczur.

— Mamy w bagażu kilka kartofli...

— Nie chcę niczego do jedzenia! Nic mi nie jest!

...co znaczyło, że jest. Dlatego nie chciał się podzielić swoją wiedzą. Bo tylko ona z niego pozostała. Śliczna wiedziała, co tradycyjnie szczury robią z przywódcą, który się robi za stary. Przyglądała się Szynkawieprzowi, kiedy Ciemnaopalenizna — młodszy i silniejszy — wydawał rozkazy oddziałom, i wiedziała, że Szynkawieprz też o

tym myśli. Kiedy szczury patrzyły na niego, trzymał się dobrze, ale potem musiał odpoczywać, kuląc się w kącie.

Stare szczury wyganiano, musiały ukrywać się schorowane i zdziwaczałe.

Widziała, że nadchodzi czas na nowego przywódcę.

Chciała przekazać mu jedną z myśli Groszka, ale stary szczur nie lubił rozmawiać z samicami. Dorastał w przekonaniu, że samice nie są po to, by z nimi rozmawiać.

A myśl ta brzmiała:

Jesteśmy Przemienione. Nie jesteśmy takie jak inne szczury.

## Rozdział 4

**Przygody, pomyślał pan Królik, nie powinny trwać tak długo, by spóźnić się na posiłek. To bardzo ważne.**

„Przygoda pana Królika”

Chłopiec, dziewczynka i Maurycy siedzieli w dużej kuchni. Chłopiec poznał, że to jest kuchnia, po dużej czarnej płycie z fajerkami, od której odchodził komin, po garnkach wiszących na ścianie i po dużym wyszczerbionym stole. Natomiast nie było tu w ogóle tego, co w każdej tradycyjnej kuchni zajmuje sporo miejsca — jedzenia.

Dziewczynka podeszła do metalowej narożnej szafki i mocno wykręcając na obie strony głowę, wyciągnęła wreszcie zawieszony na szyi klucz.

— Nikomu nie można ufać — powiedziała. — A już szczerom zwłaszcza. Ukradną wszystko, co nadaje się do jedzenia, małe diablęta.

— E, na pewno nie wszystko — powiedział chłopiec.

— A skąd tak nagle znasz się na szczurach? — zapytała dziewczynka, otwierając metalową kasetę.

— Wcale nie nagle. Nauczyłem się tego, kiedy... oj! To naprawdę zabolalo!

— Przepraszam — odezwał się Maurycy. — Przypadkiem cię zadrapałem, prawda?

Próbował przy tym zrobić minę mówiącą: Nie bądź kompletnym durniem, dobrze? Co dla kota nie jest wcale łatwe.

Dziewczynka rzuciła im podejrzliwe spojrzenie i zajrzała do metalowej szafki.

— Jest tu trochę mleka, ale już się całkiem zsiadło, i kilka łbów rybich.

— Dla mnie brzmi to nieźle — stwierdził Maurycy.

— A co z twoim człowiekiem?

— Och, on zje cokolwiek.

— Jest jeszcze chleb i kiełbasa — mówiła dziewczynka, wyjmując puszkę z metalowego kredensu. — Kiełbasy bardzo pilnujemy. Jest też odrobina sera, ale starego.

— Nie powinniśmy zjadać jedzenia, którego wam brakuje — powiedział chłopiec. — Mamy pieniądze.

— Och, mój ojciec twierdzi, że miasto by źle wyglądało, gdybyśmy nie okazywali

gościnności. On jest burmistrzem.

— On tu rządzi? — zdziwił się chłopiec.

— Śmiesznie to określiłeś. Tak naprawdę to prawa ustala rada miejska. On tylko kłóci się ze wszystkimi. To on powiedział, że nie możemy mieć większych racji żywności niż inni, na znak solidarności w tych trudnych czasach. Już wystarczająco źle się zaczęło dziać, kiedy turyści przestali przyjeżdżać do naszych gorących źródeł, a potem doszły do tego jeszcze szczury. — Wyjęła kilka talerzyków z dużego kuchennego kredensu. — Mój tata twierdzi, że jeśli będziemy się zachowywać rozsądnie, to dla wszystkich starczy — mówiła dalej. — Zupełnie się z nim zgadzam. Ale kiedy już okazało się solidarność, to można by dostać coś ekstra, prawda? A w rzeczywistości mamy mniej. Możecie to sobie wyobrazić? Tak czy siak... a więc naprawdę jesteś czarodziejskim kotem? — zapytała, nalewając mleko na spodeczek. Mleko dawno straciło świeżość, ale Maurycy był ulicznym kotem i potrafiłby wypić nawet takie mleko, które próbowałoby odpełznąć.

— O tak, zgadza się, czarodziejskim — wymruczał, pokazując żółto-białą obwódkę wokół pyszczka. Dla dwóch rybich łbów zgadzał się na wszystko.

— Pewnie należysz do jakiejś czarownicy, o imieniu na przykład Gryzelda — mówiła dziewczynka, kładąc na drugim spodeczku rybie łby.

— Tak, zgadza się, Gryzelda, masz rację — mruczał Maurycy, śledząc jej ruchy.

— Która najprawdopodobniej żyje w domku z piernika w lesie.

— To prawda — zgodził się z nią Maurycy. Lecz nagle dodał: — Tyle że to domek nie z piernika, ale z chrupek, ona się odchudza. — Nie byłby Maurycym, gdyby nie dołożył czegoś od siebie. — Ta Gryzelda jest bardzo zdrową czarownicą.

Dziewczynka zaniemówiła na chwilę.

— Nie tak powinno być — oświadczyła.

— Przepraszam, skłamałem, oczywiście, domek jest z piernika — poprawił się szybko Maurycy. Ktoś, kto daje jedzenie, nigdy się nie myli.

— Czy Gryzelda ma ogromne brodawki?

— Niektóre z tych brodawek mają tak rozbudowaną osobowość, że nawet zdobyły sobie przyjaciół. — Maurycy starał się zachować powagę. — A jak ci na imię, panienko?

— Obiecasz, że nie będziesz się śmiać?

— Obiecuję. — Ostatecznie gdzieś mogły się jeszcze znaleźć rybie głowy.

— Mam na imię... Malicia.

— Aha.

— Śmiejesz się? — zapytała z groźbą w głosie.

— Nie — odparł zdziwiony Maurycy. — A dlaczego?

— Nie uważasz, że to śmieszne imię?

Maurycy przypomniał sobie parę znanych imion: Szyrkawieprz, Ciemnaopalenizna, Niebezpieczny Groszek, Sardynki...

— Dla mnie brzmi dość zwyczajnie — rzekł.

Malicia popatrzyła na niego podejrzliwie, po czym odwróciła się do chłopca, który siedział z typowym dla siebie radosnym, dalekim spojrzeniem, jak zwykle, kiedy nie miał nic do roboty.

— A ty masz jakieś imię? — zapytała. — Nie jesteś przypadkiem trzecim, najmłodszym synem króla? Gdyby twoje imię poprzedzało słówko „książę”, z pewnością byłaby to dla mnie jakaś wskazówka.

— Wydaje mi się, że moje imię brzmi Keith — odpowiedział chłopiec.

— Nigdy nie mówiłeś, że masz jakieś imię! — wykrzyknął Maurycy.

— Nigdy nikt mnie o to nie zapytał.

— Keith to nie jest imię nadzwyczaj obiecujące — powiedziała Malicia. — Nie zapowiada tajemnicy. Zapowiada po prostu Keitha. Jesteś pewien, że to twoje prawdziwe imię?

— Takie mi nadali.

— A więc jest coś więcej. Leciusieńka zapowiedź tajemnicy. — Na twarzy Malicii pojawiło się nagłe zainteresowanie. — Wystarczy, by zbudować napięcie. Jak podejrzewam, wykradzono cię po urodzeniu. Najprawdopodobniej jesteś prawowitym władcą jakiegoś królestwa, ale znaleźli kogoś, kto wygląda dokładnie tak samo jak ty, i go podstawili. W takim wypadku masz magiczny miecz, z tym że on wcale nie wygląda jak miecz, rozumiesz, aż do chwili kiedy będziesz musiał udowodnić swoje królewskie pochodzenie. Prawdopodobnie znaleziono cię na progu domu.

— Tak właśnie było — odparł Keith.

— Widzisz? Ja zawsze mam rację.

Maurycy potrafił wyczuć, czego chcą ludzie. A Malicia chciała, czuł to, by ją

oszukiwać. Ale nigdy wcześniej nie słyszał, by chłopiec wyglądający na głupka mówił o sobie.

— Co robiłeś na tym progu? — zapytał.

— Nie wiem. Prawdopodobnie gaworzyłem.

— Nigdy o tym nie mówiłeś — oskarżycielsko oświadczył Maurycy.

— A czy to ważne?

— Prawdopodobnie w twoim koszu był czarodziejski miecz i korona — opowiadała dalej Malicia. — I na pewno masz tajemniczy tatuaż lub znamię o dziwnym kształcie.

— Nie sądzę. Nikt mi nic o tym nie wspominał — odparł Keith. — Był tylko kocyk i ja. I kartka papieru.

— Kartka? Czy było coś na niej napisane? To bardzo ważne.

— Było napisane: „Osiem litrów mleka i jogurt truskawkowy”.

— Och. Niewiele to mówi — stwierdziła Malicia. — Aż osiem litrów mleka?

— To było na progu Gildii Muzyków — tłumaczył Keith. — Całkiem sporego. O jogurcie truskawkowym trudno mi coś powiedzieć.

— Porzucony dzieciak trafia do obcych ludzi, to brzmi bardzo zachęcająco — kontynuowała Malicia. — Książę może wyrosnąć tylko na króla, a z tajemniczym sierotą nic się nie da przewidzieć. Czy cię bito, głodzono i zamykano w piwnicy?

— Nie — odpowiedział zaskoczony Keith. — Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Przesympatyczni ludzie. Wiele mnie nauczyli.

— My też mamy gildie — powiedziała Malicia. — Chłopcy uczą się stolarstwa, kamieniarstwa i innych rzemiosł.

— Mnie nauczyli muzyki. Jestem muzykiem. I to dobrym. Utrzymuję się sam od dnia, kiedy skończyłem sześć lat.

— Aha. Niezwykły talent. Tajemniczy sierota, dotknięty nieszczęściem w chwili narodzin... wszystko zaczyna układać się w całość — powiedziała Malicia. — Jogurt truskawkowy najprawdopodobniej nie ma znaczenia. Czy twoje życie inaczej by wyglądało, gdyby był o smaku bananowym? Kto to wie? Jaki rodzaj muzyki grasz?

— Rodzaj? Nie ma żadnych rodzajów. Jest po prostu muzyka — powiedział Keith. — Jeśli słuchasz, to jest muzyka.

Malicia spojrzała na Maurycego.

— Czy on zawsze tak?

— Tyle nigdy od niego nie usłyszałem — odparł kot.

— Jak podejrzewam, bardzo chcielibyście dowiedzieć się wszystkiego na mój temat — powiedziała dziewczynka. — I jesteście nazbyt grzeczni, by zapytać.

— No pewnie — stwierdził Maurycy.

— Cóż, chyba wcale was nie zdziwi, że mam dwie okropne przyrodnie siostry — zaczęła Malicia. — I na mnie spadają wszystkie obowiązki!

— Ojej! — wykrzyknął współczująco Maurycy, przez cały czas zastanawiając się, czy nie ma więcej rybich głów, a jeżeli są jakieś rybnie głowy, to czy na pewno warte są tego wszystkiego.

— No, większość obowiązków — dodała Malicia, jakby zdradzając jakiś niewygodny fakt. — A z całą pewnością niektóre z nich. Muszę na przykład sprzątać własny pokój! A tam panuje wyjątkowy bałagan.

— Ojej!

— I jest to prawie najmniejsza sypialnia w tym domu. Praktycznie nie ma w niej szafek i zdecydowanie brakuje mi półek na książki!

— Ojej!

— Ludzie są dla mnie niezwykle okrutni. Zauważyliście, że jesteśmy w kuchni. A ja jestem córką burmistrza. Czy od córki burmistrza powinno się wymagać, żeby zmywała raz na tydzień? Ja uważam, że nie.

— Ojej!

— I tylko popatrzcie, jakie podarte ubranie muszę nosić.

Maurycy na ubraniach specjalnie się nie znał. Jeśli już, to na futrach. Ubranie Malicii wydawało mu się bardzo podobne do ubrań innych ludzi. Wszystko było na miejscu. I żadnych dziur poza tymi na ręce i głowę.

— O tutaj. — Malicia wskazała rękaw sukienki, który dla niego wyglądał tak samo jak cała reszta. — Musiałam to wczoraj zszyć, wiesz?

— Ojej... — Maurycy zamilkł. Z miejsca, gdzie stał, widział puste półki. A co ważniejsze, widział również Sardynki zwisającego ze szpary w suficie. Sardynki z plecakiem na grzbiecie.

— A już szczyt wszystkiego, że to ja chodzę po chleb i kielbasę każdego dnia... — mówiła dalej Malicia, ale Maurycy słuchał jej jeszcze mniej uważnie niż poprzednio.

To z pewnością był Sardynki! Co za idiota! Zawsze wyskakiwał przed pluton zwiadowczy! I choć w całym mieście jest tyle kuchni, musiał się pojawić właśnie tutaj. W każdej chwili dziewczynka mogła się odwrócić i wrzasnąć.

A Sardynki tylko potraktowałyby to jak wyraz uznania, aplauz. Dla niego życie było przedstawieniem. Inne szczury po prostu biegały, piszcząc i robiąc zamieszanie, i to zupełnie wystarczyło, by przekonać ludzi o pladze. Ale nie Sardynki, on zawsze musiał się posunąć dalej. Ach, te jego występy!

— ...szczury zjadły wszystko. A czego nie zjadły, to zniszczyły — mówiła dalej Malicia. — Okropne czasy! Rada kupowała jedzenie w innych miastach, ale oni też nie mieli dużych zapasów. Musimy kupować ziarno i inne rzeczy od handlarzy, którzy żeglują rzeką. Dlatego chleb jest taki drogi.

— Taki drogi — powtórzył Maurycy.

— Próbowaliśmy wszystkiego. Pułapki, psy, koty, trutki... i nic. Szczury wciąż i wciąż się pojawiały — mówiła dziewczynka. — Stały się naprawdę sprytne. Bardzo rzadko już wpadają w pułapki. Miasto płaci pięćdziesiąt pensów za jeden ogon. Co z tego, że szczurołapy dostają po pięćdziesiąt pensów za ogon, kiedy szczury są takie sprytne? Szczurołapy muszą stosować bardzo chytne sztuczki, żeby je łapać, tak opowiadają.

Za jej plecami Sardynki rozglądał się z uwagą, a potem dał znać innym szczurom, żeby podciągnęły linę.

— To dobry moment, żeby SOBIE PÓJŚĆ! — powiedział Maurycy.

— Dlaczego stroisz takie miny? — zapytała Malicia, przyglądając mu się uważnie.

— Och... no wiesz, są takie koty, które się przez cały czas uśmiechają. Słyszałaś o nich? No więc ja jestem takim kotem, który robi miny — rzekł w desperacji Maurycy. — A czasami wybucham i powtarzam jakieś słowo. ODEJDŹ, ODEJDŹ! Widzisz, znowu mi się to przytrafia. Mam takie schorzenie. Prawdopodobnie potrzebuję lekarza. O NIE, NIE RÓB TEGO, NIE TYM RAZEM, ups, znowu mi się to zdarza...

Sardynki wyciągnął z plecaka słomkowy kapelusz. W łapce trzymał mały kij jak do wędrówki.

To, co robił, było całkiem niezłe, nawet Maurycy musiał przyznać. W niektórych miastach ogłaszano, że poszukuje się szczurołapa, już po pierwszym jego pokazie.

Ludzie potrafią tolerować szczura w śmietanie i szczura na dachu, i szczura w czajniczku na herbatę, ale szczur stepujący to dla nich zbyt wiele. Maurycy stwierdził kiedyś, że gdyby jeszcze któryś szczur grał na akordeonie, mogliby załatwić dwa miasta w jeden dzień.

Za długo patrzył. Malicia odwróciła się i zobaczyła Sardynki odstawiającego swój numer. Sięgnęła po leżącą na stole patelnię. Cisnęła nią bardzo celnie.

Ale Sardynki był też bardzo dobry w unikaniu lecących w jego stronę naczyń. Szczury są przyzwyczajone, że ciska się w nie różnymi przedmiotami. Biegł już, gdy patelnia znajdowała się w połowie drogi, po chwili skoczył na krzesło, z krzesła na podłogę, zanurkował pod kredens i wtedy usłyszeli metaliczne trzaśnięcie.

— Aha! — wykrzyknęła Malicia. Keith i Maurycy wpatrywali się w kredens. — O jednego szczura mniej, to już coś. Jak ja ich nienawidzę!

— To Sardynki! — zmartwił się Keith.

— O nie, to zdecydowanie był szczur — stwierdziła Malicia. — Sardynki rzadko kiedy napadają na kuchnię. Przypuszczam, że chodzi wam o plagę homarów, które...

— Nazwał się Sardynki, ponieważ zobaczył to imię na starej zardzewiałej puszcze i uznał, że jest stylowe — odparł Maurycy. Zastanawiał się, czy ma dość hartu, by spojrzeć za kredens.

— Był naprawdę dobrym szczurem — zmartwił się Keith. — Kradł dla mnie książki, kiedy uczyli mnie czytać.

— Przepraszam, czyście powariowali? — zapytała Malicia. — To był szczur, a dobry szczur to martwy szczur.

— Halo? — odezwał się cichy głosik. Dochodził zza kredensu.

— On nie mógł tego przeżyć — mówiła Malicia. — To ogromna pułapka! Z ostrymi zębami.

— Czy ktoś tam jest? Zapałem pułapkę kijkiem... — odezwał się znowu głosik. Kredens był masywny, wykonany z drewna tak starego, że czas przyczernił go i utwardził na kamień.

— To nie szczur do nas mówi, prawda? — upewniła się Malicia. — Powiedzcie, że to nie szczur.

— Ale pułapka coraz bardziej zaciska się na kijku — ciągnął przytłumiony głosik. Maurycy zerknął w przestrzeń za kredens.

— Widzę go. Wetknął kij w szczęki, kiedy się zamykały! Jak ci idzie, Sardynki?

— Świetnie, szefie — rzekł Sardynki z ciemności. — Gdyby nie ta pułapka, wszystko byłoby doskonale. Czy już wspomniałem, że kijek się wygina?

— Tak, mówiłeś.

— Od tego czasu wygiął się jeszcze bardziej, szefie.

Keith złapał za róg kredensu i aż stęknął, próbując go przesunąć.

— Jak skała!

— Pełno w nim naczyń. — Malicia nie wierzyła, że to dzieje się naprawdę. — Szczury nie mówią, prawda?

— Z drogi! — krzyknął Keith, złapał za krawędź kredensu obiema rękami i pociągnął, zapierając się nogą o ścianę.

Powoli, jak potężne drzewo w lesie, kredens przesunął się do przodu. W tej samej chwili zaczęły spadać naczynia, talerz zsuwał się za talerzem, jak wspaniałe rozdanie z niezwykle kosztownej talii kart. Niektóre naczynia przeżyły upadek na podłogę, podobnie jak część kubeczków i talerzyków, gdy dodatkowo otworzyła się górna szafka kredensu. Ale nic im to nie pomogło, bo na końcu ciężki mebel wylądował na nich, rozbijając wszystko w drobny pył.

Tylko jeden cudownie uratowany talerz przetoczył się koło Keitha, wirując i wirując, aż opadł na podłogę z brzdękiem, jaki zawsze towarzyszy wiekopomnym wydarzeniom.

Keith włożył rękę do pułapki i złapał Sardynki. W chwili gdy podnosił szczura, kijek puścił i szczęki zatrzasnęły się głucho. Drzazgi z kijka poleciały na wszystkie strony.

— Nic ci nie jest? — zapytał Keith.

— No cóż, szefie, powiem tylko jedno. To dobrze, że szczury nie noszą bielizny... Dzięki, szefie. — Jak na szczura był dość pulchny, a gdy jego nóżki zaczynały tańczyć, sunął po podłodze niczym balonik.

Rozległ się odgłos kroków.

Malicia z bardzo groźną miną przeniosła wzrok ze szczura na Maurycego, potem na głupkowato wyglądającego Keitha, a następnie na całe to nieszczęście na podłodze.

— O... przepraszamy za bałagan — odezwał się Keith. — Ale on...

Machnęła ręką lekceważąco.

— No dobrze — powiedziała, jakby podjęła jakąś decyzję. — Myślę, że to jest tak. Ten szczur jest czarodziejskim szczurem. I założę się, że nie on jeden. Coś im się stało i teraz są całkiem inteligentne, poza tym że stepują. I... zaprzyjaźniły się z kotem. Czy szczury i kot mogą się zaprzyjaźnić? To musi być... jakaś umowa, prawda? Już wiem! Nie mówcie mi, nie mówcie mi...

— No? — mruknął Keith.

— Nie sądzę, by ktokolwiek musiał ci cokolwiek mówić — dodał Maurycy.

— ...to musi mieć coś wspólnego z plagą szczurów, zgadza się? Wszystkie miasta, o których słyszeliśmy... no cóż, wy też o nich słyszeliście, więc jeździliście z tym... jak on się nazywa...

— Keith — powiedział Keith.

— ...właśnie... który udawał, że potrafi wyprowadzić szczury, grając na flecie, bo kiedy grał, szczury wychodziły. Prawda? To było jedno wielkie oszustwo, zgadza się?

Sardynki spojrzał na Maurycego.

— Przyszpiliła nas, szefie, nie ma co gadać.

— No to teraz podajcie mi dobry powód, żebym nie zawołała straży — rzekła groźnie Malicia.

Nie muszę, pomyślał Maurycy, bo tego nie zrobisz. Jejku, jacy ludzie są przewidywalni. Otarł się o nogę Malicii i miauknął.

— Gdybyś to zrobiła, nigdy nie poznasz końca tej historii — powiedział.

— Zakończy się dla was więzieniem — triumfalnie obwieściła Malicia.

Sardynki wciąż miał na głowie słomiany kapelusz. Jeśli chodzi o zwracanie uwagi, taki szczegół bardzo się liczy.

Kiedy Sardynki zobaczył, że dziewczynka zwraca twarz w jego stronę, pospiesznie ściągnął kapelusz i stał, trzymając go przed sobą za rondo.

— Czegoś chciałbym się dowiedzieć, szefowo — powiedział.

Malicia podniosła brew.

— Czego mianowicie? — zapytała. — I nie nazywaj mnie szefową.

— Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego w tym mieście nie ma szczurów, kierowniczo — odparł Sardynki. I nerwowo wykonał kilka tanecznych kroków. Malicia potrafiła patrzeć bardziej przenikliwie niż kot.

— Nie ma szczurów?! — zdziwiła się. — Mamy tu plagę szczurów. I nie trzeba dodawać, że ty też jesteś szczurem.

— Wszędzie są przejścia po szczurach i natrafiliśmy na kilka niezwywych szczurów, ale nie spotkaliśmy ani jednego żywego szczura w całym mieście, kierowniczo.

Malicia pochyliła się nad nim.

— Ty jesteś szczurem.

— Tak, kierowniczo. Tylko że my przybyliśmy dopiero dziś rano. — Sardynki uśmiechnęły się nerwowo pod jej przenikliwym spojrzeniem.

— Chcesz kawałek sera? — zapytała. — Obawiam się, że jest tylko ten z pułapki.

— Nie, raczej dziękuję, ale jestem wdzięczny za propozycję — odparł Sardynki bardzo grzecznie.

— To na nic, uważam, że najwyższy czas, byśmy powiedzieli prawdę — oświadczył Keith.

— Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie! — zaprotestował Maurycy, który nienawidził takich sytuacji. — To wszystko dlatego...

— Ma pani rację, panienko — oświadczył z ogniem Keith. — Przemieszczaliśmy się z miasta do miasta z hordą szczurów i nabieraliśmy ludzi. Dawali nam pieniądze, byśmy się wynieśli. Przykro mi, żeśmy tak postępowali. I to miał być nasz ostatni raz. Bardzo mi przykro. Podzieliłaś się z nami jedzeniem, a sama nie miałaś wiele. Powinniśmy się wstydzić.

Maurycy przyglądał się Malicii, która zastanawiała się nad tym, co właśnie usłyszała, i pomyślał, że jej umysł pracuje inaczej niż umysły innych ludzi. To, co powinno być najtrudniejsze, rozumiała bez żadnych problemów. Czarodziejskie szczury? Oczywiście. Gadające koty? Bez problemu. Problem powstawał przy rzeczach najprostszych.

Bezgłośnie poruszała ustami. Maurycy nagle zrozumiał, że dziewczynka układa z tego opowieść.

— Więc... — odezwała się wreszcie — przybywaliście ze swymi wytresowanymi szczurami.

— Nie lubimy słowa „wytresowane”. Wolimy „uczone”, kierowniczo — powiedział Sardynki.

— ...niech będzie, z waszymi uczonymi szczurami, wprowadzaliście się do miasta i... co działo się ze szczurami, które już tam były?

Sardynki spojrział na Maurycego, szukając u niego pomocy. Maurycy skinął głową, pozwalając mu opowiadać dalej. Wiedział, że znajdą się w nie lada kłopotcie, jeśli Malicia nie ułoży sobie historii, która będzie się jej podobać.

— Trzymały się od nas z daleka, szefowo, to znaczy kierowniczo — odrzekł Sardynki.

— Czy one także potrafią mówić?

— Nie, kierowniczo.

— Myślę, że klan uważa je za coś w rodzaju małpek — wyjaśnił Keith.

— Rozmawiam z Sardynki — oświadczyła Malicia.

— Przepraszam — powiedział Keith.

— A tutaj w ogóle nie ma szczurów? — zapytała dziewczynka.

— Nie, kierowniczo. Kilka szkieletów, trochę porzucanej trutki, mnóstwo pułapek, szefowo. Ale nie ma szczurów, szefowo.

— Ale szczurołapy przynoszą codziennie pęk szczurzych ogonów.

— Mówię o tym, co widziałem, szefowo. Kierowniczo. Nie ma szczurów, szefowo. Kierowniczo. Wszędzie tam, gdzie byliśmy, nie ma w ogóle szczurów, szefowo kierowniczo.

— Czy kiedykolwiek przyglądałaś się tym szczurzym ogonom, panienko? — zapytał Maurycy.

— O co ci chodzi? — zdziwiła się Malicia.

— Nie są prawdziwe — odparł kot. — Przynajmniej nie wszystkie. To po prostu stare sznurowadła. Przyjrzałem się paru na ulicy.

— To nie były prawdziwe ogony? — zapytał Keith.

— Jestem kotem. Myślisz, że nie wiem, jak wyglądają szczurze ogony?

— Ludzie z pewnością zauważyliby różnicę! — wykrzyknęła Malicia.

— Doprawdy? — mruknął Maurycy. — Czy wiesz, co to jest skuwka?

— Skuwka? Skuwka? Jaka skuwka?

— To mały kawałek metalu na końcu sznurowadła — oświadczył Maurycy.

— Skąd kot zna takie słowa? — zapytała Malicia.

— To i owo wiem — powiedział Maurycy. — Czy kiedykolwiek przyglądałaś się z

bliska szczurzym ogonkom?

— Nie! Przecież od szczurów można się zarazić! — wykrzyknęła.

— Jasne, nogi eksplodują. — Maurycy uśmiechnął się szeroko. — Dlatego nie widziałeś skuwek. Czy ostatnio twoje nogi eksplodowały, Sardynki?

— Nie dzisiaj, szefie — odparł Sardynki. — Ale jeszcze nie ma nawet pory obiadu.

Malicia była całkiem zadowolona.

— Aha — oświadczyła i Maurycemu wydało się, że to „aha” zabrzmiało bardzo złowieszczo.

— Więc... nie powiesz o nas straży? — zapytał z nadzieją.

— Co? Miałabym się przyznać, że rozmawiałam ze szcurem czy z kotem? Powiedzą mojemu tacie, że zmyślam, i znowu mnie zamkną poza moim pokojem.

— Zamykają cię na zewnątrz twojego pokoju za karę? — zapytał Maurycy.

— Tak. Bo wtedy nie mam dostępu do moich książek. Jestem dość szczególną osobą, co już pewnie zgadliście — oświadczyła z dumą. — Nie słyszeliście o siostrach Grim? Agoniza i Eviscera Grim. To były moja babka i jej siostra. Pisały... bajki.

No to jak na razie uniknęliśmy kłopotów, pomyślał Maurycy. Najlepiej nie przeszkadzać jej mówić.

— Kiepski ze mnie czytelnik, koty nie są w tym najlepsze — powiedział. — O czym były te bajki? Opowieści o małych ludzikach ze skrzydełkami i dzwoneczkami?

— Nie. Siostry Grim pisały prawdziwe baśnie. Pełne krwi, szkieletów, nietoperzy i szczurów. A ja odziedziczyłam po nich talent — dodała.

— Tak właśnie myślałem — rzekł Maurycy.

— I jeśli pod miastem nie ma szczurów, a szczurołapy pokazują nam sznurowadła jako ogony, to coś mi tu śmierdzi szcurem — oświadczyła dziewczynka.

— Przykro mi — odezwał się Sardynki. — To pewnie ja. Trochę się zdenerwowałem.

Usłyszeli nad sobą odgłos kroków.

— Szybko, uciekajcie przez podwórko na tyłach domu! — zakomenderowała Malicia. — Schowajcie się na stryszku nad stajnią. Przyniosę wam trochę jedzenia. Dokładnie wiem, jak takie sprawy się toczą.



## Rozdział 5

**Szczur Szymon był najdzielniejszym szczurem na świecie. Każdy w Omszałym Krańcu to powie.**

„Przygoda pana Królika”

W tunelu kilka ulic dalej Ciemnaopalenizna zwiślał na czterech linkach przyczepionych do uprzęży. Linki były uwiązane na kijku, który balansował niczym huśtawka na grzbiecie bardzo grubego szczura, na każdym końcu kijka siedział szczur, a kilka innych nim poruszało.

Ciemnaopalenizna wisiał tuż nad zębami wielkiej pułapki, która całkowicie tarasowała tunel.

Pisnął, dając znak, gdzie chce się zatrzymać. Kijek odrobinę zawibrował.

— Jestem tuż nad serem — relacjonował Ciemnaopalenizna. — Pachnie jak błękitny żyłkowany z Lancashire, bardzo smaczny. Nietknięty. I bardzo stary. Przesuńcie mnie o dwie łapy<sup>[3]</sup>.

Kijek chybotął się w górę i w dół, kiedy przesuwali go do przodu.

— Niech pan uważa, sir! — pisnął jeden z młodszych szczurów tłoczących się w tunelu tuż za Oddziałem Unieszkodliwiania Pułapek.

Ciemnaopalenizna mruknął coś, zaglądając w zęby pułapki szczerzące się przed jego nosem. Wyciągnął zza jednego ze swych pasków krótki kawałek drewna z przyczepionym kawałeczkiem lusterka na jednym końcu.

— Przesuńcie odrobinę świecę... o tak. Teraz dobrze. Przyjrzyjmy się. — Włożył lusterko między zęby pułapki i lekko obrócił. — Tak myślałem... To model Mały Łapacz Prattla i Johnsona, z całą pewnością. Starszy typ, ale z dodatkowym zatraskiem. Przejechał kawał drogi. No dobrze. Wiemy, jak to działa, prawda? Ser będzie na deser!

Pomiędzy szczurami z oddziału przeleciał nerwowy śmieszek, ale ktoś odezwał się lekceważąco:

— O, to łatwe...

— Kto to powiedział? — zapytał ostro Ciemnaopalenizna.

Zapanowała cisza. Ciemnaopalenizna uniósł głowę. Młode szczury cofnęły się i został tylko jeden wyglądający bardzo, ale to bardzo samotnie.

— Ach, Odżywka — rozpoznał ją Ciemnaopalenizna. Odwrócił głowę w stronę

mechanizmu zapadkowego. — Powiadasz, że to łatwe. Miło słyszeć. W takim razie możesz nam pokazać, jak się ją rozbija.

— Powiedziała, że to łatwe — zaczęła Odżywka — bo kiedyś Wsolance pokazywał nam na zajęciach praktycznych taką pułapkę i właśnie tak ją ocenił.

— Nie musisz być taka skromna — przerwał jej Ciemnaopalenizna z błyskiem w oku. — Wszystko jest przygotowane. Ja będę tylko patrzył, dobrze? Możesz wejść w uprzęż i wykonać zadanie, co ty na to?

— Ale... ale ja niezbyt dobrze widziałam, kiedy nam pokazywał, i teraz, kiedy o tym myślę, to ja... ja... ja...

— Coś ci powiem — oświadczył Ciemnaopalenizna — ja rozbroję pułapkę, dobrze?

Na pyszczku Odżywki odmalowała się nieklamana ulga.

— Ale ty będziesz mi mówiła, co należy zrobić — dodał Ciemnaopalenizna.

— Eee... — Odżywka w tej chwili wyglądała na szczura gotowego bardzo szybko powrócić do Oddziału Pozostawiającego Odchody.

— No to świetnie — oświadczył Ciemnaopalenizna.

Uważnie odłożył lusterko i wyciągnął zza pazuchy kawałek metalu. Delikatnie postukał w pułapkę. Odżywka zadrżała.

— No więc gdzie to ja byłem... ach tak, mamy tu drażek, kawałek linki i uchwyt. Co powinienem teraz zrobić, panno Odżywko?

— E... e... e... — jąkała się przerażona szczurzyca.

— Tu bardzo skrzypi, panno Odżywko — odezwał się Ciemnaopalenizna z wnętrza pułapki.

— E... e... e... zaklinowujesz to coś...

— Jakie coś, panno Odżywko? Ja nie popędzam, ups, ten kawałek metalu się chwieje, nie chciałbym w żaden sposób poganiać, ale...

— Zaklinowujesz to coś... eee.... — Odżywka przewracała oczami.

— Może chodzi ci o tę wielką... ups... argh... argh... argh...

Odżywka zemdląca. Ciemnaopalenizna wysunął się z upręży i wyskoczył z pułapki.

— Zrobione — oświadczył. — Ścisnąłem tak mocno, że nie odskoczy znowu. Możecie ją teraz, chłopcy, odsunąć na bok. — Wrócił do oddziału i rzucił kawałek sera

przed Odżywkę. — Najważniejsze w tym biznesie to być precyzyjnym. Jesteś precyzyjny lub nie żyjesz. I następny dostaje ser. — Pociągnął nosem. — No cóż, teraz już żaden człowiek nie będzie miał wątpliwości, że są tu jakieś szczury.

Pozostałe gryzonie roześmiały się nerwowo, w sposób charakterystyczny dla osób zadowolonych, że uwaga nauczyciela skupiła się na kimś innym.

Ciemnaopalenizna rozwinął kawałek papieru. Był szczurem akcji i niepokoiła go koncepcja, że świat może być opisany małymi znaczkami. Ale rozumiał, jak jest to użyteczne. Kiedy rysował plan tunelu, papier go zapamiętywał. Tej pamięci nie mogły zmącić nowe zapachy. Inne szczury, jeśli potrafiły czytać, mogły zobaczyć w swoich głowach to samo, co widział piszący.

Wynalazł mapy. Rysował świat.

— Ta nowa technologia jest niezwykła — powiedział. — Więc... dwa tunele wcześniej jest zaznaczona trucizna. Przypilnowałeś tego, Wsolance?

— Zakopane i oznaczone — oświadczył jego zastępca. — To była szara trutka numer dwa.

— Dobry szczur — pochwalił go szef. — Niezłe paskudztwo.

— Wszędzie wokół leżały martwe kiikiisy.

— Byłem tego pewien. Na to świństwo nie ma odtrutki.

— Znaleźliśmy też tacki z trutką numer jeden i trzy — dodał Wsolance. — Mnóstwo.

— Jeśli jesteś rozsądny, jedynekę uda ci się przeżyć — stwierdził Ciemnaopalenizna. — Zapamiętajcie to wszyscy. A gdyby komukolwiek z was zdarzyło się zjeść trójkę, mamy trochę środka, który pozwoli wam z tego wyjść. Chcę przez to powiedzieć, że na końcu okażecie się żywi, ale przez dzień lub dwa będziecie woleli być martwi...

— Tu jest mnóstwo trucizn, Ciemnaopalenizno — nerwowo raportował Wsolance. — Więcej, niż zdarzyło nam się kiedykolwiek widzieć. I wszędzie leżą szczurze kości.

— W takim razie bardzo ważne są wszelkie informacje — stwierdził Ciemnaopalenizna, zapuszczając się w kolejny tunel. — I nie jedzcie martwego szczura, dopóki nie jesteście pewni, na co umarł, bo inaczej sami też umrzecie.

— Niebezpieczny Groszek mówi, że w ogóle nie powinniśmy jeść szczurów —

odparł Wsolance.

— No cóż, może i tak — zgodził się Ciemnaopalenizna — ale w tunelach trzeba być praktycznym. Nigdy nie należy marnować dobrego jedzenia. I niech ktoś ocuci Odżywkę!

— Mnóstwo trucizny — powtórzył Wsolance, gdy cały oddział ruszył do przodu.  
— Tutaj naprawdę nienawidzą szczurów.

Ciemnaopalenizna nic nie odpowiedział. Widział, że szczury już stają się nerwowe. Nigdy wcześniej nie przebywały w pobliżu takiej ilości trucizn. Czuł zapach strachu. W nim także gdzieś głęboko zagnieździł się strach i nienawidził tego uczucia.

W tym momencie do tunelu wbiegł mały szczur. Zatrzymał się bez tchu przed oddziałem.

— Melduje się Cynaderka, sir. Oddział trzeci — wyrzucił z siebie. — Znaleźliśmy pułapkę, sir! Nigdy takiej nie widzieliśmy! Świeży wszedł prosto w nią! Proszę, niech pan przyjdzie!

\* \* \*

Na stryszku nad stajnią było sporo siana, w dodatku ciepło bijące od koni poniżej miło ogrzewało pomieszczenie. Czuli się tam prawdziwie błogo.

Keith leżał, patrzył w sufit i pomrukiwał pod nosem. Maurycy przyglądał się swemu drugiemu śniadaniu, które poruszało noskiem i wąsikami. Nagle zmienił się w lśniąca maszynę do zabijania. Przyczał się, ogonem ciął powietrze niczym batem i nagle skoczył z pazurami. Rozległ się pisk.

— No dobrze — powiedział Maurycy do dygoczącej w jego łapach kulki. — Musisz tylko coś powiedzieć. Cokolwiek. Na przykład „puść mnie” czy nawet „pomocy”. Pisk nic ci nie pomoże. To tylko dźwięk. Poproś, a pozwolę ci odejść. Nikt nie może powiedzieć, że nie mam wysokiego morale w tej kwestii.

— Piii! — wrzasnęła mysz.

— Propozycja była uczciwa — oświadczył Maurycy i zagryzł ją w okamgnieniu. Po czym wrócił do kąta, gdzie Keith zajadał kanapkę z wołowiną.

— Nie potrafiła mówić — oświadczył szybko Maurycy.

— Nie pytałem cię — odparł Keith.

— Dałem jej szansę — mówił dalej Maurycy. — Słyszałeś, prawda? Wystarczyło,

by powiedziała, że nie chce być zjedzona.

— Dobrze.

— Dla ciebie to w porządku, bo ty nie musisz rozmawiać z kanapką. —  
Maurycemu coś nadal nie dawało spokoju.

— Nie miałbym pojęcia, co jej powiedzieć — odrzekł Keith.

— I chciałbym też zwrócić uwagę, że nie bawię się z nimi — rzekł Maurycy. —  
Jedno uderzenie łapą i „do widzenia, nic więcej nie napisała”... tyle że oczywiście  
myszy w ogóle nie piszą, bo nie są inteligentne.

— Wierzę ci — powiedział Keith.

— I nic nie czują — tłumaczył się dalej Maurycy.

W tej chwili usłyszeli krzyk dochodzący z pobliskiej ulicy, a potem brzęk  
tłuczonych naczyń. Przez ostatnie pół godziny takie sekwencje hałasów powtarzały się  
dość często.

— Aha, chłopaki wciąż pracują — powiedział Maurycy, ciągnąc mysz za kupkę  
siana. — Najlepsze krzyki wychodzą, kiedy Sardynki tańczy na stole.

Otworzyły się drzwi stajni. Wszedł jakiś mężczyzna, nałożył uprząż na dwa  
konie i wyprowadził je. Wkrótce chłopca i kota doszedł turkot opuszczającego  
dziedziniec powozu.

Kilka sekund później usłyszeli z dołu trzy głośnie stuknięcia. Po chwili się  
powtórzyły. A potem znowu. Wreszcie rozległ się głos Malicii:

— Jesteście na górze czy nie?

Keith wygrzebał się z siana i spojrzał w dół.

— Jesteśmy — odparł.

— Nie słyszeliście sekretnego stukania? — spytała Malicia z niezadowoleniem.

— To wcale nie brzmiało jak sekretne stukanie — wtrącił się Maurycy, mówiąc z  
pełnym pyszczkiem.

— Czy to był głos Maurycego? — zapytała podejrzliwie Malicia.

— Owszem — potwierdził Keith. — Musisz mu wybaczyć, właśnie kogoś je.

Maurycy przełknął szybko.

— To nie był ktoś! — wysyczał. — Jeśli nie potrafi mówić, nie jest kimś! Jest  
tylko jedzeniem!

— To było sekretne zapukanie — zachnęła się Malicia. — Znam się na tych

sprawach. A wy powinniście zapukać w odpowiedzi.

— Ale gdyby to po prostu ktoś stukał do drzwi, a my odpowiedzielibyśmy pukaniem, co by sobie pomyśleli? — zapytał Maurycy. — Że z nas niezłe jełopy.

Malicia całkiem nietypowo dla siebie zamilkła na dłuższą chwilę.

— Co racja, to racja — zgodziła się w końcu. — Już wiem, zawołam „To ja, Malicia!”, a dopiero potem sekretnie zapukam. Wtedy będziecie wiedzieli, że to ja, i odpowiecie mi pukaniem. W porządku?

— Czemu po prostu nie zapytać: „Cześć, czy jesteście tam na górze?” — zapytał niewinnie Keith.

Malicia westchnęła.

— Czy ty w ogóle nie rozumiesz, jak się buduje napięcie? Słuchajcie, mój ojciec pojechał właśnie do magistratu na spotkanie z rajcami. Powiedział, że naczynia były ostatnią kroplą!

— Naczynia? — powtórzył Maurycy. — Opowiedziałaś mu o Sardynki?

— Musiałam powiedzieć, że przeraził mnie wielki szczur i próbowałam się wdrapać na kredens, żeby przed nim uciec.

— Skłamałaś?

— Po prostu opowiedziałam historię — spokojnie odparła dziewczynka. — I to dobrą historię. Brzmiała dużo prawdziwiej niż to, co się wydarzyło naprawdę. Stepujący szczur? Zresztą ojciec nie był tym bardzo zainteresowany, bo dzisiaj złożono mnóstwo skarg. Twoje szczury naprawdę rozżłościły ludzi. Nie mogę się nadziwić.

— To nie są nasze szczury! — zaprotestował Keith.

— I zawsze pracują bardzo szybko — stwierdził z dumą Maurycy. — Nie bałaganą, gdy przychodzi do... bałaganienia.

— W pewnym mieście, które odwiedziliśmy w zeszłym miesiącu, już następnego poranka ogłoszono, że poszukują zaklinacza szczurów — oświadczył Keith. — Wszystko dzięki Sardynkom. To był jego wielki dzień.

— Mój ojciec strasznie krzyczał, w dodatku posłał po Blunketta i Spearsa — powiedziała Malicia. — To szczurołapy. A wiecie, co to oznaczają, prawda?

Maurycy i Keith spojrzeli po sobie.

— Udawajmy, że nie wiemy — zaproponował Maurycy.

— To oznacza, że możemy się włamać do ich budy i rozwiązać zagadkę sznurowadeł! — wykrzyknęła Malicia. Spojrzała krytycznie na Maurycyego. — Byłoby... stosowniej, gdybyśmy byli czwórką dzieci z psem, to by bardziej pasowało do naszej przygody, ale musimy się zadowolić tym, co mamy.

— Daj spokój, my tylko okradamy rząd! — odparł Maurycy.

— Oczywiście taki rząd, który nie jest czymś ojcem — pospiesznie dodał Keith.

— Więc? — zapytała Malicia, rzucając mu dziwne spojrzenie.

— Nie jesteśmy kryminalistami! — oświadczył Maurycy.

— Gdy zdobędziemy dowody, zaniesiemy je radzie miejskiej i wtedy wcale nie będziemy kryminalistami, lecz bohaterami — odparła z anielską cierpliwością Malicia. — Oczywiście może się okazać, że rada i straż są w zмовie ze szcurołapami, więc nie powinniśmy nikomu ufać. Czy wam się nigdy nie zdarzyło przeczytać książki? Niedługo zrobi się ciemno, przyjdę do was i podważymy zamek.

— Uda nam się? — zapytał Maurycy.

— Tak, spinką do włosów — potwierdziła Malicia. — Wiem, że to możliwe, bo czytałam o tym setki razy.

— A jaki to zamek?

— Ogromny. Co oczywiście oznacza, że otwarcie go będzie łatwiejsze.

Malicia wybiegła ze stajni.

— Maurycy? — odezwał się Keith.

— Tak?

— Co to za zamek i jak go mamy podważyć?

— Nie mam pojęcia.

— Przecież powiedziałaś...

— Tak, ale ja tylko się starałem, żeby ona nie przestawała mówić, bo w przeciwnym razie mogłaby stać się niebezpieczna — odparł Maurycy. — Moim zdaniem już się ujrzała w takiej roli. Ona jest... aktorką. Wiesz, o co mi chodzi. Przez cały czas gra. W ogóle nie żyje w realnym świecie. Jakby to wszystko była wymyślona opowieść. Niebezpieczny Groszek jest do niej podobny. Moim zdaniem to bardzo niebezpieczna cecha.

— Groszek to miły i mądry szczur!

— Owszem, tylko kłopot w tym, że uważa innych za podobnych do siebie. A ci,

którzy tak myślą, zawsze są niebezpieczni. Z kolei nasza przyjaciółka uważa, że życie to bajka.

— No cóż, to nieszkodliwe, prawda? — zapytał Keith.

— Tak, ale jeśli w bajkach ktoś umiera... to są tylko słowa.

\* \* \*

Oddział trzeci, specjalizujący się w pozostawianiu odchodów, odpoczywał, bo i tak zabrakło mu amunicji. Nikt nie czuł się na siłach, by przejść obok pułapki do wody ciekącej w dół po ścianie. Nikt nie chciał patrzeć na to, co tkwiło w pułapce.

— Biedny stary Świeży — odezwał się któryś. — Dobry był z niego szczur.

— Powinien był patrzeć, gdzie się pcha — odparł drugi.

— Myślałem, że się zna na pułapkach jak nikt — dodał jeszcze jeden. — Ale to był dobry szczur, choć trzeba powiedzieć, że nieco śmierdzący.

— Wyciągnijmy go — powiedział ten pierwszy. — Nie możemy go tu tak zostawić.

— Oczywiście. Zwłaszcza że jesteśmy głodni.

Na to odezwał się inny głos:

— Niebezpieczny Groszek twierdzi, że żaden szczur nie powinien jeść szczura.

— Jeśli nie wie, od czego umarł, bo wtedy sam może się zatruć — tłumaczył drugi.

Jeszcze inny powiedział:

— A my wiemy, na co on umarł. Umarł zmiażdżony. Nie możesz zarazić się zmiażdżeniem.

Wszyscy patrzyli na nieżywego Świeżego.

— Jak myślicie, co się dzieje z nami po śmierci? — zapytał jeden ze szczurów.

— Jesteśmy zjadani. Albo wysychamy kompletnie, albo pleśniejemy.

— Cali?

— Jeśli zostajemy zjedzeni przez naszych braci, zazwyczaj zostają stopy.

Szczur, który zadał pierwsze pytanie na temat śmierci, drażył temat:

— Ale co z tym, co jest w nas?

Na to ten, który mówił o stopach, odrzekł:

— A, chodzi ci o ten galaretowaty, trzęsący się zielony kawałek? Nie, to też

zostawiają. Ohyda.

— Mnie chodzi o to, co masz w sobie i co powoduje, że jesteś sobą. Co się z tym dzieje?

— Przepraszam, nie nadążam.

— No wiesz... jak... tam gdzie rodzą się sny.

Szczury przytaknęły główkami. Wiedziały o snach. Sny wstrząsnęły wszystkimi, kiedy zaczęły im się zdarzać.

— No więc kiedy we śnie poluje na ciebie pies albo kiedy latasz... komu się to dzieje? Przecież nie twojemu ciału, bo ono śpi. Musi być jakaś niewidzialna część, która w tobie mieszka. A być nieżywym to jak być uśpionym, prawda?

— To niezupełnie jest sen — powiedział jakiś szczur niepewnie, patrząc przy tym na całkiem płaski kształt, który kiedyś był znany jako Świeży. — Nie ma wtedy krwi ani strzępów ciała. No i potem się budzisz.

— Więc — odezwał się ten szczur, który rozpoczął całą dyskusję pytaniem o niewidzialną część — kiedy się budzisz, co się dzieje z tym czymś, co śniło? A kiedy umierasz, gdzie idzie to coś, co jest w tobie?

— Co, ten zielony trzęsący się kawałek?

— Nie! To coś, co kryje się za twoimi oczami!

— Mówisz o tym szaroróżowym?

— Nie, o tym niewidzialnym!

— A skąd mam wiedzieć? Nigdy niewidzialnego nie widziałem!

Teraz już wszystkie szczury patrzyły na Świeżego.

— Nie podobają mi się takie gadki — rzucił któryś. — Przypominają mi o cieniach, jakie rzuca światło świec.

— Słyszeliście o Kościanym Szczurze? — zapytał któryś. — Mówią, że kiedy umierasz, przychodzi po ciebie.

— Mówią, mówią — mamrotał któryś. — Mówią, że gdzieś pod ziemią żyje Wielki Szczur, który wszystko stworzył. I co, może stworzył także ludzi? Słabo o nas dba, jeśli dzięki niemu powstał też człowiek.

— Skąd wiesz? Może oni zostali stworzeni przez Wielkiego Człowieka?

— No, teraz to już gadasz głupstwa — powiedział szczur o imieniu Keczap, który miał najwięcej wątpliwości.

— Dobrze, już dobrze, ale musisz przyznać, że to wszystko, co jest, nie mogło ot tak po prostu się pojawić. Musiał być jakiś powód. A Niebezpieczny Groszek mówi, że pewne rzeczy należy robić, bo tak jest w porządku. No ale kto ma stwierdzić, co jest w porządku? Skąd się bierze wiedza, że coś jest dobre, a coś złe? Mówią, że jeśli jesteś dobrym szczurem, to może Wielki Szczur pozwoli, by Kościany Szczur zabrał cię do tunelu pełnego jedzenia...

— Ale Świeży nadal tu jest. Nie widziałem żadnego kościstego szczura!

— Mówią, że widzisz go tylko wtedy, kiedy przychodzi po ciebie.

— Tak?! Tak?! — wykrzykiwał któryś szczur. Był na skraju hysterii. — To w jaki sposób oni go zobaczyli, co? Powiedz mi! Życie jest wystarczająco trudne bez martwienia się o coś, co jest niewidzialne i nie możesz tego zobaczyć!

— Co tu się dzieje?

Wszystkie szczury odwróciły się jak na komendę, nagle niesamowicie zadowolone na widok Ciemnejopalenizny, który pojawił się w tunelu.

Przyprowadził ze sobą Odżywkę. Nigdy nie jest za wcześnie, powiadał, dla członków oddziału, by dowiedzieli się, co takiego ich kamrat zrobił źle.

— Rozumiem — pokręcił smutno głową, przyglądając się pułapce. — Co wam zawsze powtarzam?

— Nie wchodzić do tuneli, które nie zostały oznaczone jako czyste, sir — powiedział Keczup. — Ale Świeży, no cóż, on nie słucha... nie słuchał nigdy dość uważnie. I bardzo chciał iść dalej, sir.

Ciemnaopalenizna badał pułapkę, starając się, by na jego pyszczku malował się wyraz pewnej siebie celowości działań. A nie było mu łatwo. Nigdy w życiu nie widział pułapki takiej jak ta. Nie była gilotyną, tylko miażdżyła tego, który w nią wpadł. Ustawiono ją tak, by wpadł w nią szczur spieszący się do wody.

— I z pewnością nie będzie już więcej słuchał — stwierdził. — Twarz wygląda znajomo. Oczywiście jeśli zapomnimy o wybałuszonych oczach i wywalonym języku.

— No... rozmawiał pan ze Świeżym podczas porannej musztry. Mówił mu pan, że został wychowany, by zostawiał odchody, i ma to robić nadal, sir.

Ciemnaopalenizna ani trochę nie zmienił wyrazu pyszczka.

— Idziemy — powiedział wreszcie. — Znaleziliśmy tu wszędzie mnóstwo pułapek. Będziemy iść za wami. Nikt nie pójdzie dalej tym tunelem, zrozumiano?

Niech wszyscy powtórzą: „Tak, Ciemnaopalenizno!”.

— Tak, Ciemnaopalenizno — rozległ się chór szczurów.

— A jeden z was niech zostanie na straży. Inne oddziały też się mogą tu zapędzić.

— Co powinniśmy zrobić ze Świeżym, sir? — zapytał Keczap.

— Nie jedzcie tego zielonego, trzęsącego się kawałka — odparł Ciemnaopalenizna i pospiesznie odszedł.

Pułapki! — pomyślał. Jest ich zbyt wiele. I za dużo trucizny. Nawet ci najbardziej doświadczeni zaczęli się robić nerwowi. Nie lubił nowości. Na czym polega nowość, dowiadujesz się, kiedy cię zabija.

Szczury rozproszyły się już teraz pod całym miastem, a było to miasto jak żadne inne, które dotąd poznały. Wszędzie znajdowały pułapki na szczury. I nie natrafiły na ani jednego szczura. Na ani jednego. To nie było normalne. Przecież szczury są wszędzie. Tam gdzie są ludzie, są i szczury.

Na domiar złego młode szczury zbyt wiele się martwiły różnymi sprawami. Sprawami, których nie możesz zobaczyć ani powąchać. Ciemnaopalenizna potrząsnął głową. W tunelach nie ma miejsca na takie myśli. Życie jest czymś realnym, praktycznym, a jeśli się nie uważa, można je bardzo szybko stracić.

Zauważył, że Odżywka cały czas rozgląda się i niucha.

— Bardzo dobrze — pochwalił ją. — Nigdy dość ostrożności. I nigdy nie należy się zbyt spieszyc. Nawet gdy masz innego szczura przed sobą, bo jemu się może udać nie trafić na zapadkę.

— Tak jest, sir.

— Ale nie przejmuj się zbyt.

— On wyglądał okropnie... płasko, sir.

— Tylko głupcy się spieszą, Odzywko. Tylko głupcy się spieszą...

Ciemnaopalenizna czuł, jak opanowuje ich strach. To go martwiło. Jeśli Przemienieni spanikują, panice ulegną jako szczury. A tunele pod tym miastem nie były miejscem, gdzie mógł uciekać przerażony szczur. Wystarczy, że jeden się załamie i ruszy do ucieczki, inni podążą za nim. W tunelach rządził zapach. Kiedy wszystko szło dobrze, każdy to czuł. Ale kiedy pojawiał się strach, ogarniał całe stado niczym powódź. W świecie szczurów panika jest rodzajem choroby, którą łapie się

natychmiast.

Sytuacji nie poprawiło spotkanie z resztą Oddziału Unieszkodliwiania Pułapek. Tym razem znaleźli nową trutkę.

— Nie martwcie się — próbował ich uspokoić Ciemnaopalenizna, który sam bardzo się martwił. — Już zdarzało nam się trafić na nieznane trucizny, prawda?

— Od bardzo dawna nie — rzekł któryś ze szczurów. — Pamiętacie tę w Scrote? Z błyszczącymi niebieskimi kawałkami? Zapalała się, kiedy postawiłeś na tym nogę. Dopiero gdy szczury w nią wbiegły, dowiedzieliśmy się, jak działa.

— A tutaj co mają?

— Chodź i sam zobacz.

W jednym z tuneli szczur leżał na boku. Łapki miał zwinięte, jakby w pięści. Jęczał. Ciemnejopaleniznie wystarczyło rzucić okiem, by wiedzieć, że dla tego szczura już jest po wszystkim. To tylko kwestia czasu. Dla szczurów w Scrote to była kwestia potwornego czasu.

— Mogę ugryźć go z tyłu w kark — zgłosił się któryś szczur. — Nie będzie się dłużej męczyć.

— Miłosierny pomysł, ale to świństwo dostaje się do krwi — odparł Ciemnaopalenizna. — Znajdźcie nierozbrojoną zatraskową pułapkę. Tylko ostrożnie.

— Włożyć szczura w pułapkę, sir? — zapytała Odżywka.

— Lepiej umrzeć szybciej niż wolniej!

— Tak, ale... — Szczur, który uprzednio zgłosił się jako wolontariusz, teraz próbował zaprotestować.

Ciemnejopaleniznie włosy na głowie stanęły sztorcem. Cofnął się, pokazując zęby.

— Rób, co powiedziałem, bo ugryzę! — warknął.

Drugi szczur wycofał się od razu.

— Już dobrze, dobrze...

— I ostrzeżcie wszystkie oddziały! — wrzasnął Ciemnaopalenizna. — To nie jest łapanie szczurów, to wojna! Wycofać się ostrożnie. Nie dotykać niczego. Idziemy... Tak? Co tym razem?

Do Ciemnejopalenizny podpełzł mały szczurek. Kiedy poszukiwacz pułapek odwrócił się, szczurek cofnął się tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił na plecy,

chcąc pokazać, jak jest mały i niegroźny.

— Proszę, sir... — wyszeptał.

— Tak?

— Znaleźliśmy żywego...

## Rozdział 6

**Pewnego dnia, kiedy pan Królik był niegrzeczny, spojrzął przez płot na pole Farmera Freda. Pole pełne było świętej zielonej sałaty. A pan Królik nie był pełen sałaty. Czuł, że to nie jest w porządku.**

„Przygoda pana Królika”

— Hej! Hej, to ja. I zaraz zapukam w sekretny sposób!

Rozległo się potrójne „puk” w drzwi stodoły, a potem znowu usłyszeli głos Malicii.

— Hej, czy słyszeliście sekretne pukanie?

— Może pójdzie sobie, jeżeli będziemy cicho — odezwał się Keith ze sterty siana.

— Nie sądzę — odparł Maurycy i zawołał: — Jesteśmy tutaj!

— Musicie mi odpukać w sekretny sposób — oznajmiła Malicia. — Tak będziemy się rozpoznawać.

— Och, prblttrrrp — wymruczał Maurycy. Na szczęście żaden człowiek nie rozumiał, jak brzydkie jest to przekleństwo w kocim języku. — Spójrz, to ja, prawda? Kot. Który mówi. Jak mnie rozpoznasz? Mam włożyć czerwoną czapeczkę?

— I tak nie uważam, byś był porządnym mówiącym kotem. — Malicia wspinała się po drabinie. Wciąż była ubrana na czarno, a włosy miała ukryte pod czarną chustką. Na jej ramieniu wisiała wielka torba.

— A czemuż to? — zdziwił się Maurycy.

— Bo nie nosisz butów ani miecza, ani nie masz wielkiego kapelusza z piórem — oświadczyła, podciągając się na stryszek.

Maurycy obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

— Buty? — odezwał się wreszcie. — Na tych łapach?

— No, tak widziałam na obrazku w książce — oświadczyła spokojnie Malicia. — Takiej głupiej dla małych dzieci. Pełno w niej było zwierząt ubranych jak ludzie.

W tej chwili, a nie zdarzyło się to po raz pierwszy, Maurycy pomyślał, że gdyby biegł naprawdę szybko, w pięć minut znalazłby się na barce albo gdziekolwiek indziej daleko poza miastem.

Raz, kiedy był jeszcze małym kociakiem, pewna mała dziewczynka wzięła go do

domu i ubrała w stroje swojej lalki, a potem posadziła na półce w towarzystwie dwóch lalek i trzech czwartych misia. Udało mu się uciec przez otwarte okno, ale pozbywanie się ubrania zabrało mu cały dzień. Tą dziewczynką mogła być Malicia. Uważała, że zwierzęta to po prostu ludzie, którzy nie przywiązują wagi do pewnych spraw.

— Nie noszę ubrań — oświadczył. Nie było to bardzo na temat, ale pewnie lepiej brzmiało niż: „Uważam, że jesteś stuknięta”.

— Więc nie możesz się przebrać za kogoś innego — oświadczyła Malicia. — Już prawie ciemno. Idziemy! Musimy się skradać jak koty.

— W porządku — stwierdził Maurycy. — To chyba umiem.

Chociaż, co stwierdził kilka minut później, nigdy żaden kot nie poruszał się jak Malicia. Najwyraźniej uważała, że skradanie się nie liczy, jeśli ludzie nie widzą, że się skradasz. Ludzie na ulicy stawali, by się przyjrzeć, jak przebiega pod ścianami od jednej bramy do drugiej, kryjąc się w podcieniach. Maurycy i Keith biegli za nią. Na nich i tak nikt nie zwracał uwagi.

Wreszcie zatrzymała się w wąskiej uliczce pod wielkim drewnianym szyldem. Szyld ten przedstawiał mnóstwo szczurów ułożonych w gwiazdę, ich ogony związane były w jeden wielki węzeł.

— To jest znak starodawnej Gildii Szczurołapów — wyszeptała Malicia, zsuwając z ramienia torbę.

— Wiem — powiedział Keith. — Wygląda okropnie.

— Ale trzeba przyznać, że logo mają interesujące — stwierdziła Malicia.

Na drzwiach wisiała wielka kłódka. To dziwne, pomyślał Maurycy. Jeśli szczury nękają miasto, dlaczego szczurołapy zamknęły swoją siedzibę na cztery spusty?

— Szczęśliwie jestem przygotowana na każdą ewentualność. — Malicia sięgnęła do torby. Rozległ się chrzęst, jakby uderzały o siebie kawałki metalu i szkła.

— Co tam masz? — zapytał Maurycy. — Wszystko?

— Większość miejsca zajmuje bosak i drabinka sznurowa — odparła Malicia, wciąż grzebiąc w torbie. — Poza tym duża apteczka i mała apteczka podręczna, i nóż, i jeszcze jeden nóż, i przyborek do szycia, i lusterko do wysyłania sygnałów, i... te...

Wyciągnęła garść czarnego materiału. Kiedy go rozwinęła, Maurycy dostrzegł błysk metalu.

— Och, spinki do zamków, tak? — zapytał Maurycy. — Widziałem kiedyś złodziei

przy pracy...

— Spinki do włosów — poprawiła go Malicia, wyciągając jedną. — We wszystkich książkach, jakie czytałam, zawsze używano spinek do włosów. Po prostu wkładasz w dziurkę od klucza i kręcisz. Mam tu kilka niezginających się.

Kolejny raz Maurycy poczuł zimny dreszcz na karku. Działają w książkach, pomyślał. A niech mnie!

— A skąd tyle wiesz na temat zamków? — zapytał.

— Mówiłam ci, zamykali mnie za karę poza pokojem — odparła Malicia, kręcąc spinką w kłódce.

Maurycy widział złodziei przy pracy. Włamywacze nie przepadają za psami, ale nie mają nic przeciwko kotom. Koty nigdy nie szczekają na całe gardło. I dobrze wiedział, że złodzieje posługują się małymi skomplikowanymi narzędziami, którymi operują bardzo precyzyjnie. Nigdy nie używają głupich spi...

Klik!

— Dobrze — oświadczyła zadowolona z siebie Malicia.

— Miałaś szczęście — stwierdził Maurycy na widok otwieranych drzwi. Spojrzał na Keitha. — Jak myślisz, chłopcze, to szczęście, prawda?

— A skąd mam wiedzieć? — zdziwił się Keith. — Nigdy wcześniej nie oglądałem włamania.

— Wiedziałam, że to zadziała — oznajmiła Malicia. — Zadziałało w „Siódmej żonie Zielonobrodego”, gdzie ta żona dostała się do Pokoju Strachu i dźgnęła Zielonobrodego w oko zamrożonym śledziem.

— To była bajka? — zapytał Keith.

— Oczywiście — oświadczyła z dumą Malicia. — Z „Bajek sióstr Grim”.

— Macie jakieś złe bajki w tych stronach. — Maurycy potrząsnął głową.

Malicia pchnęła drzwi.

— O nie! — jęknęła. — Tego się nie spodziewałam...

\* \* \*

Gdzieś tak pod łapami Maurycyego i jakąś ulicę dalej miejscowy szczur, którego Przemienieni znaleźli żywego, kulił się przed Niebezpiecznym Groszkiem. Oddziały odwołano od zadań. To nie był dobry dzień.

Pułapki, które nie zabijają, pomyślał Ciemnaopalenizna. Czasami ludzie chcą złapać żywego szczura. Uczciwe pułapki, które zabijają na miejscu... no cóż, są złe, ale zazwyczaj można je ominąć, a przynajmniej jest w nich coś czystego. Pułapki na żywe szczury są jak trucizna. Oszukują.

Groszek przyglądał się nieznajomemu. Dziwne, ale szczur, który myślał o najmniej szczurzych sprawach, był także najlepszy w rozmowach z kiikiisami, chociaż rozmowa to nie było odpowiednie słowo. Nikt, nawet Szynkawieprz nie miał tak rozwiniętego zmysłu węchu jak Niebezpieczny Groszek.

Ten nowy szczur, a właściwie szczurzyca z pewnością nie była groźna. Przede wszystkim otaczające ją szczury były od niej większe, wykarmione i silne, tak więc całą swoją postawą okazywała szacunek. Przemienieni dali jej ponadto pożywienie, na które się po prostu rzuciła.

— Była w pudełku — powiedział Ciemnaopalenizna, rysując kijkiem po podłodze. — Jest ich tu bardzo dużo.

— Raz dałem się w to złapać — przyznał Szynkawieprz. — Potem przyszedł człowiek rodzaju żeńskiego i przerzucił mnie przez ogrodzenie. Nie widzę w tym za grosz sensu.

— Wydaje mi się, że niektórzy ludzie robią coś takiego, bo chcą być mili — odezwała się Śliczna. — Pozbywają się szczura ze swego domu, ale go nie zabijają.

— I tak nic to jej nie dało — skwitował z zadowoleniem Szynkawieprz. — Wróciłem następnego nocy i dobrałem się do sera.

— Nie sądzę, żeby tutaj ktoś chciał być miły — odezwał się Ciemnaopalenizna. — Z nią był też drugi szczur. A raczej część szczura. Przypuszczam, że go zjadała. Z głodu.

— Bardzo rozsądnie. — Szynkawieprz skinął głową.

— Znaleźliśmy coś jeszcze. — Ciemnaopalenizna wciąż rysował w kurzu linie i zawijasy. — Czy pan to widzi, sir?

— Hmm. Widzę, ale nie wiem, co to znaczy — powiedział Szynkawieprz. — Mnie zawsze wystarczał nos.

Ciemnaopalenizna westchnął, nie tracąc cierpliwości.

— W takim razie niech pan wywęszy, jak biegną tunele, które dzisiaj badaliśmy. To jest... taki kształt pojawia się w mojej głowie. Sprawdziliśmy ponad pół miasta.

Znaleźliśmy dużo... — rzucił okiem na Śliczną — dużo „miłych” pułapek, w większości pustych. Wszędzie leży trutka. W większości stara. Jest dużo pustych pułapek, które nie zabijają. Dużo pułapek zabijających, wciąż ustawionych. I żadnych żywych szczurów. Żadnych, poza naszą... nową przyjaciółką. Wiemy, że dzieje się tu coś bardzo dziwnego. Trochę węszyłem w okolicach miejsca, gdzie ją znaleźliśmy, i czułem szczury. Dużo szczurów. Naprawdę dużo.

— Żywych? — zapytał Niebezpieczny Groszek.

— Tak.

— Wszystkie w jednym miejscu?

— Tak mówi ten zapach — odparł Ciemnaopalenizna. — Myślę, że nasz oddział powinien pójść to sprawdzić.

Niebezpieczny Groszek zbliżył się do szczurzyca i powąchał ją znowu. Szczurzyca powąchała jego. Dotknęły się łapkami. Przemienieni przyglądali się w zdziwieniu. Niebezpieczny Groszek traktował kiikiiskę jak równą sobie.

— Jest ich dużo, naprawdę dużo — mrucał do siebie. — Wiele szczurów... ludzi... strach, mnóstwo lęków... mnóstwo szczurów... tłok... jedzenie... szczur... czy mówiłeś, że ona zjadała szczura?

— Na tym świecie szczur zjada szczura — powiedział Szynkawieprz. — Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Niebezpieczny Groszek poruszał nosem.

— I jeszcze coś. Coś... nietypowego. Dziwne... ona naprawdę się boi.

— Wpadła w pułapkę — wtrąciła się Śliczna. — A potem spotkała nas.

— Coś dużo... gorszego niż to — mówił Niebezpieczny Groszek. — Ona się nas boi, bo jesteśmy dziwnymi szczurami, ale też czuje ulgę, że nie jesteśmy... tacy, jak się spodziewała...

— Ludźmi! — nie wytrzymał Ciemnaopalenizna.

— Nie... raczej nie.

— Innymi szczurami?

— Tak... nie... ja... nie wiem, trudno powiedzieć...

— Psy? Koty?

— Nie. — Niebezpieczny Groszek cofnął się. — To coś innego, nowego.

— Co powinniśmy z nią zrobić? — zapytała Śliczna.

— Pewnie wypuścić.

— Tego zrobić nie możemy — rzekł Ciemnaopalenizna. — Rozbroiliśmy wszystkie pułapki, na które natrafiliśmy, ale wszędzie jest porozkładana trutka. Nawet myszy nie potrafiłbym tam posłać. Pamiętajmy, że nie próbowała nas atakować.

— No i co z tego? — zapytał Szynkawieprz. — Co znaczy jeden martwy kiikiis?

— Wiem, co chce powiedzieć Ciemnaopalenizna — stwierdziła Śliczna. — Nie możemy tak po prostu posłać jej na pewną śmierć.

Przecena wystąpiła do przodu i opiekuńczo objęła młodą szcurzycę. Chociaż potrafiła się Szynkawieprzowi odgryźć, nie dyskutowała z nim. Była na to za stara. Ale jej spojrzenie mówiło: Wszystkie samce są głupie, ty głupi stary szcurze.

Szynkawieprz wyglądał na zagubionego.

— Zabijaliśmy kiikiisów, prawda? — zapytał ze smutkiem. — Czemu ona ma się przy nas pętać?

— Nie możemy tak po prostu posłać jej na pewną śmierć — powtórzyła Śliczna, przyglądając się Niebezpiecznemu Groszkowi. Miał to swoje niewidzące spojrzenie.

— Chcecie, żeby się tu kręciła, zjadała nasze jedzenie i w ogóle nam przeszkadzała? — zapytał Szynkawieprz. — Ona nie potrafi mówić, nie potrafi myśleć...

— My też jeszcze niedawno nie potrafiliśmy! — zachnęła się Śliczna. — Wszyscy byliśmy tacy jak ona!

— Ale teraz potrafimy! — Szynkawieprz podniósł głos.

— Tak — spokojnie zgodził się z nim Niebezpieczny Groszek. — Teraz potrafimy myśleć. Potrafimy się zastanowić, czy dobrze postępujemy. Możemy współczuć niewinnej istocie, która nam nie zagraża. I dlatego godzimy się, by z nami została.

Szynkawieprz gwałtownie odwrócił głowę. Niebezpieczny Groszek wciąż patrzył na szcurzycę. Szynkawieprz impulsywnie cofnął się, jak szcur gotowy do walki. Ale Niebezpieczny Groszek tego nie widział.

Śliczna z uwagą obserwowała starego szczura. Został wyzwany przez małą chudzinę, która nie dotrwałaby do drugiej sekundy walki. I w dodatku Niebezpieczny Groszek nawet nie uświadamiał sobie, że rzucił wyzwanie.

On nie rozumuje w ten sposób, pomyślała Śliczna.

Inne szczury też obserwowały przywódcę. Czekwały, co zrobi.

Ale nawet Szynkawieprzowi już zaświtało, że jest nie do pomyślenia, by uderzył białego szczura. To byłoby jak odcięcie sobie własnego ogona. Odetchnął powoli i wyszeptał:

— To tylko szczur.

— Lecz ty, drogi Szynkawieprzu, już nie jesteś tylko szczurem — powiedział Niebezpieczny Groszek. — Czy pójdziesz z oddziałem Ciemnejopalenizny, by dowiedzieć się, skąd ona przyszła? To może być niebezpieczne.

Na te słowa sierść Szynkawieprza znowu stanęła dęba.

— Nie boję się niebezpieczeństw! — warknął.

— Oczywiście. Dlatego powinieneś pójść. Ona jest przerażona — rzekł Groszek.

— Nigdy nic mnie nie przerażało! — krzyknął Szynkawieprz.

Teraz wreszcie Niebezpieczny Groszek odwrócił się do niego pyszczkiem. W blasku świecy jego oczy błyszczały. Szynkawieprz nie marnował czasu na myślenie o rzeczach, których nie da się zobaczyć, powąchać czy ugryźć, ale...

Podniósł wzrok. Jego własny cień tańczył na ścianie. Szynkawieprz słyszał, jak młode szczury rozmawiają o cieniach i snach, i o tym, co się dzieje z twoim cieniem po śmierci. To go nie martwiło. Cienie nie mogą cię ugryźć. Nie ma w nich nic groźnego. Ale teraz jego własny głos mówił w jego własnej głowie: Boję się tego, co potrafią zobaczyć te oczy. Spojrzał na Ciemnąopalenizną, który przez cały czas rysował coś kijkiem w kurzu.

— Pójdę, ale to ja poprowadzę ekspedycję — oświadczył Szynkawieprz. — Jestem tutaj najstarszym szczurem.

— To mnie nie martwi — odparł Ciemnaopalenizna. — I tak na przodzie będzie szedł pan Klik.

— Wydawało mi się, że został zmiażdżony w zeszłym tygodniu — zdziwiła się Śliczna.

— Mamy jeszcze dwóch — odparł Ciemnaopalenizna. — Potem będziemy musieli napaść na kolejny sklep ze zwierzętami.

— Ja jestem dowódcą — powiedział Szynkawieprz. — I ja będę mówił, co mamy robić, Ciemnaopalenizno.

— W porządku, sir. W porządku. — Ciemnaopalenizna nadal rysował w kurzu. — I wie pan, jak rozbroić każdą pułapkę, tak?

— Nie, ale mogę kazać to zrobić tobie.

— Dobrze. Doskonale. — Ciemnaopalenizna wciąż kreślił coś kijkiem, nie podnosząc wzroku na dowódcę. — I pan mi powie, której dźwigni nie mamy dotykać, a która spowoduje, że pułapka się otworzy, prawda?

— Nie muszę się znać na pułapkach — odparł Szynkawieprz.

— Ależ musi pan. — Ciemnaopalenizna przemawiał cały czas tym samym spokojnym tonem. — A powiem panu, że w tych nowych pułapkach sam paru rzeczy nie rozumiem i dopóki nie zrozumiem, z całym szacunkiem proszę, by zostawić je mnie.

— Nie mówi się w ten sposób do starszego szczura!

Ciemnaopalenizna podniósł wzrok, a Śliczna wstrzymała oddech.

I wtedy Ciemnaopalenizna odezwał się znowu:

— Przepraszam. Nie chciałem być impertynencki.

Śliczna wyczuła, że przyglądające się tej scenie starsze szczury są zdziwione. Ciemnaopalenizna wycofał się. Nie zaatakował!

Ale też się nie ukorzył.

Futerko Szynkawieprza opadło. Stary szczur nie wiedział, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Tyle sprzecznych sygnałów.

— No cóż...

— To oczywiste, że dowódca musi wydawać rozkazy — odezwał się Ciemnaopalenizna.

— Tak, więc...

— Ale radziłbym, sir, żebyśmy to sprawdzili. Nieznane rzeczy bywają niebezpieczne.

— Tak, oczywiście — powiedział Szynkawieprz. — Tak, z całą pewnością. Zbadamy to. Oczywiście. Przypilnuję tego. Jestem dowódcą i to właśnie mówię.

\* \* \*

Maurycy rozejrzał się po wnętrzu.

— Wygląda zwyczajnie — rzekł. — Ławy, krzesła, piec, mnóstwo szczurzych skór wiszących na ścianach, stosy starych pułapek, kilka psich kagańców, zwoje drutu do siatek, wyraźne ślady, że od dawna nikt tu nie ścierał kurzu. Dokładnie tego bym

oczekiwał w Gildii Szczurołapów.

— Ja oczekiwałam czegoś... okropnego, ale interesującego — powiedziała Malicia. — Jakiejś strasznej tajemnicy.

— A czy musi być tajemnica? — zapytał Keith.

— Oczywiście! — oświadczyła, zaglądając pod krzesło. — Posłuchaj, kocie, na świecie są dwa gatunki ludzi. Są tacy, którzy tworzą akcję, i tacy, którzy jej nie tworzą.

— Świat nie ma akcji — obruszył się Maurycy. — Rzeczy po prostu się... zdarzają, jedna po drugiej.

— Tylko wtedy, gdy tak o tym myślisz — odparła Malicia, zdecydowanie zbyt zdecydowanie, zdaniem Maurycego. — Akcja jest zawsze. Musisz tylko wiedzieć, jak jej szukać. — Zamilkła, a po chwili wykrzyknęła: — Już wiem! Tutaj będzie sekretne przejście. Wszyscy szukamy!

— Ale... jak będziemy wiedzieli, że to jest wejście do sekretnego przejścia? — zapytał Keith, który teraz wyglądał na jeszcze bardziej zgubionego niż zazwyczaj. — Jak wygląda sekretne przejście?

— Oczywiście nie wygląda jak przejście!

— No cóż, w takim razie widzę kilkanaście wejść do tajemnych przejść — rzekł Maurycy. — Drzwi, okna, ten kalendarz firmy produkującej trutki, kredens, szczurza dziura, biurko...

— Jesteś złośliwy — oświadczyła Malicia, podnosząc kalendarz i uważnie sprawdzając ścianę za nim.

— Chciałem być tylko dowcipny — mruknął Maurycy — ale jeśli sobie życzysz, mogę być też złośliwy.

Keith przyglądał się długiej ławie stojącej pod zasnutym starymi pajęczynami oknem. Leżały na niej sterty pułapek. A obok rząd za rzędem stare puszki i słoiki z napisami w stylu: „Niebezpieczeństwo: Hydrogen Dioxide”, „Przeciw pladze szczurów”, „Lont” i „SzczuryPrecz”, i „Morderszczur”, i... — pochylił się, by przeczytać napis z bliska — „Cukier”. Stało też kilka kubków i imbryk na herbatę. Ława posypana była białym, zielonym i szarym proszkiem. Trochę leżało go też na podłodze.

— Choć raz spróbuj się na coś przydać — powiedziała Malicia, pukając w ściany.

— Nie wiem, jak szukać czegoś, co nie wygląda jak coś, czego szukamy — odparł Keith. — Trzymają truciznę obok cukru! I tyle tych trucizn...

Malicia stanęła i przetarła rękami oczy.

— Trudno znaleźć — stwierdziła.

— Czy mógłbym zasugerować, że tu nie ma tajnego przejścia? — zapytał Maurycy. — Wiem, że to raczej śmiały pomysł, ale może to całkiem zwykłe pomieszczenie.

Nawet Maurycy cofnął się z lekka pod naporem spojrzenia Malicii.

— Tu musi być sekretne przejście — oznajmiła. — Inaczej to nie ma sensu. — Pstryknęła palcami. — Ależ oczywiście! Wszystko robimy źle. Przecież każdy wie, że nie odnajdzie się tajemnego przejścia, jeśli się go szuka. Tylko wtedy, gdy już zrezygnujesz i zmęczony oprzesz się o ścianę, niespodziewanie uruchamia się sekretny mechanizm!

Maurycy spojrzał na Keitha, szukając u niego pomocy. Ostatecznie on też był człowiekiem. Powinien wiedzieć, jak sobie radzić z kimś takim jak Malicia. Ale Keith snuł się po pomieszczeniu, oglądając różne przedmioty.

Malicia oparła się o ścianę z nieprawdopodobną nonszalancją. Żadnego kliknięcia. Wszystkie deski podłogi trwały nieporuszone.

— Pewnie nieodpowiednie miejsce — oświadczyła. — Niewinnie złapię się ręką za ten wieszak na ubrania. — Tajemne drzwi w ścianie zupełnie się nie chciały otworzyć. — Z pewnością by pomogło, gdybyśmy mieli ozdobny świecznik. Zawsze istnieje dźwignia otwierająca sekretne wejście, którą można dostrzec przy zapalonej świecy. Każdy miłośnik przygód to wie.

— Nie ma żadnego świecznika — powiedział Maurycy.

— Wiem, niektórzy ludzie kompletnie nie czują, jak powinno wyglądać tajemnicze przejście — stwierdziła Malicia. Oparła się o kolejną ścianę, znowu bez efektu.

— Nie sądzę, żebyś znalazła to w taki sposób — powiedział Keith, z uwagą oglądając jedną z pułapek.

— Och! Doprawdy? — Malicia mruknęła sarkastycznie. — Ale przynajmniej coś robię. Gdzie ty byś szukał, jeśli z ciebie taki ekspert?

— Dlaczego w pomieszczeniu szczurołapów jest szczurza dziura? — zapytał Keith. — Przecież tu śmierdzi martwymi szczurami, mokrymi psami i trutkami. Gdybym był szczurem, nie zbliżałbym się do tego miejsca.

Malicia przez chwilę nie mówiła nic. Nagle na jej twarzy pojawił się wyraz najwyższego skupienia, jakby chciała połączyć kilka pomysłów.

— Tak — powiedziała powoli. — Tak bywa w bajkach. Często występuje w nich głupek, który przez przypadek wpada na bardzo dobry pomysł. — Przyklęknęła i zajrzała do szczurzej dziury. — Jest jakaś zapadka. Tylko lekko pchnę...

W tym momencie spod podłogi doszło ich głośnie szurnięcie, część desek odsunęła się na bok i Keith zniknął.

— No właśnie — stwierdziła Malicia. — Wiedziałam, że coś takiego się stanie.

\* \* \*

Pan Klik turkotał w tunelu, wydając warczący odgłos.

Młode szczury poszarpały mu uszy, stracił część ogona w pułapce, inne pułapki w inny sposób pouszkadzały jego ciało, ale miał przewagę: nie mogły go zabić, bo pan Klik nie był żywy, a nie był żywy, ponieważ był nakręcany. Kluczyk obracał się z warkotem.

Na karku pan Klik miał przyczepiony ogarek świecy. Pozostali członkowie Oddziału Unieszkodliwiania Pułapek przyglądali się z uwagą.

— Teraz trzeba bardzo uważać... — powiedział Ciemnaopalenizna.

W tym samym momencie rozległ się trzask i zgasło światło. Potem w dół tunelu stoczyło się koło zębate i upadło przed Ciemnaopalenizną, który stwierdził z zadowoleniem:

— Tak mi się wydawało, że tam ziemia jest nieco poruszona. No, chłopaki! Potrzebuję tu kilku, by wykopać pułapkę i odciągnąć z tego miejsca.

— Całe to testowanie podłoża bardzo nas spowalnia — odezwał się Szynekawieprz.

— Ma pan rację, sir — zgodził się z nim Ciemnaopalenizna, kiedy oddział już ich minął. — Pan może ruszać. To znakomity pomysł, zwłaszcza że pozostał nam już tylko jeden pan Klik. Mam nadzieję, że w tym mieście mają sklep z rzeczami dla zwierząt<sup>[4]</sup>].

— Chciałem powiedzieć, że powinniśmy iść szybciej — powiedział Szynekawieprz.

— W porządku, więc niech pan idzie, sir. Proszę tylko krzyknąć, by dać nam

znać, gdzie jest następna pułapka, zanim pan w nią wpadnie.

— Ja tu dowodzę, Ciemnaopalenizno.

— Tak, sir, przepraszam. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

— To nie jest dobre miasto — rzekł Szynkawieprz tonem pełnym znużenia. — Zdarzało mi się być w różnych rprptlp dziurach, ale to jest gorsze niż najgorsza z nich.

— To prawda, sir. To miasto jest martwe.

— Jak brzmi to słowo, które wymyślił Niebezpieczny Groszek?

— Zło — powiedział Ciemnaopalenizna, przyglądając się szczurom ciągnącym pułapkę. Widział sprężyny i sztuczne futerko w zaciśniętych szczękach. — Wtedy nie bardzo mogłem pojąć, o czym on mówi. Ale teraz już chyba rozumiem. — Spojrzał za siebie, gdzie mrok tunelu rozpraszała świeca, i złapał któregoś z przechodzących szczurów. — Śliczna i Niebezpieczny Groszek mają się trzymać tuż za nami, zrozumiano? Nie wolno im się nigdzie oddalać.

— Tak jest, sir — odparł szczur i ruszył dalej.

Ekspedycja przemieszczała się powoli naprzód. Tak doszli do miejsca, gdzie zaczynał się stary szeroki kanał odpływowy. Na jego dnie pozostało trochę wody, u góry widać było otwory starych rur. Tu i ówdzie wydobywała się z nich para. Kawałek dalej przez kratkę kanalizacyjną dostawało się z ulicy zielonkawie światło.

Pachniało szczurami. To był świeży zapach. Prawdę mówiąc, był tam także szczur skubiący pożywienie z tacki leżącej na pokruszonych ceglach. Na widok Przemienionych rzucił się do ucieczki.

— Za nim! — ryknął Szynkawieprz.

— Nie! — krzyknął Ciemnaopalenizna.

Kilka szczurów, które już ruszyły w pogoń, zatrzymało się niepewnych, co robić.

— Wydałem rozkaz — warknął Szynkawieprz, odwracając się do Ciemnejopalenizny.

Ekspert od pułapek lekko przykucnął i powiedział:

— Oczywiście. Ale myślę, że ocena Szynkawieprza, który pozna kilka faktów, będzie inna niż ocena sytuacji tylko po zobaczeniu jakiegoś uciekającego szczura, prawda? Niech pan powęszy, sir.

Szynkawieprz poruszył nosem.

— Trucizna?

— Szara numer dwa — potwierdził Ciemnaopalenizna. — Cuchnące obrzydlistwo. Lepiej trzymać się z daleka.

Dowódca rozejrzył się. Kanał ciągnął się daleko w jedną i drugą stronę i był na tyle wysoki, że pomieściłby czołgającego się człowieka. Tuż pod sufitem zwisały mniejsze rury.

— Ciepło tutaj — stwierdził Szynkawieprz.

— Owszem, sir. Śliczna czytała w przewodniku, że tu są gorące źródła, pompują z nich wodę do domów.

— Po co?

— Żeby się w niej kąpać, sir.

— Fuj! — Dowódcy nie podobał się ten pomysł. Ale już wiele młodych szcurków lubiło brać kąpiel.

Ciemnaopalenizna odwrócił się do oddziału.

— Szynkawieprz chce, by zakopać truciznę i oznaczyć to miejsce.

Szynkawieprz usłyszał za sobą metaliczny chrzęst. Obrócił się i ujrzał, jak Ciemnaopalenizna wyciąga ze swej siatki z narzędziami długi cienki kawałek metalu.

— Na litość krckrck, co to jest? — zapytał.

Ciemnaopalenizna świsnął kawałkiem metalu w powietrzu.

— Poprosiłem, żeby chłopiec wyglądający na głupka zrobił to dla mnie — powiedział.

I w tym momencie Szynkawieprz rozpoznał, czym Ciemnaopalenizna wymachuje.

— To jest miecz! — wykrzyknął. — Wziąłeś pomysł z „Przygody pana Królika”.

— Zgadza się.

— Nigdy w to nie wierzyłem — wyszeptał Szynkawieprz.

— Ale ostrze jest ostrzem — spokojnie odparł Ciemnaopalenizna. — Myślę, że jesteśmy niedaleko tych innych szcurków. Pewnie lepiej by było, gdyby większość z nas została tutaj... sir.

Szynkawieprz czuł, że znowu to jemu wydaje się rozkazy, ale Ciemnaopalenizna był ujmująco grzeczny.

— Proponowałbym, żeby kilku z nas poszło na rekonesans. Warto ich wyniuchać — mówił dalej Ciemnaopalenizna. — Przydałby się Sardynki, oczywiście ja pójdę...

- I ja — dodał Szynkawieprz i spojrzął na Ciemnąopaleniznę, który powiedział:
- Oczywiście.

## Rozdział 7

**I przez sztuczkę węża Olly'ego z drogowskazem, pan Królik nie wiedział, że zgubił drogę. Nie szedł do gronostaja Howarda na herbatkę, tylko kierował się w stronę Ciemnego Lasu.**

„Przygoda pana Królika”

Malicia wpatrywała się w sekretne przejście, jakby chciała wystawić mu najwyższą możliwą ocenę.

— Całkiem sprytnie schowane — oświadczyła. — Nic dziwnego, że go nie widzieliśmy.

— Niezbyt się potłukłem — doszedł ich z ciemności głos Keitha.

— To dobrze — stwierdziła Malicia, nadal badając otwór. — Jak daleko jesteś?

— Nic mi się nie stało, bo wylądowałem na jakichś workach.

— No już dobrze, dobrze, nie będziemy się nad tobą rozczulać. To nie byłaby przygoda, gdybyśmy w ogóle nie ryzykowali — powiedziała dziewczynka. — Tutaj jest drabina, dlaczego z niej nie skorzystałeś?

— No cóż, nie trafiłem na nią, kiedy spadałem.

— Czy mam cię znieść na dół? — zapytała Malicia Maurycego.

— Czy mam ci wydrapać oczy? — zapytał Maurycy Malicię.

Dziewczynka zmarszczyła brwi. Zawsze wyglądała na niezadowoloną, kiedy czegoś nie rozumiała.

— To miała być złośliwość? — spytała.

— To była sugestia — odparł kot. — Obcy nie podnoszą mnie z ziemi. Zejdź. Pójdę za tobą.

— Ależ ty nie masz nóg, które by się nadawały do schodzenia po drabinach!

— Czy ja robię uwagi na temat twoich nóg?

Malicia zniknęła w ciemnościach. Rozległ się metaliczny dźwięk, a potem rozbłysnął płomień.

— Tu jest pełno worków! — zawołała.

— Wiem — odpowiedział jej Keith. — Wylądowałem na nich. Mówiłem ci.

— To zboże! I... pęta kiełbasy! I wędzone mięso. Puszki z warzywami. Tu jest mnóstwo jedzenia! Aj! Ten kot skoczył mi na głowę! Wynos się!

Maurycy zeskoczył z niej na worki.

— Aha! — wykrzyknęła Malicia, masując sobie głowę. — Powiedziano nam, że wszystko zjadły szczury. Teraz już rozumiem. Szczurołapy łąziły wszędzie. Znały każdy kanał, każdą piwnicę... i pomyśleć, że opłacaliśmy tych złodziei z naszych podatków!

Maurycy rozejrzał się po piwnicy oświetlonej latarnią trzymaną przez Malicię. Naprawdę było tu mnóstwo jedzenia. Naprawdę siatki zwisające z sufitu były wypełnione wielkimi, ciężkimi kapustami. Kiełbasy naprawdę wisały na belkach. Naprawdę piwnicę wypełniały słoiki, beczułki i worki. I naprawdę bardzo to wszystko go martwiło.

— Co za kryjówka — stwierdziła Malicia. — Ale mamy ich. W tej chwili ruszamy do Straży Miejskiej złożyć raport, dostaniemy w nagrodę pyszne ciastko i może jeszcze jakiś medal, i...

— Coś podejrzewam — stwierdził Maurycy.

— Dlaczego?

— Ponieważ mam już taki podejrzliwy charakter! Nie uwierzyłbym twoim szczurołapom, nawet gdyby mi powiedzieli, że niebo jest błękitne. Co takiego robili? Kradli jedzenie, a potem zrzucali winę na szczury. I co, wszyscy im od razu przytaknęli?

— Nie, głupi jesteś. Ludzie znajdowali obgryzione kości i puste kosze po jajkach. A obok szczurze odchody.

— Zakładam, że można oskrobać kości, i zakładam, że szczurołapy mogą podrzucić szczurze odchody — przyznał Maurycy.

— I żeby zostało dla nich więcej, zabijali wszystkie szczury! — dokończyła triumfalnie Malicia. — Bardzo sprytne!

— Tak, i to jest właśnie zaskakujące, bo widziałem tych waszych szczurołapów i moim zdaniem, gdyby z nieba leciały parówki, nie umieliby znaleźć widelca, żeby je zjeść.

— Zastanawiam się nad czymś — zaczął Keith, który cały czas mrucał sobie pod nosem.

— Wreszcie ktoś się na to zdecydował — dogryzła mu Malicia.

— Chodzi mi o ten drut — mówił dalej Keith. — W pomieszczeniu były zwoje

drutu.

— Czy to takie ważne?

— Do czego szczurołapom potrzebny drut?

— Skąd mam wiedzieć? Może na klatki? Czy to ma jakieś znaczenie?

— A co mieliby wkładać do klatek? Przecież martwe szczury nie uciekają!

Zapadła cisza. Maurycy widział, że Malicii nie uszczęśliwiła ta uwaga. To była niepotrzebna komplikacja. Psuła historię.

— Ja mogę wyglądać na głupka — ciągnął dalej Keith — ale nie jestem głupi. Mam czas, żeby się zastanawiać nad różnymi sprawami, bo nie gadam bez przerwy. Przyglądam się. Słucham. Staram się dowiedzieć. I...

— Ja wcale nie gadam bez przerwy.

Maurycy uznał, że należy dać im się wykłócić, i odmaszerował w róg piwnicy. Lub piwnic. Najwyraźniej były dość rozległe. Nagle dostrzegł, że coś sunie po podłodze, i skoczył, nim zdążył pomyśleć. Jego żołądek pamiętał, że od czasu myszy minęło sporo czasu, i tę wiedzę przekazał łapom.

— No, malutki — rzekł, kiedy to coś w jego łapach pisnęło — mów albo...

Poczuł, jak w nos wbija mu się ostry kijek.

— Pozwolisz? — odezwał się Sardynki, próbując się uwolnić.

— Nie ma powodu, byś się zachowywał tak brutalnie — mruknął Maurycy, liżąc swój obolały nos.

— Przecież mam rkrklk kapelusz! — wykrzyknął Sardynki. — Nie możesz patrzeć?

— Dobrze, już dobrze, przepraszam... Skąd się tu wzięłeś?

Sardynki otrząsnął się.

— Szukam ciebie i tego wyglądającego na głupka dzieciaka. Szynkawieprz mnie wysłał. Mamy kłopoty. Nigdy nie uwierzysz, cośmy znaleźli!

— Wysłał cię do mnie? — zdziwił się Maurycy. — Myślałem, że mnie nie lubi.

— No cóż, powiedział, że to jest okropne zło, więc będziesz wiedział, co z tym zrobić, szefie. Spójrz tylko. — Sardynki pokazał swój kapelusz. — To dziura od twoich pazurów.

— Ale zapytałem, czy potrafisz mówić, prawda?

— Tak, zapytałeś, ale...

- Zawsze pytam!
- Wiem, ale...
- Jestem bardzo zasadniczy w tej sprawie.
- Tak, tak, pytałeś bardzo wyraźnie. Gdzie jest chłopak?
- Tam z tyłu, rozmawia z dziewczyną — odparł ponuro Maurycy.
- Co, z tą zwariowaną?
- Właśnie.
- Weź ich ze sobą. To zło jest straszne. Po drugiej stronie tych piwnic są kolejne drzwi. Jestem zdziwiony, że nic nie czujesz stąd!
- Chcę, żeby dla wszystkich było oczywiste, że pytałem...
- Szefie — przerwał mu Sardynki — to jest na serio!

\* \* \*

Śliczna i Ciemnaopalenizna czekali na powrót grupy zwiadowczej. Towarzyszył im młody szczur, Truczna, który dobrze sobie radził z czytaniem i występował jako asystent. Śliczna miała ze sobą „Przygodę pana Królika”.

- Bardzo dawno temu poszli — stwierdził Truczna.
- Opalenizna sprawdza każdy krok — odpowiedziała mu Śliczna.
- Coś jest nie tak — powiedział Niebezpieczny Groszek. Poruszył nosem. Jakiś szczur nadbiegł, przepchnął się koło nich i uciekł dalej.
- Strach — powiedział Niebezpieczny Groszek, wężąc w powietrzu. Trzy szczury minęły ich, przepychając się bezpardonowo.
- Co się dzieje? — zapytała Śliczna, kiedy kolejny szczur potracił ją w biegu. Pisnął tylko i ruszył dalej.
- To była Wyborna — poznała szczurycę Śliczna. — Dlaczego nic nie powiedziała?
- Więcej... strachu — stwierdził Niebezpieczny Groszek. — Oni są... przerażeni...
- Truczna chciał zatrzymać następnego, ale szczur ugryzł go i popiskując, biegł dalej.
- Musimy wrócić — stwierdziła Śliczna. — Co oni tam znaleźli? Może to łasica?
- Niemożliwe! — zaprotestował Truczna. — Ciemnaopalenizna zabił kiedyś

łasicę.

Minęły ich kolejne trzy szczury. Jeden z nich zapiszczał coś do Ślicznej, mruknął w kierunku Niebezpiecznego Groszka i pobiegł dalej.

— Zapomnieli, jak się mówi... — wyszeptał Groszek.

— Coś musiało ich naprawdę przerazić! — powiedziała Śliczna, łapiąc swoje notatki.

— Nigdy nie byli tak przerażeni! — stwierdził Truczna. — Pamiętacie, jak wytropił nas pies? Byliśmy przestraszeni, ale rozmawialiśmy, i to my zwabiliśmy go w pułapkę, i to on uciekał ze skomleniem...

Śliczna zdała sobie sprawę, że Groszek płacze. To było wstrząsające.

— Zapomnieli, jak się mówi — powtarzał.

Znowu kilka szczurów przepchnęło się koło nich, popiskując. Śliczna próbowała zatrzymać jednego, ale pognał dalej.

— To był Czteryportcje! — stwierdziła, odwracając się do Truczny. — Rozmawiałam z nim nie dalej jak godzinę temu! On... Truczna?

Jego futerko sterczało najeżone. Oczami strzelał na boki. Szczyrzył zęby. Patrzył na nią, a może raczej poprzez nią, nagle odwrócił się i uciekł.

Czując wszechogarniający strach, objęła Groszka łapkami.

\* \* \*

Szczury. Od ściany do ściany, od podłogi do sufitu — szczury. Pełno w każdej klatce, przywierały do drutów napiętych pod ich ciężarem. Klatki aż kipiały od gramolących się na siebie lśniących ciał. Łapy i nosy sterczały w okach drucianej siatki. Panował okropny smród.

Zwiadowcy, którzy pozostali z oddziału zwiadowczego Szynkawieprza, skupili się na środku piwnicy. Została ich nędzna resztką. Gdyby wonie wypełniające pomieszczenie były odgłosami, można by było usłyszeć krzyki, tysiące krzyków. Wywoływały dziwne napięcie. Nawet Maurycy to poczuł, jak tylko Keith wyważył drzwi. To było jak ból wewnątrz głowy, starający się z niej wyjść. Aż dzwoniło w uszach.

Maurycy stał w pewnym oddaleniu od grupy szczurów. Nie trzeba być bardzo sprytnym, by zrozumieć, że sytuacja nie jest najlepsza i może trzeba będzie brać nogi za pas.

Widział Ciemnąopaleniznę i Szynkawieprza z paroma innymi Przemienionymi. Spoglądali na klatki.

Zadziwiło go, że Szynkawieprz się trzęsie. Ale stary szczur dygotał z wściekłości.

— Wypuść je! — zawołał do Keitha. — Wypuść je wszystkie! Natychmiast!

— Jeszcze jeden mówiący szczur? — zdziwiła się Malicia.

— Wypuść je! — wrzeszczał Szynkawieprz.

— Jakie to wstrętne! — Malicia wpatrywała się w klatki.

— Mówiłem o drucie — odezwał się Keith. — Spójrz, widać, gdzie były reperowane. Szczury przegryzały się na wolność!

— Powiedziałem, wypuść je! — wrzeszczał Szynkawieprz. — Wypuść albo cię zabiję. Zło! Zło! Zło!

— Przecież to tylko szczury — powiedziała Malicia.

Szynkawieprz skoczył jej na sukienkę, wdrapał się aż na kark. Zamarła.

— Te szczury zjadają siebie nawzajem. Ugryzę cię, ty zła...

Keith złapał go mocno i odciągnął od szyi dziewczynki.

Szynkawieprz wbił zęby w jego palec. Malicia krzyknęła. Nawet Maurycy zamrugął z niedowierzaniem.

W oczach chłopca pojawiły się łzy. Bardzo ostrożnie postawił Szynkawieprza na podłodze.

— Ten zapach tak ich denerwuje — powiedział.

— Ja... wydawało mi się... że są oswojone — wydusiła z siebie wreszcie Malicia.

Podniosła z podłogi szczapę drewna i zamachnęła się na Szynkawieprza.

Keith wyrwał jej szczapę z ręki.

— Nigdy, ale to przenigdy nie groź żadnemu z nas!

— On mnie zaatakował!

— Rozejrzyj się! To nie jest opowieść! To dzieje się naprawdę! Nie rozumiesz?

One tracą zmysły ze strachu!

— Jak śmiesz tak do mnie mówić! — wrzasnęła Malicia.

— Będę rrrkrk!

— Wcześniej powiedziałaś: żadnemu z nas! A to co było? Szczurze przekleństwo? Przeklinasz jak szczur?

Zupełnie jak koty, pomyślał Maurycy. Stanęli nos w nos i wrzeszczą na siebie. Nagle postawił uszy. Ktoś schodził po drabinie. Maurycy wiedział z doświadczenia, że szkoda czasu, by mówić do ludzi. Zawsze w takiej sytuacji padało: „Co?” albo „To nie w porządku”, albo „Gdzie?”.

— Uciekać stąd, i to już! — powiedział tylko, przebiegając koło Ciemnejopalenizny. — Nie zachowujcie się teraz jak ludzie, tylko w nogi!

Dość tego heroizmu, uznał. Nie warto dla innych zatrzymywać się w ucieczce. Zobaczył w ścianie wylot suchego kanału. Zahamował na śliskiej drodze — o tak, była tam dziura w sam raz dla Maurycyego. Wskoczył akurat w chwili, gdy szczurołapy weszły do piwnicy. Potem, bezpiecznie już ukryty w ciemnościach, patrzył, co się będzie dalej działo.

Ale najpierw sprawdził, czy z nim wszystko w porządku. Cztery łapy? Są. Ogon? Na miejscu. Dobrze.

Zobaczył, jak Ciemnaopalenizna szarpie Szynekawieprza, który zamienił się nagle w słup soli. Pozostałe szczury ruszyły biegiem do innego kanału po drugiej stronie piwnicy. Poruszały się niepewnie. Tak się dzieje, jeśli pozwalasz sobie za bardzo kombinować, pomyślał Maurycy. Myślały, że są mądre, ale zagnany w kąt szczur pozostaje szczurem.

A ja jestem inny. Mózg mi działa doskonale przez cały czas. Zawsze o krok do przodu. Nie tracę kontaktu z rzeczywistością i wiem, co się koło mnie dzieje.

Na widok szczurołapów w klatkach podniósł się harmider. Keith i opowiadająca historie dziewczynka zamarli w bezruchu.

Ciemnaopalenizna zrezygnował z szarpania Szynekawieprza. Wyciągnął miecz, spojrzął na ludzi, zawahał się, a potem czmychnął w stronę kanału.

Tak, pozwólmy, by załatwili to między sobą, pomyślał Maurycy. Ostatecznie to są ludzie. Mają wielkie mózgi, potrafią mówić, nie powinno być żadnego problemu.

No, opowiedz im historię, dziewczynko z historiami.

\* \* \*

Pierwszy szczurołap przyglądał się Keithowi i Malicii.

— Co tu robisz, panienko? — zapytał podejrzliwie.

— Bawicie się w mamusię i tatusia? — Głos drugiego szczurołapa brzmiał prawie

wesoło.

— Włamaliście się do nas — powiedział pierwszy. — A włamanie to włamanie. Malicia nie wytrzymała.

— A wy kradliście, tak jest, kradliście i zwałaliście winę na szczury! Dlaczego trzymacie w klatkach tyle szczurów? I co powiecie o skuwkach? Zdziwieni? Wydawało się wam, że nikt tego nie zauważy, co?

— Skuwki? — Pierwszy zmarszczył brwi.

— Takie małe metalowe końcówki na sznurowadłach — podpowiedział mu cicho Keith.

Pierwszy odwrócił się do drugiego.

— Ty idioto! Tłumaczyłem ci, Bill, że mamy wystarczająco dużo prawdziwych. Nie mówiłem, że wreszcie ktoś zauważy? No i ktoś zauważył.

— Tak, nie myślcie sobie, że wszystko wam ujdzie płazem! — Oczy Malicii lśniły. — Jesteście zwykłymi zbirami. Jeden wielki i gruby, drugi chudy — dokładnie tak powinniście wyglądać. No, który tu jest szefem?

Oczy pierwszego zaszklily się z lekka, co często się ludziom zdarzało, gdy Malicia coś mówiła. Pogroził jej grubym paluchem.

— Wiesz, co teraz robi twój tatko?

— Ha! Śmieszna mowa rzezimieszków! — wykrzyknęła Malicia z triumfem. — No, dalej...

— Właśnie wysłał po zaklinacza szczurów — poinformował ją drugi. — To kosztuje majątek! Trzysta dolarów na miasto, a jeśli nie zapłacicie, zaklinacz naprawdę się zdenerwuje!

Ojej, pomyślał Maurycy. Ktoś zdecydował się zamówić prawdziwego... za trzysta dolarów. Trzy setki?! A myśmy żądali trzydziestu!

— To ty, prawda? — Pierwszy paluchem wskazywał teraz Keitha. — Chłopiec wyglądający na głupka. Zjawiasz się i nagle jest mnóstwo nowych szczurów. Jakoś ciebie nie lubię. Nie lubię ani ciebie, ani tego dziwnego kota. Jeśli jeszcze gdzieś go zobaczę, sprawię mu łupnia.

Maurycy aż się skulił w ciemności.

— Cha, cha, cha! — wybuchnął śmiechem drugi szczurołap.

Musiał to długo ćwiczyć, pomyślał Maurycy.

— I my nie mamy szefa — oświadczył Malicii pierwszy.

— Tak, sami sobie jesteśmy szefami — dodał drugi.

Wtedy historia potoczyła się niezgodnie z zasadami.

— A ty panienko — zwrócił się pierwszy do Malicii — zdecydowanie za dużo paplasz. — Podniósł ją w górę i rzucił na klatki ze szczurami.

Zwierzęta oszalały. W klatkach aż się zagotowało, kiedy dziewczynka osuwała się na podłogę.

— Zamierzasz coś zrobić, chłopcze? — zapytał pierwszy szczurołap, spoglądając na Keitha. — Ona jest dziewczyną, więc dla niej byłem przyjemny, ale ciebie po prostu wsadzę do którejś klatki...

— Tak, dzisiaj jeszcze nie dostały żarcia! — stwierdził z zachwytem drugi.

No, chłopcze! — pomyślał Maurycy. Zrób coś!

Ale Keith nie zrobił nic. Pierwszy obejrzał go z góry na dół z pogardą.

— Co tam masz, chłopcze? Fujarkę? Dawaj! — wyrwał fujarkę zza pasa Keitha, a chłopaka pchnął na ziemię. — Drewniany flecik? Myślisz, że jesteś zaklinaczem szczurów, co? — Przełamał drewniany instrument na dwie części i cisnął je w głąb klatek. — Wiesz, powiadają, że pewien zaklinacz wyprowadził z miasta wszystkie dzieci. Ten to miał dobry pomysł!

Keith zmrużył oczy w szparki. Podniósł się z ziemi.

Teraz! — pomyślał Maurycy. Skoczy na niego z nadludzką siłą, z siłą swego gniewu. Za chwilę będą żałować, że z nim zaczęli.

Keith skoczył naprzód ze zwykłą siłą chłopca, wylądował o krok przed pierwszym szczurołapem, który jednym brutalnym ciosem powalił go znowu na ziemię.

No dobra, dobra, oberwał, myślał Maurycy, kiedy Keith walczył o oddech. Ale podniesie się przecież.

A wtedy usłyszał przenikliwy krzyk i pomyślał: Aha!

Ale to nie Keith krzyczał.

Szara postać z klatki ze szczurami rzuciła się człowiekowi do twarzy. Z nosa pierwszego szczurołapa popłynęła krew.

Aha! — pomyślał znowu Maurycy. To Szynkawieprz przybywa z odsieczą. Co się dzieje ze mną! Mrillp! Zaczynam myśleć jak dziewczyna! Opowiadam historię!

Szczurołap złapał szczura i teraz trzymał go w wyciągniętej ręce. Szynkawieprz wierzgał i wił się, popiskując z obrazy. Jego pogromca trzymał się za nos drugą ręką i przyglądał się z uwagą szalejącemu szczurowi.

— Ten to jest waleczny — powiedział drugi. — Jak się wydostał?

— To żaden z naszych — stwierdził pierwszy. — On jest śniady.

— Co w nim jest śniadego?

— Śniady szczur jest odmianą szczura szarego, co byś dobrze wiedział, gdybyś był tak doświadczonym członkiem gildii jak ja — odparł pierwszy. — Nie są stąd, tylko z równin. To dziwne, że ten się tutaj znalazł. Bardzo dziwne. Tłusty i wyjątkowo dziki. Ale nadaje się tak samo jak inne.

— Krew ci leci z nosa.

— Tak, wiem. Mam więcej szram po ugryzieniach szczurów, niż ty w życiu jadłeś gorących obiadów. Już ich nie czuję — powiedział pierwszy szczurołap głosem, który sugerował, że wijący się i szarpiący Szynkawieprz jest dużo bardziej interesujący niż kolega.

— Na obiad mamy tylko zimne parówki.

— Trudno. Ale z niego zawadiaka. Istny diabeł. Odważny, trzeba przyznać.

— Miło, że pan tak mówi.

— Mówiłem do szczura, szanowny panie. — Pierwszy pchnął Keitha butem. — Bill, zwiąż tych dwoje. Wsadź ich na razie do którejś piwnicy, ale takiej z porządnymi drzwiami. I porządnym zamkiem. I bez sekretnych drzwi. I potem oddaj mi klucz.

— To jest córka burmistrza — powiedział drugi. — Burmistrzowie zazwyczaj troszczą się o swoje córki.

— W takim razie zrobi wszystko, co mu każemy, prawda?

— Zamierzasz dać temu szczurowi porządną nauczkę, co?

— Takiemu zawadiace? Chyba żartujesz! Jeśli będziesz tak myślał, przez całe życie zostaniesz tylko pomocnikiem szczurołapa. Ile ich zostało w specjalnej klatce?

— Tylko dwa. Zjadły pozostałe cztery. Jedynie skórki zostały.

— No to teraz powinny być pełne siły i zapału. Zobaczymy, co mu zrobią, dobrze?

Maurycy usłyszał odgłos otwieranej, a następnie zamykanej klatki.

Szynkawieprz widział wszystko na czerwono. Czerwień przesłaniała mu widok.

Złość przepęłniała go od miesięcy, aż do trzewi, złość na ludzi, na trucizny, na pułapki, złość na to, że młode szczury nie okazują mu należytego szacunku, złość, że świat tak szybko się zmienia, złość, że on się robi stary... A teraz z tą złością zlała się silna woń gniewu, przerażenia i okrucieństwa. Szynkawieprza ogarnęła wielka czerwona rzeka gniewu. Został osaczony, złapany, ale wciąż potrafił myśleć. Zawsze był niebezpiecznym zabijaką, na długo zanim wszyscy nauczyli się myśleć i mówić, i nadal był bardzo silny. Dwa młode, głupie kiikiisy, nieznające się na taktyce, bez doświadczenia w walce góra-dół, nieumiejące pracować nogami i bez cienia myśli, nie były dla niego przeciwnikami. Skok, obrót, dwa ugryzienia i po wszystkim...

Szczury w klatkach cofnęły się jak najdalej. One też czuły jego furię.

— A to spryciarz — powiedział pierwszy szczurołap. — Przyda mi się.

— Wystawisz go?

— Tak, wystawię.

— Dziś w nocy?

— Taaa... Piękny Artur wystawia dziś swojego Jacko. Zbiera zakłady, że pies zabije sto szczurów w kwadrans.

— Jacko to dobry terier. Poradził sobie z dziewięćdziesięcioma kilka miesięcy temu, a Piękny Artur przez ten cały czas go tresował. Będzie dobra zabawa.

— Postawiłbyś na Jacko, prawda? — zapytał pierwszy.

— Pewnie. Każdy by tak zrobił.

— Nawet gdyby wśród szczurów zjawił się nasz mały przyjaciel? Pełen zapału, bitny jak żaden?

— No, nie wiem...

— Dobra, dobra — pierwszy uśmiechnął się.

— Ale nie podoba mi się pomysł zostawiania tutaj tych dzieciaków.

— Mów „te bachory”, nie „te dzieciaki”. Ile razy mam ci powtarzać? Zasada dwudziesta siódma naszej gildii: gadaj jak głupek. Ludzie stają się podejrzliwi, gdy szczurołap mówi zbyt dobrze.

— Przepraszam.

— Trzeba być sprytnym.

— Przepraszam, zapomniałem.

— Ty zwykle zachowujesz się całkiem odwrotnie.

— Przepraszam. Te bachory. Ale wiązanie ludzi jest okrutne. I ostatecznie to tylko dzieci.

— Więc?

— Więc znacznie łatwiej byłoby je zaprowadzić tunelem do rzeki, tam przyłożyć im w głowę i wrzucić do wody. Będą daleko stąd, zanim ktoś je wyłowi, a i wtedy już nikt ich nie rozpozna, ryby zrobią swoją część roboty.

Na moment zapadła cisza. Maurycy nastawił uszu.

— Nie wiedziałem, Bill, że masz takie dobre serce.

— No i, przepraszam, ale wpadłem też na pomysł, jak się pozbyć tego grajka...

Głos, który odpowiedział, dochodził jakby z wszystkich stron. To było tak, jakby się znaleźć w środku wichury albo pośród jęku agonii. Głos wypełniał całą piwnicę.

*NIE! Grajka możemy wykorzystać!*

— Nie, grajka możemy wykorzystać — odezwał się pierwszy szczurołap.

— W porządku — zgodził się z nim drugi. — To samo sobie pomyślałem. Jak możemy go wykorzystać?

I znowu Maurycy usłyszał w swojej głowie dźwięk jak wiatr hulający po jaskini.

*Czyż to nie OCZYWISTE?*

— Czyż to nie oczywiste? — zapytał pierwszy szczurołap.

— Tak, oczywiste — zgodził się drugi. — Oczywiste, że oczywiste. I...

Maurycy widział, jak szczurołapy otwierały klatki, łapały szczury i wpychały je do worków. W jednym z worków wylądował Szynkawieprz. Potem szczurołapy odeszły, ciągnąc ze sobą pozostałych przedstawicieli gatunku ludzkiego, a Maurycy zastanawiał się: Gdzie w tym labiryncie znajduje się dziura wielkości kota?

Koty nie widzą w ciemnościach. Potrafią natomiast widzieć przy bardzo niewielkiej ilości światła. Cienki promień księżyca wpadał do piwnicy przez dziurę w suficie, tak małą, że mysz ledwie by się w niej zmieściła, z pewnością za małą dla Maurycygo — założywszy, że do niej by dosięgnął.

Promień księżyca oświetlał też sąsiednią piwnicę. Jej także używały szczurołapy, w jednym rogu leżało kilka beczek i stos połamanych klatek. Maurycy chodził wkoło, szukając wyjścia. Znalazł drzwi, ale miały klamki, a choć był zadziwiająco mądry, nie umiał rozwiązać zagadki klamek. Zauważył jednak kolejną rurę ściekową w ścianie. Wskoczył w nią.

Prowadziła do jeszcze jednej piwnicy. Gdzie także znajdowały się pudła i worki. Przynajmniej tu jest sucho, pomyślał.

*Jakim stworzeniem jesteś?* — rozległ się za nim głos.

Maurycy obrócił się. Zobaczył tylko pudła i worki. Wszędzie śmierzdziało szczurami, słychać było nieustający szelest i od czasu do czasu słaby pisk, ale i tak ta piwnica była małym niebem w porównaniu z piekłem klatek.

Głos dochodził z tyłu, prawda? Na pewno go słyszał, nie ma wątpliwości. Chociaż... teraz Maurycemu wydawało się, że głos pojawił się od razu w jego głowie, nie kłopotząc się przechodzeniem przez uszy. Tak samo było ze szczurołapami. Rozmawiali, jakby słyszeli głos i brali go za własne myśli. Czyżby tego głosu tak naprawdę nie było?

*Nie widzę cię,* odezwało się wspomnienie. *Nie wiem, kim jesteś.*

To nie był dobry głos dla pamięci. Dźwięki bardziej przypominały szepty, które wcinały się w umysł niczym ostry nóż.

*Podejdź bliżej.*

Maurycyego zaświerzbiałały łapy. Chciały uciekać co sił. Wyciągnął pazury i odzyskał panowanie nad sobą. Ktoś się po prostu kryje za pudłami, pomyślał. I odezwanie się w tej sytuacji raczej nie jest dobrym pomysłem. Ludzie mają głupie skojarzenia na widok mówiącego kota. Trudno liczyć, że się znowu spotka kogoś równie świrniętego jak ta dziewczynka.

*Podejdź BLIŻEJ.*

Musiał coś powiedzieć. Ten głos nie da mu spokoju.

— Całkiem mi dobrze tu, gdzie jestem — odparł Maurycy.

*W takim razie czy podzielisz się z nami naszym BÓLEM?*

Ostatnie słowo zabolalo. Ale nie bardzo, i to było zadziwiające. Głos brzmiał głośno, wyraźnie, dramatycznie, jakby jego właściciel chciał ujrzeć Maurycyego zwijającego się w bólach. Zamiast tego zaaplikował mu lekki ból głowy.

Potem głos zabrzmiał znowu i tym razem pojawiła się w nim podejrzliwość.

*Jakim stworzeniem jesteś? Twój umysł jest NIEDOBRY.*

— Wolę słowo „zadziwiający” — rzekł Maurycy. — Ale kim ty jesteś, że zadajesz mi takie pytania z ciemności?

Czuł jedynie zapach szczurów. Usłyszał lekki szmer po swojej lewej stronie i w

tej samej chwili dostrzegł wielkiego szczura pełzającego w jego kierunku.

Inny dźwięk zwrócił jego uwagę. Z drugiej strony zbliżał się drugi szczur. W ciemnościach widział tylko jego zarys.

Szelest z przodu podpowiadał, że tam sunie kolejny.

*Oto nadchodzą moje oczy... CO?! KOT! KOT! ZABIĆ!*

## Rozdział 8

**Pan Królik uświadomił sobie, że jest tłustym króliczkiem w Ciemnym Lesie, i nagle zapragnął nie być królikiem albo przynajmniej nie być tłustym. Ale już nadchodził szczur Szymon. Który zresztą w ogóle nie wiedział, co go czeka.**

„Przygoda pana Królika”

Kiedy trzy szczury skoczyły, było już za późno. W powietrzu pozostało tylko miejsce po Maurycy, a sam Maurycy znajdował się po drugiej stronie piwnicy i wdrapywał na jakieś pudła.

Usłyszał pod sobą pisk. Wskoczył na kolejne pudło i zobaczył w ścianie miejsce, z którego wypadło kilka zmurszałych cegieł. Wspiął się, zabalansował w powietrzu, kiedy cegła pod nim się poruszyła, i wskoczył w nieznaną.

To była następna piwnica. Pełna wody. Choć po prawdzie, wypełniała ją coś, co niezupełnie było wodą. Mogłoby to ewentualnie stać się wodą, gdyby szczurze klatki w sąsiedniej piwnicy były czyszczone i gdyby wszystko to miało szansę osiąść i lasować się przez jakiś, powiedzmy, rok. Natomiast nazwanie tego czegoś błotem byłoby obrazą dla powszechnie szanowanych terenów błotnych całego świata.

No i Maurycy właśnie w coś takiego skoczył.

Zawzięcie płynął pieskiem (jeśli możemy tak powiedzieć o kocie, ale chyba nie mamy wyjścia), starając się nie oddychać, i wreszcie wdrapał się na kupę gruzu. Złamana krokiew, śliska od szlamu, prowadziła do suchszej, osmalonej belki pod sufitem.

Wciąż słyszał w głowie ten przerażający głos, teraz nieco przytłumiony. Głos próbował wydawać mu polecenia. Rozkazywać kotu? Łatwiej jest przybić galaretkę do ściany. Co ten głos sobie myślał? Że on jest psem?!

Ociekał cuchnącym błotem. Nawet w uszach miał pełno błota. Zaczął się wylizywać do czysta, lecz nagle przerwał. To była całkowicie naturalna kocia reakcja, wylizać się do czysta. Ale lizanie czegoś takiego mogłoby okazać się śmiertelnie ryzykowne...

W ciemnościach coś się poruszyło. Dostrzegł kilka wielkich szczurów przedostających się przez dziurę. Potem usłyszał kilka plusków. Szczury wdrapywały się po ścianie.

*O, odezwał się głos. Widzisz ich? Patrz, jak zbliżają się do ciebie, KOCIE!*

Maurycy się opanował. To nie był czas, by słuchać swego wewnętrznego ja. Wewnętrzne ja poganiało go do ucieczki, ale wewnętrzne ja było głupie. Kierowało go, by atakował mniejszych od siebie, a uciekał przed wszystkim innym. Ale żaden kot nie zwieje przed bandą ogromnych szczurów. Zamarł, nie spuszczać wzroku z nadchodzących szczurów. Szły wprost na niego.

Poczekajmy... poczekajmy...

*Widzisz je, prawda?* — zapytał głos.

Skąd on to wie?

Maurycy próbował myśleć na głos: Czy... potrafisz... czytać... w... moich... myślach?

Nic się nie stało.

Nagle Maurycygo olśniło. I zamknął oczy.

*Otwórz je!* — natychmiast nadpłynął rozkaz.

Powieki Maurycygo zatrzepotały.

Nie potrafisz, pomyślał Maurycy. Nie potrafisz czytać w moich myślach! Potrafisz tylko używać moich oczu i uszu! I zgadywać, co ja sobie myślę.

Żadnej odpowiedzi. Maurycy nie czekał. Skoczył na belkę i wdrapał się na samą górę. Mogli podążyć za nim, ale przy odrobinie szczęścia, jeśli użyje pazurów...

Szczury były coraz bliżej. Staraly się go wywąchać, wyobrażał sobie ich niuchające nosy w ciemnościach.

Jeden wspinał się nawet na belkę. Był o kilka centymetrów od ogona Maurycygo, kiedy zawrócił i zszedł z powrotem w dół.

Potem Maurycy usłyszał, jak wdrapują się na kupę gruzu. Następnie doszły go jeszcze zdziwione popiskiwanie, a wreszcie usłyszał, jak szczury płyną szlamem.

Brudne czoło Maurycygo zmarszczyło się w zadziwieniu. Szczury, które nie potrafią wyczuć kota? W tej samej chwili zrozumiał. On nie pachniał kotem, śmierdział szlamem, czuł się jak bryłka szlamu w pomieszczeniu wypełnionym szlamem.

Siedział nieruchomy jak posąg do chwili, kiedy przez zatkane szlamem uszy nie słyszał już pazurów drapiących o mur, co oznaczało, że szczury przeszły na drugą stronę. Potem, wciąż nie otwierając oczu, przepelzł ostrożnie w dół gruzowiska. Przekonał się, że jest usypane na starych drewnianych drzwiach. Teraz przegniłe

drewno przypominało raczej gąbkę, rozpadło się, gdy ledwo dotknął łapą.

Miał wrażenie, że po drugiej stronie znajduje się kolejna piwnica. Śmierdziała zgnilizną i palonym drewnem.

Czy... głos będzie wiedział, gdzie jestem, jeśli teraz otworzę oczy? Czy każda piwnica nie wygląda tak samo?

A może w tym pomieszczeniu też jest pełno szczurów? Na tę myśl natychmiast otworzył oczy. Szczurów nie było, był natomiast kolejny brudny kanał, który przechodził w tunel na tyle duży, by kot w nim się zmieścił. W oddali widać było słabe światełko.

To tak wygląda szczurzy świat, pomyślał Maurycy, próbując otrząsnąć się ze szlamu. Ciemny, brudny, śmierdzący i pełen dziwacznych głosów. Ja jestem kotem. Mnie służy słońce i świeże powietrze. Jedyne, czego mi teraz potrzeba, to dziura do zewnętrznego świata i nie zobaczą mnie przez wieki, a co najmniej przez rok. Głos w jego głowie, który bynajmniej nie był tajemniczym głosem, ale brzmiał jak Maurycowy, odezwał się: A co z wyglądającym na głupka chłopcem i całą resztą? Powinieneś im pomóc!

A ty skąd się wzięłeś? — zapytał Maurycy. Powiem ci coś. Ty im pomóż, a ja pójdę gdzieś, gdzie jest ciepło, dobra?

Światełko w tunelu stało się silniejsze. Wciąż jeszcze nie przypominało blasku dnia ani nawet księżycy, ale było czymś lepszym niż tylko poświata.

Maurycy przepchnął głowę z rury w znacznie większy kanał — zbudowany z cegieł, śliskich od czegoś całkiem obrzydliwego — prosto w krąg blasku świecy.

— Czy to... Maurycy? — zapytała Śliczna, przyglądając się błotowi oblepiającemu jego sierść.

— Jeśli to on, teraz lepiej pachnie — stwierdził Ciemnaopalenizna, uśmiechając się w sposób, zdaniem Maurycygo, raczej nieprzyjemny.

Maurycy zachichotał słabo. Nie był w nastroju do ciętych ripost.

— Wiedziałem, przyjacielu, że nas nie zawiedziesz — oświadczył Niebezpieczny Groszek. — Zawsze powtarzałem, że na Maurycym możemy polegać. — Westchnął głęboko. — Przynajmniej na nim.

— Jasne — powiedział Ciemnaopalenizna, obrzucając Maurycygo wzrokiem, który wskazywał, że szczur rozumie dużo więcej. — Możemy polegać, że co zrobi?

— Och... — Maurycy nie potrafił znaleźć słów. — Znalazłem was.

— Tak — odparł Ciemnaopalenizna tonem, zdaniem Maurycyego, całkiem nieprzyjemnym. — To zadziwiające. I jak sądzę, długo nas szukałeś. Widziałem, jak wyruszałeś, by nas szukać.

— Możesz nam pomóc? — zapytał Niebezpieczny Groszek. — Potrzebujemy planu.

— Oczywiście — zgodził się Maurycy. — Sugerowałbym wędrowkę w górę...

— By uratować Szynkawieprza — uzupełnił Ciemnaopalenizna. — My nie pozostawiamy naszych braci na pożarcie.

— My nie? — zapytał Maurycy.

— My nie — odparł Ciemnaopalenizna.

— No i jest jeszcze chłopiec — powiedziała Śliczna. — Sardynki powiedział, że został związany razem z tą dziewczynką w jednej z piwnic.

— No cóż, wiecie, to są ludzie — odparł Maurycy, wykrzywiając mordkę. — Ludzie i ludzie, tak, hm, to sprawy pomiędzy ludźmi. Nie powinniśmy się mieszać, możemy zostać źle zrozumiani, wiem coś o ludziach, oni się jakoś dogadają...

— Nie dbam ani krzty o shrłt ludzi! — zachnął się Ciemnaopalenizna. — Ale szczurołapy zabrały Szynkawieprza w worku! Widziałeś klatki, kocie! Widziałeś szczury wtłoczone do klatek! A to szczurołapy kradną jedzenie. Sardynki powiedział, że są tam worki pełne jedzenia! I jest jeszcze coś....

— Głos — wyrwało się Maurycemu, zanim ugryzł się w język.

Ciemnaopalenizna spojrzał na niego dzikim wzrokiem.

— Słyszałeś go? — zapytał. — Myślałem, że tylko my!

— Szczurołapy też go słyszą — odparł Maurycy. — Tyle że oni biorą go za własne myśli.

— Inne szczury się go przeraziły — mruknął Niebezpieczny Groszek. — Po prostu... przestały myśleć... — wyglądał na całkowicie wytrąconego z równowagi. Obok niego leżała wybrudzona, pełna śladów łap książka „Przygoda pana Królika”. — Nawet Truczna zwiął — mówił dalej. — On, który umiał pisać. Jak to się mogło stać?

— Najwyraźniej na niektóre z nas działa to mocniej — stwierdził Ciemnaopalenizna rzeczowo. — Wysłałem kilku z tych, którym pozostał rozsądek, by znaleźli i przyprowadzili pozostałych, ale to chwilę potrwa. Biegają jak oszalałe.

Musimy odbić Szynkawieprza. On jest dowódcą. Pamiętajmy, że jesteśmy, mimo wszystko, szczurami. Klanem. Szczury pójdą za swoim wodzem.

— Ale on jest już stary. Ty jesteś silniejszy i mądrzejszy... — zaczął Maurycy.

— Zabrali go! — powiedział dobitnie Ciemnaopalenizna. — Szczurołapy. On jest jednym z nas. Pomożesz nam czy nie?

Maurycemu wydało się, że słyszy coś jakby drapanie na drugim końcu kanału. Nie mógł odwrócić się, żeby sprawdzić, i nagle poczuł się całkiem bezbronny.

— Tak, tak, pomogę wam, oczywiście, że pomogę — rzekł prędko.

— Hmm — odchrząknęła po swoimu Śliczna. — Mówisz poważnie?

— Tak, oczywiście, oczywiście — przytakiwał Maurycy. Powoli wypełził z kanału i obejrzał się. Nie było ani śladu szczurów.

— Sardynki poszedł śladem szczurołapów — stwierdził Ciemnaopalenizna — więc dowiemy się, gdzie go zabrali...

— Mam złe przeczucie, że już to wiem — odparł Maurycy.

— Skąd? — zapytała ostro Śliczna.

— Jestem kotem, prawda? Koty włóczą się po różnych miejscach. I widzą różne rzeczy. W wielu miejscach nikt nie ma nic przeciwko kotom, bo polujemy na szkodni... no...

— Już dobrze, dobrze, wiemy, że nie jesz niczego, co mówi, powtarzałeś nam to nieraz — przerwała mu Śliczna. — Mów dalej.

— Byłem kiedyś w stodole, siedziałem na stryszku z sianem, gdzie zawsze możesz znaleźć... no...

Śliczna wzniosła oczy w górę.

— Tak, tak, wiemy, mów dalej.

— No i wtedy przyszli ludzie i już nie mogłem wyjść, bo mieli ze sobą psy i zamknęli wrota stodoły, i postawili... no, taką dużą drewnianą obręcz na podłogę. I było też kilku mężczyzn z klatkami pełnymi szczurów. Wpuścili te szczury do środka, a potem wpuścili tam też psy. Teriery — dodał, próbując umknąć wzrokiem.

— Szczury walczyły z psami? — zapytał Ciemnaopalenizna.

— No, powiedziałbym, że mogłyby — odparł Maurycy. — Głównie biegały wkoło i wkoło. Nazywali to gonitwy szczurów. Oczywiście ci ludzie z klatkami to szczurołapy. Przynosili żywe szczury.

— Goniłszy szczurów — powtórzył Ciemnaopalenizna. — Czemu nigdy o tym nie słyszeliśmy?

Maurycy spojrział na niego z niedowierzaniem. Jak na mądre stworzenia, szczury czasami potrafiły być zadziwiająco głupie.

— A niby jak mieliście się o tym dowiedzieć? — zapytał.

— No przecież któryś ze szczurów biorących w tym udział...?

— Chyba nie zrozumieliście — powiedział Maurycy. — Szczury, które zostają tam wpuszczone, nigdy stamtąd nie wychodzą. Wynoszą je.

Zapadła cisza.

— Nie mogą wyskoczyć? — zapytała Śliczna cichutko.

— Za wysoko — odparł Maurycy.

— Dlaczego nie walczą z psami? — zapytał Ciemnaopalenizna.

Ależ one są naprawdę głupie, pomyślał Maurycy.

— Ponieważ są szczurami, Ciemnaopalenizno — odparł mu. — Gromadą szczurów. Zarażają się wzajemnie strachem i paniką. Wiecie, jak to się odbywa.

— Ugryzłem kiedyś psa w nos! — oświadczył Ciemnaopalenizna.

— Jasne że tak — zgodnie przyznał Maurycy. — Jeden szczur potrafi myśleć i być dzielny, z tym się zgadzam. Ale w masie szczury zachowują się jak motłoch. Masa szczurów to wielkie zwierzę z mnóstwem nóg, za to bez rozumu.

— Nieprawda! — zaprzeczyła gwałtownie Śliczna. — W masie nasza siła!

— Co to znaczy za wysoko? — spytał Ciemnaopalenizna, wpatrując się w płomień świecy, jakby starał się to wszystko sobie wyobrazić.

— Co? — zapytali jednocześnie Maurycy i Śliczna.

— Ściana... jaką dokładnie ma wysokość?

— Nie wiem. Jest wysoka. Ludzie opierali się na niej łokciami. Czy to ma jakieś znaczenie? Zdecydowanie za wysoko, żeby szczur mógł przeskoczyć.

— Wszystko, czego dokonaliśmy, udało się, bo trzymamy się razem... — zaczęła Śliczna.

— Więc uwolnimy Szynekawieprza razem — zgodził się Ciemnaopalenizna. — Zrobimy... — obrócił się nagle. Wszyscy usłyszeli tupot szczurzych nóg. Ciemnaopalenizna poruszył nosem. — To Sardynki — powiedział. — I... poczekajcie... zapach samiczki, młodej, nerwowej... Odżywka?

Najmłodszy członek Oddziału Unieszkodliwiania Pułapek dreptał za Sardynki. Była mokra i wyraźnie strapiona.

— Wygląda panna jak wyciągnięta prosto z wody — stwierdził Ciemnaopalenizna.

— Spadłam do połamanej rynny — przyznała Odżywka.

— Tak czy siak, miło cię widzieć. Co się wydarzyło, Sardynki?

Tańczący szczur wykonał kilka nerwowych kroczków.

— Wspiałem się dziś na zbyt wiele rynien i kominów wentylacyjnych, żeby miało mi to wyjść na zdrowie. I nie pytajcie mnie o krrkk koty. Chciałbym je wszystkie widzieć martwe... oczywiście poza tobą — dodał szybko, zerkając na Maurycego.

— I...? — zapytała Śliczna.

— Poszli do stajni na skraju miasta. To mi brzydko pachnie. Mnóstwo psów dookoła. I ludzi też.

— Goniłwy szczurów — powiedział Maurycy. — Mówiłem wam.

— Zgadza się — rzekł Ciemnaopalenizna. — Wyciągniemy stamtąd Szynkawieprza. Sardynki, wskażesz mi drogę. Postaramy się też wyciągnąć innych. A wy, pozostali, szukajcie chłopaka.

— Dlaczego ty wydajesz rozkazy? — zapytała Śliczna.

— Bo ktoś musi — odparł Ciemnaopalenizna. — Szynkawieprz może być już nieco pokąsany przez życie i nienowoczesny w poglądach, ale jest przywódcą i każdy to wyczuje. Potrzebujemy go. Jakies pytania? Więc...

— Czy mogę iść z wami? — zapytała Odżywka.

— Pomaga mi nieść linki, szefie — wyjaśnił Sardynki. Zarówno on, jak i szczurzyca nieśli po wiązce.

— Po co wam to? — zdziwił się Ciemnaopalenizna.

— Nigdy nie należy mówić nie kawałkowi sznurka, szefie — oświadczył Sardynki. — To niezwykle, co niekiedy udaje się znaleźć...

— No dobrze, Odżywko, pozwalam ci z nami iść, może się do czegoś przydasz — zgodził się Ciemnaopalenizna. — Ale musisz nam dotrzymywać kroku. Ruszamy!

Nagle zostało ich tylko troje: Niebezpieczny Groszek, Maurycy i Śliczna.

Niebezpieczny Groszek westchnął.

— Jeden szczur potrafi być odważny, ale w grupie stajemy się motłochem... Czy

na pewno nie mylisz się, Maurycy?

— Ja... poczekajcie, tam za nami coś jest — powiedział kot. — W piwnicy. Nie wiem, co to jest. To głos, który dostaje się do głów!

— Nie do każdej! — odparła Śliczna. — I ciebie on nie przestraszył, prawda? Ani nas. Ani Ciemnejopalenizny. Szynkawieprza rozgniewał. Dlaczego?

Maurycy zapatrzył się przed siebie. Znowu słyszał ten głos w swojej głowie. Bardzo słabo, ale z pewnością to nie były jego własne myśli. Głos mówił: *Znajdę do ciebie drogę, KOCIE!*

— Słyszeliście to? — zapytał Maurycy.

— Ja nic nie słyszałam — odparła Śliczna.

Może trzeba być blisko, pomyślał Maurycy. Może tylko z bliska ten głos wie, gdzie jest twoja głowa.

Nigdy nie widział tak nieszczęśliwego stworzenia, jakim teraz był Niebezpieczny Groszek. Szczurek opadł bezwładnie koło świecy i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w książkę.

— Miałem nadzieję, że będzie lepiej — powiedział. — Ale okazało się, że tak czy siak, jesteśmy tylko... szczurami. Kiedy pojawiają się kłopoty... stajemy się znowu... szczurami.

Maurycy właściwie nigdy nie współczuł nikomu, kto nie był Maurycym. Empatia to wielka wada u kotów. Chyba jestem chory, myślał teraz.

— Jeśli to ci coś pomoże — odezwał się — to ja jestem tylko... kotem.

— Och, wcale nie. Jesteś dobry i czuję w tobie gdzieś głęboko ukrytą wspaniałomyślną naturę — odparł Niebezpieczny Groszek.

Maurycy starał się nie patrzeć na Śliczną.

Wcale nie, chłopie, pomyślał.

— Zawsze pytasz tych, których masz zjeść, czy potrafią mówić — przypomniała Śliczna.

Lepiej już im powiedz, odezwał się wewnętrzny głos Maurycyego. No, powiedz im. Poczujesz się lepiej.

Maurycy próbował powiedzieć mu, żeby się zamknął. Czy to czas na budzenie się sumienia? Co dobrego przyjdzie kotu z posiadania sumienia? Kot z sumieniem to... to jak świnka morska — ani świnka, ani morska...

— Od jakiegoś czasu już chciałem wam to powiedzieć — wymruczał.

No dalej, dalej, popędzało go lśniące nowością sumienie. Niech to wreszcie wyjdzie na światło dzienne.

— Tak? — zapytała Śliczna.

Maurycy cierpiał katusze.

— No cóż, wiecie, że sprawdzam, co mam zjeść...

— Wiemy i świadczy to o tobie naprawdę bardzo dobrze — odparł Niebezpieczny Groszek.

Ale to wcale nie pomogło Maurycemu. Przeciwnie.

— Wiele razy zastanawialiśmy się, jak to się stało, że zostałem przemieniony, mimo że nie zjadłem nic magicznego ze śmietnika...

— Tak — przyznała Śliczna — to zawsze mnie dziwiło.

Maurycy poruszył się nerwowo.

— No więc... wiecie... no, czy znaliście może takiego szczura, całkiem sporego, bez jednego ucha, z białą łata na prawym boku, nie mógł zbyt szybko biegać, bo miał coś z jedną nogą?

— Najwyraźniej mówisz o Składzie — stwierdziła Śliczna.

— O tak — przytaknął Niebezpieczny Groszek. — Zniknął, zanim poznaliśmy ciebie, Maurycy... To był dobry szczur. Nie najlepiej sobie radził z... mówieniem.

— Nie najlepiej sobie radził z mówieniem — powtórzył Maurycy ponuro.

— Jąkał się. — Śliczna patrzyła na Maurycego zimnym wzrokiem. — Z trudem formułował słowa.

— Z trudem — głos Maurycego brzmiał dziwnie głucho.

— Na pewno się nie spotkaliście, Maurycy — wtrącił Niebezpieczny Groszek. — Brakuje mi go. To był wspaniały szczur, kiedy się już rozgadał.

— Hmm — chrząknęła po swojemu Śliczna. — Czy spotkaliście się, Maurycy? — Spojrzeniem przyszpilała go do ściany.

Na kociej mordce widać było walkę sprzecznych uczuć. Wreszcie Maurycy nie wytrzymał i zaczął mówić:

— No dobra. Zjadłem go. Rozumiecie? Calusieńkiego. Poza ogonem i tym zielonym trzęsącym się kawałkiem, i tą fioletową okropną grudką, co to nikt nie wie, czym ona jest! Ja przecież byłem zwykłym kotem! Nie umiałem jeszcze myśleć! Nie

wiedziałem! Byłem głodny! Koty jedzą szczury, tak to już jest. To nie była moja wina! A ponieważ on zjadł to magiczne coś, a ja zjadłem jego, więc ja też uległem Przemianie. Wiecie, jak ja się teraz czuję? Czasami w nocy wydaje mi się, że on do mnie mówi. No i co? Jesteście zadowoleni? Nie wiedziałem, że on nie jest zwykłym szczurem! Zjadłem go. On zjadł coś z wysypiska, a ja zjadłem jego i w ten sposób się zmieniłem! Przyznałem się! Zjadłem go! To nie była moja wina!

Zapanowała cisza. Po jakimś czasie wreszcie odezwała się Śliczna:

— Tak, ale to było bardzo dawno temu, prawda?

— Co? Chodzi ci o to, czy ostatnio kogoś zjadłem? Nie.

— Czy żałujesz tego, co zrobiłeś? — zapytał Niebezpieczny Groszek.

— Czy żałuję? A co ty sobie myślisz? Czasami miewam koszmary, że on...

— Więc chyba wszystko jest w porządku.

— W porządku? — powtórzył Maurycy. — Jak niby może być w porządku? A wiecie, co jest w tym najgorsze? Ja jestem kotem. Kotów nie dręczy poczucie winy. Ani nie jest im przykro. Nigdy nie żałujemy niczego. Czy wy w ogóle wiecie, jak to jest, kiedy musisz pytać: Hej, jedzenie, czy potrafisz mówić? Kot nie tak powinien się zachowywać.

— My też nie zachowujemy się tak, jak powinny zachowywać się szczury — rzekł Niebezpieczny Groszek. Pyszczek znów mu się wydłużył. — Aż do tej chwili.

— Wszyscy się bali — powiedziała Śliczna. — Strach się udziela.

— Miałem nadzieję, że możemy być czymś więcej niż tylko szczurami — westchnął Niebezpieczny Groszek. — Myślałem, że możemy być czymś więcej niż tylko istotami, które piszczą i biegają, cokolwiek by powiedział o tym Szynekawieprz. A teraz... gdzie są wszyscy?

— Może poczytam ci książkę — zaproponowała Śliczna. W jej głosie słychać było troskę i oddanie. — To zawsze podnosi cię na duchu, kiedy wpadasz w... ciemny nastrój.

Niebezpieczny Groszek kiwnął głową.

Śliczna przyciągnęła do siebie książkę i zaczęła czytać:

— „Pewnego dnia pan Królik i jego przyjaciel szczur Szymon poszli odwiedzić starego osła, który żył nad rzeką...”.

— Przeczytaj ten kawałek, jak rozmawiają z ludźmi — poprosił Niebezpieczny

Groszek.

Śliczna posłusznie przerzuciła kartkę.

— „Witaj, szczurze Szymonie — powitał go farmer Fred. — Ależ piękny dzień dzisiaj mamy...”.

To wariactwo, pomyślał Maurycy, przysłuchując się historii o dzikich lasach i wartkich strumieniach pełnych krystalicznej wody, czytanej przez jednego szczura drugiemu szczirowi nad kanałem, w którym płynęło coś, co z całą pewnością nie było krystaliczne. Prawdę mówiąc, słowo „krystaliczne” było ostatnim, jakie dałoby się w odniesieniu do tego czegoś powiedzieć. Nie można też było powiedzieć, że to płynęło, raczej się sączyło.

Wszystko sprowadza się do tego kanału, a oni wyobrażają sobie, jak pięknie by mogło być...

Spójrz w te małe różowe smutne oczy, odezwał się wewnętrzny głos Maurycego. Spójrz na te małe ruchliwe noski. Jeśli teraz zwiejesz i zostawisz ich, jak będziesz mógł kiedykolwiek spojrzeć znowu w te mordki?

— Nie musiałbym — powiedział na głos Maurycy. — I o to właśnie chodzi!

— Co? — zapytała Śliczna, podnosząc wzrok znad książki.

— Nie, nic — mruknął Maurycy. Nie udało się. Sprawy potoczyły się całkiem niezgodnie z kocimi zasadami. I do tego właśnie prowadzi myślenie, pomyślał. Prowadzi do kłopotów. Nawet kiedy wiesz, że inni potrafią myśleć za siebie, ty zaczynasz myśleć za nich też. Miauknął.

— Lepiej zobaczmy, co przydarzyło się chłopakowi.

\* \* \*

W piwnicy panowała całkowita ciemność. Rozbrzmiewały w niej tylko głosy i tylko od czasu do czasu słyhać było kapnięcie wody.

— Przeanalizujmy to jeszcze raz, dobrze? — odezwała się Malicia. — Nie masz żadnego noża?

— Nie mam — potwierdził Keith.

— Nie znalazłeś gdzieś pod ręką zapalek, którymi byśmy przepalili sznury?

— Nie.

— Nie leży gdzieś koło ciebie nic ostrego, czym by się dało przepiłować więzy?

— Nie.

— I nie potrafisz przełożyć nóg tak, żebyś miał ręce z przodu?

— Nie.

— I nie dysponujesz żadnymi tajemnymi siłami?

— Nie.

— Jesteś tego pewien? Kiedy cię zobaczyłam, od razu pomyślałam: On ma w sobie jakąś zadziwiającą siłę, która się objawi w razie kłopotów. Pomyślałam: Nikt nie może być tak nieporadny, chyba że nieporadnego udaje.

— Nie, jestem tego pewien. Posłuchaj, ja jestem całkiem zwyczajny. Oczywiście, tak się składa, że porzucono mnie, kiedy byłem niemowlęciem. Nie wiem dlaczego. To się czasami zdarza. Mówią, że nawet często. Ale przez to nie jestem w żaden sposób niezwykły. Nie mam znamienia, nie jestem bohaterem w przebraniu ani też nie dysponuję żadnym fantastycznym talentem. Owszem, nieźle gram na flecie. Dużo ćwiczę. Ale zupełnie nie przypominam bohatera. Staram się w nic nie mieszać. Żyję, jak potrafię najlepiej. Rozumiesz?

— Aha.

— Powinnaś znaleźć kogoś innego.

— Czyli nie możesz w niczym pomóc?

— Nie.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Malicia odezwała się znowu:

— Wiesz co, pod wieloma względami ta przygoda wydaje mi się źle zorganizowana.

— Naprawdę?

— Ludzi nie powinno się tak wiązać.

— Malicia, proszę, zrozum. To nie jest bajka — powiedział Keith z całą cierpliwością, na jaką było go stać. — To właśnie usiłuję ci powiedzieć. Prawdziwe życie nie jest bajką. Nie istnieje jakaś... magia, która zapewni ci bezpieczeństwo, spowoduje, że oszuści będą wyglądali inaczej niż normalni ludzie, jeśli ktoś cię uderzy, to niezbyt mocno, a kiedy cię zwiążą, to pod ręką pojawi się nóż. I że cię nie zabiją. Rozumiesz?

Z ciemności odpowiedziało mu milczenie.

— Moja babcia i jej siostra były słynnymi pisarkami, wiesz, prawda? —

powiedziała wreszcie Malicia nienaturalnie cicho — Agoniza i Eviscera Grim.

— Tak, mówiłaś.

— Mama też pisałaby wspaniałe historie, ale ojciec tego nie lubił. Ja wróciłam do nazwiska Grim dla celów zawodowych.

— Naprawdę...

— Kiedy byłam mała, dostawałam w skórę za to, że wymyślałam opowieści — mówiła dalej Malicia.

— W skórę?

— No dobrze, klapsa — poprawiła się. — Ale to naprawdę bolało. Ojciec zawsze powtarzał, że on rządzi miastem, a to nie jest miasto z bajki. Powtarzał, że trzeba być praktycznym.

— Och!

— Nie interesuje cię nic poza muzyką? Złamali ci flet.

— Kupię sobie nowy.

Spokojny głos chłopca doprowadzał Malicię do szewskiej pasji.

— Wiesz co, Keith? Jeśli nie zamienisz swojego życia w opowieść, staniesz się tylko fragmentem cudzej historii.

— A co trzeba zrobić, jeśli twoja historia się nie sprawdza?

— Zmieniasz ją, aż wreszcie znajdujesz swoją prawdziwą.

— To brzmi głupio.

— Popatrz na siebie. Jesteś tylko twarzą w tle. Wszystkie decyzje pozwalasz podejmować kotu.

— Bo to jest Maurycy...

Przerwał mu inny głos:

— Czy wolelibyście, żebyśmy sobie poszli, bo może wam przeszkadzamy?

— Maurycy?! — wykrzyknął Keith. — Gdzie jesteś?

— W kanale i wierz mi, to nie była dobra noc. Czy zdajesz sobie sprawę, ile tu jest starych piwnic? Śliczna przyniesie świecę. Tu jest za ciemno nawet dla mnie, nie mogę was zobaczyć.

— Kto to jest Śliczna? — wyszeptała Malicia.

— Jedna z Przemienionych. Myślący szczur — odparł Keith.

— Jak Szprotki?

— Jak Sardynki, tak.

— Aha — wyszeptała Malicia. — Widzisz? Opowieść. Jestem bardzo zadowolona. Nie mogę się napatrzeć. Dzielne szczury uratują naszych bohaterów, prawdopodobnie przegryzą linę.

— Znowu jesteśmy w twojej opowieści, tak? — zapytał Keith. — A co ja w niej robię?

— Z pewnością twoja rola nie jest romantyczna — odparła Malicia. — I nie jesteś na tyle zabawny, żeby stanowić element komiczny. Nie wiem. Prawdopodobnie po prostu... jesteś kimś. No wiesz, przechodzień, coś w tym stylu. — Doszedł ich jakiś cichutki trzask. — Co one teraz robią? — wyszeptała.

— Myślę, że próbują zapalić świeczkę.

— Szczury bawią się ogniem? — wyszeptała Malicia.

— One się nie bawią. Niebezpieczny Groszek uważa, że światło i cień są bardzo ważne. Zawsze trzymają w swoich tunelach zapaloną świecę, gdzie tylko się...

— Niebezpieczny Groszek? Co to za imię?

— Ciii...! Uczyli się słów ze starych puszek z jedzeniem i innych śmieci. Nie wiedzieli, co te słowa znaczyły, wybrali je, bo podobały im się jako dźwięki!

— Tak, ale... Niebezpieczny Groszek? To brzmi, jakby on chciał...

— To jego imię. Nie naśmiewaj się!

— Coś takiego, bardzo przepraszam — oświadczyła wyniośle.

Trzasnęła zapalka. Zapłonęło światło świecy.

Malicia zobaczyła dwa szczury. Jeden był... zwykłym szurkiem, chociaż bardziej lśniącym niż te, które dotąd widywała. Przy czym trzeba powiedzieć, że większość tych, które widywała, nie żyła, ale pozostałe wydawały się rozedrgane, nerwowe, cały czas poruszające noskiem. Natomiast ten... po prostu patrzył. Przyglądał się jej.

Drugi szurur był cały biały i jeszcze mniejszy. On też na nią patrzył, chociaż słowo „przeświałła” pasowałoby lepiej. Miał różowe oczy. Malicia nigdy się nie interesowała uczuciami innych ludzi, ponieważ zawsze własne uważała za bardziej interesujące, ale w tym szururze było coś, co wydawało jej się smutne.

Szurur ciągnął za sobą małą książkę, małą przynajmniej w kategoriach ludzkich. Była wielkości połowy szurura. Miała kolorową okładkę, ale dziewczynka nie

umiała powiedzieć, co widnieje na rysunku.

— Śliczna, Niebezpieczny Groszku, to jest Malicia — dokonał prezentacji Keith.  
— Jej ojciec jest w tym mieście burmistrzem.

— Burmistrzem? — powtórzyła Śliczna. — Czy to znaczy, że on tu jest rządem?  
Maurycy mówi, że rząd to bardzo niebezpieczni kryminaliści, którzy okradają ludzi z pieniędzy.

— Jak nauczyłeś ich mówić? — zapytała Malicia.

— Sami się nauczyli — odparł Keith. — To nie są tresowane zwierzęta.

— No cóż, mój ojciec nikomu nie zabiera pieniędzy. Kto wam powiedział, że rząd to bardzo...

— Przepraszam, przepraszam — przynaglił ich głos Maurycego z drugiej strony kratki odpływowej. — Tak, tu właśnie jestem. Czas brać się do roboty.

— Czy moglibyście przegryźć nasze więzy? — poprosił Keith.

— Mamy tu kawałek złamanego ostrza od noża — stwierdziła Śliczna. — Do ostrzenia ołówka. To będzie lepsze.

— Nóż? — powtórzyła Malicia niebotycznie zdumiona. — Ołówek?

— Mówiłem ci, że to nie są zwyczajne szczury — powiedział Keith.

\* \* \*

Odżywka musiała biec, żeby nadażyć za Ciemnaopalenizna. A Ciemnaopalenizną musiał biec, żeby nadażyć za Sardynki. Kiedy trzeba było poruszać się szybko po mieście, Sardynki był mistrzem świata.

Po drodze zebrali trochę szczurów. Odżywka nie mogła nie zauważyć, że w większości były z młodszego pokolenia. Rozbiegły się, opanowane przerażeniem, ale nie uciekły zbyt daleko. Teraz chętnie gromadziły się za Ciemnaopalenizną, prawie wdzięczne, że mają znowu jakiś cel.

Sardynki tańczył na czele. Nie potrafił tego opanować. Lubił rynny, dachy, gzymsy. Mawiał, że nie ma tam psów, a i kotów jest niewiele.

Żaden kot nie zdołałby podążyć za Sardynki. Mieszkańcy Lśniącego Zdroju rozwieszali sznury na pranie między starymi kamieniczkami, a on wskakiwał na nie i przebiegał, jakby to była płaska powierzchnia. Wspinał się na ściany, przeciskał pod gzymsami, stepował wokół kominów, zjeżdżał po dachówkach. Gołębie wlatywały ze

swych gniazd, kiedy przebiegał obok nich, a za nim reszta szczurów.

Chmury całkiem przesłoniły księżyc.

Sardynki dobiegł do skraj dachu i skoczył, lądując na ścianie przeciwnego budynku. Wspiął się na szczyt dachu i zniknął w dziurze między deskami.

Podążająca jego śladem Odżywka znalazła się na czymś w rodzaju strychu. Piętrzyły się tam sterty desek, ale większa część była pusta aż do ziemi. Strop podtrzymywały potężne belki biegnące przez cały budynek. Z dołu wpadało jasne światło, dochodziło też pokrzykiwanie przemieszanych ludzkich głosów i — aż się wzdrygnęła — psich poszczekiwań.

— To wielkie stajnie, szefie — powiedział Sardynki. — Wybieg znajduje się tu pod nami. Chodź...

Przeszedł ostrożnie po drewnianym wsporniku i wychylił pyszczek, by zobaczyć, co się dzieje na dole.

Kilka metrów pod nimi stała okrągła drewniana zagroda, jakby przepołowiona ogromna beczka. Odżywka uświadomiła sobie, że znajduje się dokładnie nad nią i jeśli spadnie, wyląduje w samym środku. Wokół zagrody zgromadzili się ludzie. Psy przywiązano przy ścianie, wściekle czekały na siebie i na wszechświat, jakby nigdy nie miały skończyć. Po drugiej stronie stały jedne na drugich skrzynki i worki. Worki się ruszały.

— Crtlk? Jak, na krrp, odnajdziemy w tym bałaganie Szynkawieprza? — zapytał Ciemnaopalenizna, spoglądając w dół oczami, w których odbijało się światło.

— Jeśli chodzi o naszego starego, szefie, to podejrzewam, że kiedy się tylko pojawi, będziemy to wiedzieli.

— Czy możesz rzucić do zagrody linę?

— Jestem na pana rozkazy, szefie — odparł lojalnie Sardynki.

— Do zagrody z psem w środku? — zapytała Odżywka. — A czy linka nie przetnie cię na pół?

— O, mam tu coś przydatnego, szefie — rzekł Sardynki. Wyciągnął gruby zwój i położył go obok siebie. Pod spodem był drugi zwój, brązowawy i lśniący. Pociągnął za koniec, potem puścił i rozległo się dźwięczne „tuing!”. — To gumka. Znalazłem ją, kiedy szukałem sznurków. Używałem już jej wcześniej, szefie. Bardzo użyteczna, gdy się z daleka coś rzuca.

Ciemnaopalenizna cofnął się na stryszek. Leżała tam stara latarnia na świecy, ze zbitym kloszem i dawno temu zjedzoną świecą.

— Mam pomysł — powiedział. — Jeżeli możesz coś zrzucić...

Doszły ich krzyki. Szczury popatrzyły w dół.

Ludzie zbili się w gromadę przy jednej stronie wybiegu. Jeden z nich przemawiał głośno. Co jakiś czas przerywały mu wiwaty. Przez tłum głów sunęły czarne cylindry szczurołapów. Widziane z góry, były ponurymi czarnymi kleksami w ciżbie szarych i brązowych czapek.

Jeden ze szczurołapów wrzucił zawartość worka do zagrody. Widzowie ujrzeli szczury rozbiegające się w panice, jakby próbowały znaleźć kąć, w którym można się ukryć.

Tłum rozsunął się nieco i do zagrody podszedł człowiek trzymający w rękach teriera. Przy wtórze krzyków i śmiechów wpuścił psa pomiędzy szczury.

Przemienieni spoglądali na krąg śmierci i wiwatujących ludzi.

Po jakiejś minucie czy dwóch Odżywka odwróciła wzrok. Kątem oka dostrzegła wyraz mordki Ciemnejopalenizny. Może nie tylko światło z dołu powodowało, że w jego oczach paliły się ognie. Dostrzegła, jak oceniał wzrokiem pomieszczenie aż do wrót stajni. Były zamknięte. Potem odwrócił głowę do stosów siana i słomy złożonych na stryszku, a potem znowu na klatki i psy na dole. Wyciągnął zza pasa jedno z drewiemek.

Odżywka poczuła siarkę — tak pachniała czerwona kula na końcu patyka. Zapałka!

Ciemnaopalenizna obejrzał się i ujrzał wlepione w niego jej oczy.

— Mój plan może się nie powieść — powiedział. — Jeśli tak się stanie, będziesz odpowiedzialna za plan awaryjny.

— Dlaczego ja? — spytała Odżywka.

— Ponieważ mnie nie będzie... w pobliżu — odparł. Trzymał w łapkach zapałkę. — Wiesz, co chcę zrobić, prawda? — zapytał, spoglądając na siano.

Odżywka z trudem przełknęła ślinę.

— Tak, chyba tak. Eee... kiedy?

— Kiedy przyjdzie czas. Będziesz wiedziała kiedy. — Ciemnaopalenizna popatrzył w dół na rozgrywającą się tam masakrę. — Tak czy siak chcę, żeby

zapamiętali tę noc — powiedział bardzo cicho. — Będą pamiętać do... do końca.

Szynkawieprz leżał w worku. Czuł inne szczury, psy i krew. Szczególnie krew.

Słyszał swoje myśli, ale były jak brzęczenie pszczoł zagłuszane grzmotem zmysłów. Przed oczami tańczyły mu fragmenty wspomnień. Klatki. Panika. Biały szcur. Szynkawieprz. To było jego własne imię, dziwne. Nigdy nie przywykł do imion. Po co wszystko nazywać? Umiał przecież węchem rozpoznać każdego szczura. Ciemność. Ciemność wewnątrz. To coś to był on. Wszystko, co było na zewnątrz, nie było nim.

Szynkawieprz. Ja. Przywódca.

Poczucie zniewagi wciąż w nim buzowało niczym czerwona gorąca fala, która teraz przybierała formę, podobnie jak rzeka w wąwozie — nie może się rozlać szeroko, więc wzbiera, pędzi coraz szybciej w jednym kierunku...

Słyszał głosy.

— ...wrzuć go, nikt nie zauważy...

— ...dobra, tylko potrząsnę nim, niech się jeszcze trochę rozżłości...

Worek zakolebał się w powietrzu. Szynkawieprza nie rozżłościło to bardziej. W nim nie było już miejsca na ani odrobinę gniewu więcej.

Worek się przesunął, jakby ktoś go przeniósł. Hałas głosów ludzkich nabrał mocy, zapachy stały się silniejsze. Nastąpiła chwila ciszy, worek przekręcił się do góry dnem, a Szynkawieprz wypadł między piszczące i walczące szczury. Posługując się zębami i pazurami, rozpędził je na boki i w tym momencie do zagrody wpuszczono warczącego psa, który złapał najbliższego szczura, potrząsnął nim i rzucił w powietrze sflaczałe ciało.

Szczury wpadły w popłoch.

— Durnie! — wrzasnął Szynkawieprz. — Trzeba działać razem! Potraficie oskubać ten worek z pchłami do żywej kości.

Tłum ludzi zamilkł.

Pies patrzył na Szynkawieprza w osłupieniu. Próbował myśleć. Szcur się odezwał. Przecież mówią tylko ludzie. I zapach też był nie taki jak trzeba. Szczury śmierzdzą strachem. A ten nie.

Cisza dźwięczała jak dzwon.

Wtedy Jacko chwycił w zęby szczura i potrząsnął nim, lecz niezbyt mocno, a

potem postawił na ziemię. Postanowił przeprowadzić coś w rodzaju testu. Szczury nie mówią, to cecha ludzka. Ale ten szczur wyglądał na szczura, a pies powinien szczury zabijać. Ale z kolei ten szczur mówił jak człowiek — a ugryzienie człowieka oznacza duże kłopoty. Jacko musiał dowiedzieć się, jak postąpić. Jeśli otrzyma reprimendę, to oznacza, że szczur jest człowiekiem.

Szynkawieprz potoczył się po ziemi, udało mu się wstać, ale w boku miał wielką ranę. Pozostałe szczury, nadal w panice depcząc po sobie nawzajem, starały się uciec jak najdalej od psa.

Szynkawieprz splunął krwią.

— No dobrze — warknął, podchodząc do całkowicie ogłupiałego teriera. — Teraz się dowiesz, jak umiera prawdziwy szczur.

— Szynkawieprzu!

Podniósł wzrok do góry.

Sardynki opadał w dół przez kłęby dymu, zbliżając się do ogarniętego paniką kręgu. Znajdował się dokładnie nad Szynkawieprzem, coraz większy i większy...

...opadał coraz wolniej i wolniej...

Aż zatrzymał się dokładnie między szczurem a psem. Zdjął grzecznie kapelusz i powiedział:

— Dobry wieczór!

I czterema łapkami złapał Szynkawieprza. Chwilę potem elastyczna lina, osiągnąwszy punkt największego napięcia, pociągnęła ich w górę.

Jacko właśnie chapnął pyskiem, ale zbyt późno, zbyt późno. Szczury sunęły w górę, poza zasięg jego szczęk.

Pies wciąż stał z zadartą głową, kiedy Ciemnaopalenizna wyskoczył z drugiej strony belki. Ludzie gapili się w milczeniu, a on spadał wprost na teriera.

Oczy Jacko zwięziły się w szparki. Szczury znikające w powietrzu to jedno, ale szczury spadające prosto w jego szczęki to coś zupełnie innego. To było niczym szczur na talerzu czy też szczur na widelcu.

Wysoko w górze Odżywka pospiesznie wiązała sznurki. Ciemnaopalenizna znajdował się na drugim końcu tej samej linki, na której wisiał Sardynki. Ale Sardynki wyjaśnił wszystko bardzo dokładnie. Ciężar Ciemnejopalenizny to za mało, by wciągnąć na belkę dwa szczury...

Więc kiedy Ciemnaopalenizna zobaczył, że Sardynki i jego pasażer zniknęli w bezpiecznym mroku pod stropem...

...wypuścił z łapek ciężką starą lampę, która stanowiła dodatkowe obciążenie, i przegryzł linkę.

Lampa z całej siły wyrznęła Jacko w głowę. Ciemnaopalenizna spadł prosto na nią, po czym stoczył się na podłogę.

Zebrany tłum zamarł. Nikt nie wydał z siebie głosu od chwili, kiedy Szynkawieprz wyprysnął w górę. Ponad ogrodzeniem, które, o tak, było zbyt wysokie, by mógł je pokonać jakikolwiek szczur, Ciemnaopalenizna widział twarze. W większości czerwone. Usta otwarte. Panująca cisza była ciszą purpurowych gąb gotowych w każdej chwili wydać z siebie ryk.

Wokół Ciemnejopalenizny gramoliły się szczury, bezmyślnie szukające drogi ucieczki. Głupcy, pomyślał. Gdybyście zebrały się we cztery czy pięć, każdy pies pożałowałby, że się w ogóle urodził. Ale tylko rzucacie się w panice i psy załatwiają was jednego po drugim.

— No dobrze, ty kkrkk — powiedział Ciemnaopalenizna na tyle głośno, by usłyszeli go wszyscy. — Teraz ja wam pokażę, jak może walczyć szczur.

I zaatakował.

Jacko nie był złym psem, przynajmniej w kategoriach psich. Każdy terier lubi zabijać szczury, a ponieważ Jacko w ten sposób służył swemu panu, był dobrze karmiony, zawsze go chwalono i nieczęsto zdarzało mu się oberwać w skórę. Niektóre ze szczurów próbowały walczyć, ale nie miały szans, bo były mniejsze niż Jacko, który w dodatku miał dużo większe zęby. Jacko nie był bardzo sprytny, ale zdecydowanie sprytniejszy niż szczury. Zresztą większość myślenia wykonywały za niego nos i szczęki.

Dlatego bardzo się zdziwił, kiedy chapnął szczękami, a szczura nie było tam, gdzie powinien być.

Ciemnaopalenizna nie uciekał tak, jak zawsze uciekały szczury. Uskoczył jak wojownik. Uszczypnął Jacko w pierś i zniknął. Pies wykonał piruet. Ale szczura nigdzie nie było. Całe swoje zawodowe życie Jacko polował na uciekające szczury. Szczur, który stawiał mu czoło, nie postępował fair.

Przez tłum ludzi przeszedł szmer uznania.

— Dziesięć dolarów na tego szczura! — ktoś krzyknął. Sąsiad przyłożył mu fangę w ucho. Jakiś człowiek zaczął się gramolić do środka zagrody. Ktoś inny rozbił na jego głowie butelkę piwa.

Tańczący w przód i w tył Ciemnaopalenizna pod kręcącym się i skomlącym Jacko czekał na taki właśnie moment... ..skoczył i zatopił zęby w...

Oczy Jacko zaszyły łzami. Najbardziej prywatny kawałek jego ciała, który interesował tylko jego i ewentualnie mógł być ważny dla jakiejś psiej damy, stał się nagle kulą bólu.

Pies zawył. Wskoczył w powietrze, złapał się pazurami brzegu barierki, próbując wydostać się z zagrody. Drapał rozpaczliwie łapami, ślizgając się po gładkim drewnie.

Ciemnaopalenizna wskoczył mu na ogon, wbiegł po karku, odbił się z nosa i wylądował na ziemi po drugiej stronie.

Znalazł się pomiędzy nogami ludzi, którzy próbowali go rozdeptać, ale żeby to zrobić, jeden człowiek musiałby ustąpić miejsca drugiemu, a zanim któremuś udało się drugiego odepchnąć i rozgnieść szczura ciężkim buciorem, Ciemnejopalenizny już nie było.

Tyle że w stodole znajdowały się też psy. Od początku były jak oszalałe z podniecenia, a gdy zobaczyły umykającego szczura, zaczęły szarpać smycze z całych sił. Znały się na pogoni za szczurem.

Ale Ciemnaopalenizna wiedział co nieco o umykaniu. Śmignął przez podłogę jak kometa z ogonem szczekających i warczących psów, gnających za jego cieniem, zobaczył dziurę w ścianie i zanurkował w miłą, bezpieczną ciemność...

Klik — zamknęła się pułapka.

## Rozdział 9

**Farmer Fred otworzył drzwi i zobaczył, że wszystkie zwierzęta z Omszałego Krańca czekają na niego przed domem.**

**— Nie możemy znaleźć pana Królika ani szczura Szymona! — wykrzyknęły.**

„Przygoda pana Królika”

— Wreszcie! — powiedziała Malicia, zrzucając sznury. — Wydawało mi się, że szczury są lepsze w przegryzaniu.

— Przecięły sznury nożem — przypomniał Keith. — I mogłabyś choć słowem podziękować.

— Tak, oczywiście, powiedz im, że jestem bardzo wdzięczna.

— Sama im to powiedz!

— Przykro mi, ale mówić do... szczurów nie mogę.

— Chyba można to zrozumieć, skoro wychowywali cię w nienawiści do nich...

— Nie o to chodzi — powiedziała Malicia, podchodząc do drzwi i wyglądając przez dziurkę od klucza. — To wydaje mi się... dziecinne. Takie czary-mary. Takie... jak z bajki o panu Króliku.

— Panu Króliku? — pisnęła Śliczna i był to prawdziwy pisk. Słowa, które wydobyły się z jej gardła, zamieniły się w coś w rodzaju jęku.

— O jakim panu Króliku? — zapytał Keith.

Malicia wyciągnęła z kieszeni garść spinek do włosów.

— Takie tam książeczki napisane przez głupią paniusią — odparła, wkładając spinkę do zamka. — Klituś-bajduś dla małych dzieci. O szczurze, króliku, wężu, kurze i sowie. Wszyscy chodzą ubrani jak ludzie i mówią jak ludzie. I wszyscy są tak mili i słodcy, że aż się robi niedobrze. Czy wiecie, że mój ojciec zachował je wszystkie z czasów, kiedy sam był dzieckiem? „Przygoda pana Królika”, „Pan Królik jest zajęty”, „Szczur Szymon przejrzał”... i czytał mi je, kiedy byłam malutka. W żadnym nie ma ani jednego smakowitego morderstwa.

— Chyba byłoby lepiej, gdybyś zamilkła — powiedział Keith. Nie śmiał spojrzeć na szczury.

— Nie ma tam żadnych dwuznaczności ani przekleństw — mówiła dalej Malicia, cały czas kręcąc spinką. — A najciekawsze, co się zdarza, to kiedy kaczka Kasia gubi

pantofel — kaczką gubi pantofel, wyobrażasz to sobie? — który się wreszcie znajduje pod łóżkiem, ale szukają go przez całą książeczkę. Czy w takiej historii można znaleźć napięcie? Ja nie potrafię. Jeśli już ludzie wymyślają idiotyczne bajki o zwierzętach, które udają ludzi, to niech się tam przynajmniej wydarzy coś gwałtownego...

— Ojej... — westchnął Maurycy z za kraty.

Keith spojrział w dół. Śliczna i Niebezpieczny Groszek zniknęli.

— Nigdy nie miałem serca, żeby im powiedzieć — rzucił do nikogo w szczególności. — Oni myśleli, że to wszystko dzieje się naprawdę.

— Możliwe, w świecie Omszałego Krańca. — Malicia wstała, gdy rozległo się ostateczne kliknięcie. — Ale nie tutaj. I kto wymyślił taką nazwę? Można pęknąć ze śmiechu. Chodźmy.

— Zrobiłaś im przykrość — zauważył Keith.

— Posłuchaj, może lepiej pójdziemy sobie stąd, zanim wrócą szczurołapy? — zaproponowała Malicia.

Problem z tą dziewczynką polega na tym, pomyślał Maurycy, że ona nie słucha uważnie, co mówią inni. Można nawet powiedzieć, że w ogóle nie słucha.

— Nie — powiedział Keith.

— Co nie?

— Nie idę z tobą. Tu się dzieje coś bardzo złego. Coś dużo gorszego niż wykradanie jedzenia przez złych ludzi.

Maurycy patrzył na nich i myślał: Jak to ludzie, znowu się kłócą. A mają się za panów stworzenia. Nie to co my, koty. My jesteśmy panami stworzenia. Czy ktoś kiedyś widział kota karmiącego człowieka? To niezbity dowód.

*Ależ ci ludzie krzyczą,* wysyczał głos w jego głowie.

Czy to moja świadomość? — zapytał sam siebie Maurycy. I sam sobie odpowiedział: Co? Ja? Nie. Ale czuję się dużo lepiej, kiedy opowiedziałeś im o Składzie. Niepewnie przeniósł ciężar z łapy na łapę.

— Więc to ty, Skład? — wyszeptał, patrząc na swój brzusek.

Martwił się tym od chwili, gdy dotarło do niego, że zjadł Przemienionego. Oni mówią, prawda? Co się dzieje, gdy takiego zjesz? Czy jego głos zostaje w tobie? Powiedzmy, że... śnił o Składzie wałęsającym się w jego wnętrznościach. Taki sen może poważnie zakłócić kocia drzemkę, nie ma z tym żartów.

*Nie, odpowiedział głos, który brzmiał jak wiatr w koronach odległych drzew. To ja. Ja. PAJĄK.*

Ach, więc jesteś pająkiem, wyszeptał w myślach Maurycy. Poradzę sobie z pająkiem, nawet mając trzy łapy związane.

*Nie pająk, ale PAJĄK.*

To aż bolało. Teraz. Wcześniej nie.

*Jestem już w twojej GŁOWIE, kocie. Ach, te koty. Są gorsze od psów, gorsze od szczurów. Jestem w twojej GŁOWIE i nigdy jej nie OPUSZCZĘ.*

Łapa Maurycyego drgnęła.

*Będę w twoich SNACH.*

— Słuchaj, ja tylko tędy przechodziłem — wyszeptał z rozpaczą Maurycy. — Nie szukam kłopotów. Na mnie w ogóle nie można polegać! Jestem kotem! Sam sobie bym nie ufał, a ja to przecież ja! Tylko się wydostanę na świeże powietrze i już nie będziesz mnie miał w... swoich włochatych odnóżach i w ogóle!

*Wcale nie chcesz UCIEKAĆ.*

Racja, pomyślał Maurycy, wcale nie chcę uciekać... Zaraz, oczywiście, że chcę stąd uciec.

— Jestem kotem — mruczał dalej. — Żaden szczur nie będzie mi nic kazał. Już raz próbowałeś.

*Tak — nadpłynął głos PAJĄKA, ale wtedy byłeś SILNY. A teraz twój mózdzek powinien odpocząć. Ja mogę myśleć za ciebie.*

*Ja mogę myśleć za KAŻDEGO.*

*Już na zawsze zostanę z tobą.*

Głos odpłynął.

No, pomyślał Maurycy. Czas powiedzieć Lśniącemu Zdrojowi żegnaj. Przyjęcie się skończyło. Szczury spotkały się z całą masą innych szczurów i nawet można powiedzieć, że ludzie się spotkali, przynajmniej jeśli chodzi o tamtych dwoje, ale ja mam tylko siebie i chcę się zabrać tam, gdzie nie będą do mnie przemawiały żadne obce głosy.

— Przepraszam — rzekł dość głośno. — Idziemy stąd czy nie?

Obie ludzkie istoty obejrzały się w jego kierunku.

— Ja bym wolał się stąd wynieść — dodał Maurycy. — Czy moglibyście wyjąć tę

kratę? Jest całkiem przerdzewiała, to nie będzie trudne. Dobry chłopak. I możemy się zbierać...

— Oni wezwali zaklinacza szczurów — powiedział Keith. — A szczury należące do klanu rozpiezchły się pod całym miastem. Rano zjawi się tutaj prawdziwy zaklinacz. Nie fałszywy jak ja. Wiesz, że ci prawdziwi mają czarodziejskie flety. Chcesz zobaczyć, co się stanie z naszymi szczurami?

Nowa świadomość Maurycego wymierzyła mu potężnego kuksańca.

— Zobaczyć? Nie bardzo — odparł niechętnie.

— No widzisz. Więc nie możemy stąd uciec — zgodził się Keith.

— W takim razie co mamy zamiar zrobić? — zainteresowała się Malicia.

— Zamierzamy porozmawiać ze szczurołapami, kiedy tutaj wrócą.

— A dlaczego sądzisz, że będą chcieli z nami rozmawiać?

Z twarzy Keitha nie zniknęło zamyślenie.

— Bo jeśli tego nie zrobią, umrą.

\* \* \*

Szczurołapy wróciły dwadzieścia minut później. Drzwi ich siedziby otworzyły się gwałtownie i równie gwałtownie zostały zatrzaśnięte. Drugi szczurołap zasunął zasuwę.

— Chyba mieliśmy się świetnie bawić, czy nie tak mówiłeś? — zapytał, dysząc ciężko. — Opowiedz mi o tym jeszcze raz, bo zdaje mi się, że coś przegapiłem.

— Zamknij się — odparł pierwszy szczurołap.

— I na dodatek straciłem portfel. A w nim dwadzieścia dolarów, których nigdy nie zobaczę.

— Zamknij się.

— I nie mogłem odzyskać żadnego z naszych walecznych szczurów, które brały udział w ostatniej walce!

— Zamknij się.

— Nasze psy też tam zostały. Nie mogliśmy się zatrzymać, żeby je odwiązać. Ktoś inny je weźmie.

— Zamknij się.

— Czy szczury często latają w powietrzu? A może jest to coś, o czym słyszysz

tylko wtedy, gdy jesteś nadzwyczaj doświadczonym szczurołapem?

— Czy już powiedziałem ci, żebyś się zamknął?

— Tak.

— To się zamknij. No, wynosimy się, i to już. Zabieramy pieniądze, zwiniemy łódkę z nabrzeża, zostawiamy wszystko, czego nie zdołaliśmy sprzedać, i wio.

— Po prostu tak? Bezręki Johnny i jego chłopcy przyplływają jutro wieczorem po kolejny ładunek i...

— Zwijamy się, Bill. Mój nos ostrzega, że nie jest dobrze.

— Po prostu tak? Johnny jest nam winien dwieście dolców...

— Tak. Po prostu tak. Czas w drogę. Koniec pieśni, ptaszki wyfrunęły, kot uciekł z worka! A... Czy ty to powiedziałaś?

— Co powiedziałem?

— Czy powiedziałaś właśnie: „Wolę do worka”?

— Ja? Nie.

Szczurołap rozejrzał się po pomieszczeniu. Poza nimi nie było nikogo.

— No to w porządku — westchnął. — To był długi wieczór. Kiedy sprawy się komplikują, trzeba zmykać. Nic nie cudować. Po prostu sobie pójdziemy, rozumiesz? Nie chciałbym tutaj być, kiedy zjawią się ci, którzy nas szukają. I nie mam ochoty się spotykać z żadnym zaklinaczem szczurów. To twarde. Wszędzie wściubiają nosy. I kosztują kupę kasy. Ludzie zaczną zadawać mnóstwo pytań, a ja chcę, by mogli zadać tylko jedno: „Gdzie się podziały szczurołapy?”. Rozumiesz? Inaczej popędzą nam kota. Co...? Co powiedziałaś?

— Co, ja? Nic. Może herbaty? Zawsze ci dobrze robiła.

— Czy powiedziałaś: „Już ja cię popędzę?” — zapytał pierwszy szczurołap.

— Ja tylko zapytałem, czy nie chciałbyś się napić herbaty! Jak słowo daję. Dobrze się czujesz?

Pierwszy przyglądał się kumplowi, jakby chciał wyczytać z jego twarzy, czy jednak nie kłamie. Wreszcie westchnął.

— Tak, wszystko w porządku. Tylko pamiętaj, osłódź trzy łyżeczki.

— Oczywiście — powiedział drugi. — Nie wolno dopuścić do spadku poziomu cukru we krwi. Musisz dbać o siebie.

Pierwszy sięgnął po kubek, siorbnął herbatę i popatrzył do wnętrza kubka.

— Jak do tego doszło? — zapytał. — Że to wszystko robiliśmy? Wiesz, o co mi chodzi. Czasami budzę się w nocy i myślę, że to głupie, a potem ruszam do pracy i wszystko wydaje się całkiem rozsądne. To, że kradniemy jedzenie, a winę zrzucamy na szczury, i to, że hodujemy silne, wielkie szczury, żeby je wystawiać do walki z psami, a potem wracamy z tymi, które przeżyły, by wyhodować jeszcze większe i silniejsze, ale... ja nie wiem... kiedyś nie mógłbym związać dzieciaków...

— Ale zarobiliśmy sporo kasy, prawda?

— Tak. — Pierwszy zakręcił herbatą w kubku i znowu się napił. — Pewnie do tego to się sprowadza. Czy to jakaś nowa herbata?

— Nie, lord green, jak zawsze.

— Smakuje jakoś inaczej. — Szczurołap dopił do końca i odstawił kubek na ławę. — Dobrze, zbieramy...

— Na razie wystarczy — odezwał się ponad ich głowami głos. — Teraz spokojnie mnie posłuchajcie. Jeśli uciekniecie, umrzecie. Jeśli będziecie za dużo mówić, umrzecie. Jeśli za długo będziecie zwlekać, umrzecie. Jeśli myślicie, że jesteście sprytni, umrzecie. Macie jakieś pytania?

Kilka słomek spadło z belki w dół. Szczurołapy podniosły wzrok i zobaczyły spoglądającego na nich kota.

— To kot tego cholernego dzieciaka! — wykrzyknął pierwszy. — Mówiłem ci, że patrzył na mnie jakoś tak dziwnie!

— Gdybym był na twoim miejscu, nie patrzyłbym na mnie — powiedział Maurycy jakby nigdy nic. — Raczej popatrzyłbym na trutkę na szczury.

Drugi odwrócił się w stronę stołu.

— O, ktoś ukradł trochę trutki!

— Ach! — westchnął pierwszy szczurołap, który potrafił znacznie szybciej myśleć.

— Ukradł? — zdziwił się kot z wysoka. — My nie kradniemy. To robią złodzieje. My tylko odłożyliśmy ją w inne miejsce.

— Och! — jęknął pierwszy i usiadł.

— To niebezpieczna substancja! — rzekł drugi, rozglądając się za czymś do rzucenia w kota. — Nie wolno wam jej dotykać! Powiedzcie mi w tej chwili, gdzie ona jest!

W tej samej chwili z trzaskiem otworzyła się kłapa do piwnicy i w otworze ukazała się głowa Keitha, który po chwili wdrapał się po drabinie do środka. Szczurołapy patrzyły na niego w niemym zdziwieniu.

Chłopak trzymał zgniecioną papierową torbę.

— Ojej! — jęknął pierwszy szczurołap.

— Coś zrobił z trucizną? — koniecznie chciał się dowiedzieć drugi.

— No cóż, jeśli już pytasz — odrzekł Keith — to większość trafiła do cukru...

\* \* \*

Ciemnaopalenizna obudził się. Nie mógł oddychać, kark płonął mu żywym ogniem. Czuł ciężar szczęk pułapki przyciskający go od góry i śmiertelny ucisk zębów na brzuchu.

Nie powinienem już żyć, pomyślał. Wolałbym już nie...

Spróbował podnieść się nieco, ale ból stał się znacznie gorszy. Kiedy opadł w dół, zalała go kolejna fala bólu.

Złapany jak szczur w pułapkę, pomyślał.

Ciekawe, jaki to typ?

— Ciemnaopalenizno, gdzie jesteś?

Głos dochodził gdzieś z bliska. Ciemnaopalenizna próbował odpowiedzieć, ale każdy, nawet najmniejszy ruch powodował, że metalowe zęby zaciskały się na nim coraz mocniej.

— Ciemnaopalenizno?

Udało mu się wydobyć z siebie cichutki pisk. Słowa tak bardzo bolały.

Ktoś się zbliżał drobnymi kroczkami w całkowitej ciemności.

— Ciemnaopalenizno!

Ten ktoś pachniał jak Odżywka.

— Uhm — stęknął Ciemnaopalenizna.

— Wpadłeś w pułapkę!

To było za wiele jak na niego i choć każde słowo było umieraniem, zapytał:

— Naprawdę?

— Pobiegnę po Sardynki, dobrze? — wyjąkała Odżywka.

Ciemnaopalenizna czuł, że ogarnia ją panika. A na to nie było czasu.

— Nie! Powiedz... — dyszał — Jaki... to rodzaj... pułapki?

— E... e... e... — to było wszystko, co wydobyła z siebie Odżywka.

Zaczerpnął tchu, chociaż wprost paliło go w piersi.

— Myśl, ty... zasrańcu!

— E... cała jest zardzewiała... e... Wszędzie rdza! Wygląda jak... e... to może być typ Łamiąca Kręgosłup. — Ciemnaopalenizna usłyszał za sobą drapanie. — Tak, udało mi się odgryźć kawałek rdzy. I tutaj jest napis: Łamiąca Kręgosłup numer jeden, wytwórnia braci Nugent.

Ciemnaopalenizna usiłował myśleć, mimo że potworny ciężar nieustannie próbował go przygnieść. Jedyńka. Toż to antyk! Coś takiego wyszło z użycia w zamierzchłych czasach. Najstarszą, jaką on kiedykolwiek widział, była wersja usprawniona numer siedem! I miał do pomocy tylko Odżywkę, kompletne drtlił na czterech lewych łapkach.

— Czy możesz... zobaczyć, jak...? — zaczął, ale przed oczami zaczęły mu tańczyć purpurowe światła, ogromny tunel oświetlony na czerwono. Spróbował jeszcze raz, choć czuł, że coś ciągnie go do tych światła. — Czy... widzisz... jak... linka...?

— Wszystko jest zardzewiałe, sir! — doszedł go przerażony głosik. — Wygląda na działanie nieodwracalne, jak w Wielkim Łapaczu, sir, ale nie ma haczyka na końcu! Czy to bardzo boli, sir? Sir? Sir?

Ciemnaopalenizna czuł, że ból odpływa. A więc to w taki sposób się dzieje, pomyślał sennie. Teraz już za późno. Ona spanikuje i ucieknie. Właśnie tak się zachowujemy. Kiedy wpadamy w kłopoty, czmychamy do najbliższej dziury. Ale nieważne. Ostatecznie to tylko przypomina sen. Nie ma się czym przejmować. Prawdę mówiąc, to nawet miłe. Może rzeczywiście istnieje Wielki Szczur Głęboko pod Ziemią. Dobrze by było.

Odpływał pogodnie w ciepłej ciszy. Działy się złe rzeczy, ale zdarzały się gdzieś daleko i już nie miały znaczenia...

Wydawało mu się, że słyszy z tyłu jakiś dźwięk, jakby stukot szczurzych łapek po kamiennej podłodze. Przemknęła mu myśl, że pewnie Odżywka ucieka. Ale tej myśli towarzyszyła inna: Może to Kościany Szczur.

Nie przeraził się. Już nic go nie mogło przerazić. Najgorsze już się zdarzyło.

Czuł, że gdyby teraz odwrócił głowę, coś by zobaczył. Ale łatwiej było unosić się w tej wielkiej ciepłej przestrzeni.

Czerwone światło robiło się coraz ciemniejsze, przechodziło w ciemny fiolet, potem w błękit. Pośrodku tego błękitu widniał czarny okrąg.

Wyglądał jak tunel dla szczurów.

Tam właśnie mieszka Wielki Szczur, pomyślał Ciemnaopalenizna. To jest jego tunel. Jakie to wszystko proste.

W centralnym punkcie tunelu pojawiła się lśniąca biała kropka, która szybko rosła.

On nadchodzi, pomyślał Ciemnaopalenizna. Musi dużo wiedzieć. Ciekawe, co mi powie.

Jasność zbliżała się i rzeczywiście zaczynała wyglądać jak szczur.

Jakie to dziwne, myślał Ciemnaopalenizna, kiedy niebieski poblask zniknął i zastąpiła go czerni. Czyli to istnieje naprawdę. Idziemy do tune...

Usłyszał jakiś hałas. Hałas, który wypełnił cały świat. I znowu poczuł ten straszliwy ból w karku. A kiedy Wielki Szczur przemówił, był to głos Odżywki:

— Przegryzłam linkę, sir! Przegryzłam! Była stara i słaba, sir. Pewnie dlatego pułapka pana nie zmiażdżyła, sir. Czy pan mnie słyszy, sir? Ciemnaopalenizno? Sir? Przegryzłam ją, sir! Czy pan nadal nie żyje, sir? Sir?

\* \* \*

Pierwszy szczurołap z zaciśniętymi pięściami poderwał się z krzesła.

Tylko w zamierzeniu miał być to ruch pełen energii, bo jakoś w połowie stracił impet. Szczurołap wylądował z powrotem ciężko na krześle, łapiąc się za brzuch.

— O nie. O nie. Wiedziałem, że ta herbata jakoś dziwnie smakuje... — wyszeptał.

Drugi szczurołap aż zzieleniał na twarzy.

— Wy wstrętne bacho... — zaczął.

— I niech wam nawet nie przyjdzie do głowy, żeby nas zbić — odezwała się Malicia. — Wtedy już nigdy stąd nie wyjdziecie. A my się obrazimy i zapomnimy, gdzie leży odtrutka. Nie macie czasu, żeby nas zbić.

Pierwszy jeszcze raz usiłował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

— Która to była trucizna? — zapytał.

— Sądząc po zapachu, tę właśnie szczury nazywają numer trzy — odparł Keith.

— Na torebce był napis ZABIJADUŻO!!!

— Szczury mówią o niej numer trzy? — powtórzył ze zdziwieniem drugi.

— Sporo wiedzą na temat trutek — potwierdził Keith.

— I powiedziały ci, że jest na to odtrutka, tak? — ironizował drugi.

Pierwszy spojrzał na niego.

— Słyszeliśmy przecież, że mówią, Bill. W stajni, pamiętasz? — Przeniósł wzrok na Keitha i pokręcił głową. — Nie wyglądasz na dzieciaka, który z zimną krwią by kogoś otruł...

— A co powiesz o mnie? — zapytała Malicia.

— Ona by to zrobiła. Ona tak! — wrzasnął drugi, łapiąc pierwszego za ramię. — Ona jest wredna. Wszyscy tak mówią!

Znowu chwycił się za brzuch i pochylił z jękiem.

— Powiedziałaś coś na temat odtrutki — zagadnął pierwszy. — Ale przecież nie ma odtrutki na ZABIJADUŻO!!!

— Jeśli mówiłem, że jest, to jest — odparł Keith. — Szczury ją odkryły.

Drugi szczurołap opadł na kolana.

— Błagam, paniczu, miej litość. Jeśli nie dla mnie, to pomyśl o mojej ukochanej żonie i miłych dzieciaczkach. Mam ich czworo. Zostaną bez tatusia!

— Nie jesteś żonaty — odparła Malicia — i nie masz żadnych dzieci.

— Ale mogę mieć!

— Co się stało ze szczurem, którego zabraliście? — zapytał Keith.

— Nie mam pojęcia, sir. Szczur w kapeluszu sfrunął z dachu, złapał go i odfrunęli. — Drugi aż kipiał ze złości na samo wspomnienie. — A potem zjawiał się następny wielki szczur, krzyczał na wszystkich, ugryzł Jacko w... w miejsce, którego się nie wymienia, wyskoczył z zagrody i tyle żeśmy go widzieli.

— Wygląda na to, że ze szczurami jest wszystko w porządku — stwierdziła Malicia.

— Jeszcze nie skończyłem — powiedział Keith. — Kradliście jedzenie, a winę rzucaliście na szczury, tak?

— Zgadza się.

— I zabijaliście szczury — dodał bardzo cicho Maurycy.

Pierwszy szczurołap odwrócił się gwałtownie. Było coś w tym cichym głosie, co potrafił rozpoznać. Słyszał ludzi, którzy tak samo mówili. Zjawiali się od czasu do czasu w stajni czy stodole, gdzie organizowano gonitwy szczurów. Ubrani w szykowne płaszcze, podróżowali przez góry, zarabiając na życie hazardem, a czasami bardzo skutecznie używali noży. Mieli coś takiego w spojrzeniu i coś w głosie. Mówiło się o nich „dżentelmeni mordercy”. Nie wchodzi się w drogę dżentelmenom mordercom.

— Tak, tak, zabiliśmy szczury — paplał drugi.

— Uważaj, co mówisz, Bill — wyszeptał pierwszy, nie spuszczać wzroku z Maurycego.

— Dlaczego to robiliście? — zapytał Keith.

Drugi szczurołap przenosił wzrok z szefa na Malicię, jakby próbował się zdecydować, kogo bardziej się boi.

— No, Ron powiedział, że szczury i tak zjadają jedzenie — wydusił wreszcie. — Więc... jeśli pozbędziemy się wszystkich szczurów i sami weźmiemy jedzenie, to nie będzie właściwie kradzież, prawda? To będzie raczej... przeniesienie jedzenia w inne miejsce. I jest taki facet, Ron go zna, który przy pływa tu w nocy barką i on nam płaci...

— To kłamstwo! — zachnął się pierwszy. Wyglądał tak, jakby miał za chwilę wymiotować.

— Łapaliście żywe szczury i trzymaliście je w zatłoczonych klatkach bez jedzenia — odezwał się znowu Keith. — I żeby przeżyć, jedne szczury musiały zjadać inne. Dlaczego to robiliście?

Pierwszy złapał się za brzuch.

— Czuję, że trutka zaczyna działać! — wyszeptał.

— To tylko działa twoja wyobraźnia — zachnął się Keith.

— Naprawdę?

— Nie wiecie nic na temat trucizn, których używacie? Twój brzuch zacznie się rozpuszczać po dwudziestu minutach.

— No, no! — w głosie Malicii brzmiał podziw.

— I niedługo potem — mówił dalej Keith — jeśli wydmuchasz nos, twój mózg... no, powiem tylko, że będziesz potrzebował bardzo dużej chustki.

— Wspaniale! — Malicia nerwowo szukała w swojej torbie. — Muszę to zapisać!

— A potem, jeśli... no, po prostu nie chodź do łazienki, to wszystko. Nie pytaj dlaczego. Naprawdę lepiej nie wiedzieć. Po godzinie będzie po wszystkim. Poza oczywiście sączeniem.

Malicia zapisywała, jak potrafiła najszybciej.

— Czy będzie wyciekać? — zapytała.

— Bardzo — odparł Keith, nie spuszczać wzroku ze szczurołapów.

— To nieludzkie! — wrzasnął drugi.

— O, mylisz się, to bardzo ludzkie — nie zgodził się z nim Keith. — Wyjątkowo ludzkie. Nie istnieje inne stworzenie na świecie, które by zrobiło coś takiego żyjącej istocie, a twoja trutka robiła to szczurom każdego dnia. Teraz mi powiedz o kłatkach.

Po twarzy pomocnika szczurołapa spływały strugi potu. W tej chwili wyglądał, jakby został złapany w pułapkę.

— Szczurołapy zawsze łapały żywe szczury, żeby je wystawiać do walk — Jęknął. — To rodzaj napiwku. Nic zdrożnego! Od wieków tak robiono. Czymś trzeba je karmić. Nie ma nic zdrożnego w karmieniu szczurów szczurami. Wszyscy wiedzą, że szczury jedzą szczury, zostawiają tylko to coś jak zielona, trzęsąca się galaretka. I potem...

— Och, więc jest jakieś potem? — zapytał spokojnie Keith.

— Ron powiedział, że jeśli będziemy hodować szczury na mięsie tych, które przeżyły w walkach, no wiesz, tych, które nie dały się psom, otrzymamy w wyniku większe i bardziej bojowe szczury.

— To metoda naukowa — wtrącił pierwszy.

— I w jakim celu? — spytała Malicia.

— Cóż, panienko, my... — zaczął Ron — my myśleliśmy... ja myślałem... my myśleliśmy że... to nie jest oszustwo wystawić między szczurami prawdziwego twardziela. Przecież nikomu tak naprawdę to nie szkodzi? Ale daje nam lekką przewagę, jeśli chodzi o zakłady. Ja myślałem... on myślał...

— Trochę ci się myli, czyj to był w zasadzie pomysł — podsunął mu Keith.

— Jego — odpowiedziały równocześnie oba szczurołapy.

*Mój, odpowiedział głos w głowie Maurycego. Kot o mało nie spadł z belki. Wszystko, co nas nie zabije, uczyni nas silniejszymi, powiedział głos Pająka. Najsilniejszy z miotu i tak dalej.*

— Wyście je hodowali? — zdziwiła się Malicia. — Czyli gdybyśmy tutaj nie mieli szczurołapów, w mieście byłoby mniej szczurów? — zamilkła z przekrzywioną na bok głową. — Nie, to nie w porządku. Ale wciąż coś mi się nie zgadza. Musi być jeszcze coś. Coś, o czym nam nie powiedzieliście. Te szczury w klatkach były... szalone, niespełna rozumu...

Ja też bym oszalał, pomyślał Maurycy, gdybym słyszał ten okropny głos w mojej głowie każdego dnia, godzina za godziną.

— Jest mi niedobrze — powiedział pierwszy szczurołap. — Muszę sobie ulżyć. Muszę...

— Nie rób tego — odpowiedział Keith, patrząc na drugiego. — Nie będzie ci się podobało. No i co, panie asystencie szczurołapa?

— Zapytaj ich, co znajduje się w następnej piwnicy — powiedział Maurycy. Powiedział to bardzo szybko. Czuł, jak głos Pająka usiłuje powstrzymać jego usta, żeby to zdanie nie zabrzmiało.

— A więc co znajduje się w następnej piwnicy? — zapytał Keith.

— Och, jeszcze więcej tego samego, stare klatki i takie tam... — odpowiedział drugi.

— I co jeszcze? — naciskał Maurycy.

— Tam tylko... tam tylko... to jest miejsce, gdzie... — Szczurołap otwierał i zamykał usta. Oczy miał wytrzeszczone. — Nie mogę powiedzieć. E... tam nic nie ma. Nie, jest. Tam nic nie ma, tylko stare klatki. No i siedlisko zarazy. Nie wchodźcie tam, bo się zarazicie. Właśnie dlatego nie możecie tam wchodzić. Ze względu na zarazę.

— Kłamie — oświadczyła Malicia. — Nie dostanie odtrutki.

— Musiałem to zrobić! — Jęknął drugi. — Trzeba to zrobić, jeśli chcesz być przyjęty do cechu!

— To jest sekret gildii! — wrzasnął na niego pierwszy. — My nie zdradzamy sekretów... — zamilkł, łapiąc się obiema rękami za brzuch.

— Co musieliście zrobić? — zapytał Keith.

— Króla szczurów! — wyrzucił z siebie drugi.

— Króla szczurów? — głos Keitha już wcale nie brzmiał łagodnie.

— Co to takiego?

— Ja... ja... ja... Przestań, ja... ja... ja... nie chcę... — łzy płynęły drugiemu

szczurołapowi po twarzy. — My... ja... zrobiliśmy szczurzego króla... Przestań. Przestań... przestań...

— I on jeszcze żyje? — zapytała Malicia.

Keith odwrócił się w jej stronę w zdziwieniu.

— Ty wiesz coś o tym?

— Oczywiście. Jest mnóstwo historii na ten temat. Szczurzy królowie są bardzo źli. Oni...

— Odtrutkę, dajcie mi odtrutkę, proszę! — wyjęczał drugi. — Czuję się tak, jakby w moim brzuchu biegało stado szczurów!

— Zrobiliście szczurzego króla — powtórzyła Malicia. — A niech to. No cóż, odtrutkę zostawiliśmy w tej piwniczce, w której nas zamknęliście. Na waszym miejscu bym się pospieszyła.

Oba szczurołapy zerwały się na równe nogi. Pierwszy wskoczył do piwnicy. Drugi wylądował na nim. Przeklinając, jęcząc i — trzeba to powiedzieć — niesamowicie puszczając wiatry, pobiegli dalej.

Malicia i Keith zatrzasnęli klapę i wsunęli w skobel kawałek drewna, żeby ją zablokować.

— Odtrutki wystarczy dla jednej osoby! — krzyknął Keith. — Ale jestem pewien, że sobie poradzicie... bardzo po ludzku.

\* \* \*

Ciemnaopalenizna usiłował odzyskać oddech, choć miał wrażenie, że mu się to już nigdy nie uda. Czuł się nadal tak, jakby jego plecy i pierś ścisnęła obręcz bólu.

— To niesamowite! — wykrzyknęła Odżywka. — W pułapce był pan nieżywy, a teraz pan ożył!

— Odżywko! — odezwał się ostrożnie Ciemnaopalenizna.

— Tak, sir.

— Jestem bardzo... wdzięczny — przy oddychaniu wciąż wydawał z siebie świsty — ale nie zachowuj się głupio. Linka była długo naciągnięta i słaba, i... zęby pułapki były zardzewiałe i stępione. To wszystko.

— Ale ma pan znaki po zębach na całym ciele! Nikt nigdy nie wyszedł z pułapki. Poza panem Klik, a on przecież jest z gumy!

Ciemnaopalenizna lizał się po brzuszku. Odżywka miała rację. Był cały podziurkowany.

— Po prostu miałem szczęście — rzekł.

— Nigdy żaden szczur nie wyszedł żywy z pułapki — powtórzyła Odżywka. — Czy widział pan Wielkiego Szczura?

— Co takiego?

— Wielkiego Szczura.

— A, o to ci chodzi. — Już miał dodać: „Nie zajmuję się takimi bzdurami”, ale nie zrobił tego. Pamiętał wciąż światło, a potem ciemność, która się przed nim pojawiła. To nie wydawało się wcale złe. Prawie żałował, że Odżywka wyciągnęła go z pułapki. Tam, w pułapce, nie czuł już przecież bólu. I nie musiał podejmować żadnych trudnych decyzji. Teraz wybrnął z sytuacji, zadając pytanie: — Czy Szynkawieprz czuje się dobrze?

— Można tak powiedzieć. Nie ma żadnych ran, które nie mogłyby się zagoić. Ale, no cóż, on był już bardzo stary. Prawie trzy lata.

— Był? — powtórzył Ciemnaopalenizna.

— Jest bardzo stary, sir. Sardynki wysłał mnie po pana, bo będziemy pana potrzebowali, żeby go zanieść, tylko że... — Odżywka obrzuciła go wątpięcym spojrzeniem.

— Wszystko w porządku. Na pewno wyglądam gorzej, niż się czuję. — Mrugnął do niej. — Idźmy.

Stary budynek zawsze ma wiele szpar, którymi mogą przemieszczać się małe stworzenia. Nikt nie zauważył dwóch szczurów, kiedy przemieszczały się ze żłobu na siodło, a potem po uprzęży na siano. Zresztą nikt ich nie szukał. Ponieważ niektóre ze szczurów skorzystały z okazji i wyrwały się na wolność, psy rzuciły się jak wściekłe, by je gonić, walcząc przy tym ze sobą. A za psami pognali ludzie.

Ciemnaopalenizna wiedział to i owo na temat piwa, ponieważ zdarzało mu się włóczyć pod pubami i browarami. Szczury często zastanawiały się, czemu ludzie lubią od czasu do czasu wyłączać swoje mózgi. Dla szczurów, żyjących w centrum pajęczyny zbudowanej z dźwięków, światła i zapachów, nie miało to żadnego sensu.

Ale teraz Ciemnaopalenizna pomyślał, że może to nie jest do końca złe. Myśl, by choć na chwilę zapomnieć o wszystkim, oczyścić głowę z kłopotów... no cóż, wydawała

się całkiem atrakcyjna.

Niezbyt wiele pamiętał z życia przed Przemianą, ale z całą pewnością nie było tak skomplikowane. Złe rzeczy, oczywiście, zdarzały się, ponieważ życie na wysypisku śmieci nie było łatwe. Ale to co złe przemijało i zawsze potem nastawał nowy dzień.

Szczury nie myślą za wiele o dniu jutrzejszym. Odczuwają raczej, że coś może się jeszcze wydarzyć, ale tego wrażenia nie można nazwać myśleniem. Nie rozróżniały też między dobrym i złym, przyzwoitym i niesłusznym. To były całkiem nowe idee.

Idee! A teraz to był ich świat! Wielkie pytania i wielkie odpowiedzi, pytania o życie i jak je należy przeżyć, i po co się żyje. Nowe idee rozpląwały się po umęczonej głowie Ciemnejopalenizny.

A pomiędzy tymi ideami, jakby w środku, widniała postać Niebezpiecznego Groszka.

Ciemnaopalenizna nigdy nie rozmawiał zbyt wiele ani z tym białym szczurkiem, ani z małą szczurzycą, która kręciła się wciąż wokół niego i rysowała to, co on wymyślał. Ciemnaopalenizna lubił tych, którzy zachowywali się praktycznie.

Ale teraz myślał: on unieszkodliwia pułapki. Tak jak ja! Zawsze kilka kroków przed nami, odnajduje idee, które mogą być niebezpieczne, zastanawia się nad nimi i zamyka je w słowach, dzięki czemu stają się bezpieczne. I wtedy nam je pokazuje.

Potrzebujemy go... potrzebujemy go teraz. W innym przypadku będziemy się kręcić w kółko jak szczury na dnie beczki...

Znacznie, znacznie później, gdy Odżywka była już stara, miała siwy pyszczek i zmysł węchu coraz częściej ją zawodził, podyktowała historię ich wspinaczki i słowa, które mamrotał do siebie Ciemnaopalenizna. I opowiadała, że Ciemnaopalenizna, którego wyciągnęła z pułapki, był już innym szczurem niż przedtem. To było jakoś tak, jakby jego myśli płynęły wolniej, ale zataczały większe kręgi.

A najdziwniejsze wydarzyło się, kiedy dotarli do belki. Ciemnaopalenizna sprawdził, czy z Szynkawieprzem wszystko jest w porządku, po czym wyciągnął zapałkę, którą pokazywał Odżywce.

— Potarł nią o kawałek żelaza — opowiadała Odżywka — po czym ruszył po belce z zapaloną zapałką w łapkach, patrząc w dół na tłum ludzi, na kopy siana i porozrzucaną wszędzie słomę. Ludzie miotali się jak... no, jak szczury... pomyślałam wtedy, że gdy zrzuci zapałkę, całe pomieszczenie wypełni w kilka sekund dym, więc

zamkną drzwi i po chwili dopiero zdadzą sobie sprawę, że zostali złapani jak... no, jak szczury w pułapkę, a my już będziemy daleko, bo wydostaniemy się przez rynnę. Ale on tylko stał, patrząc w dół, aż zapałka zgasła. Wtedy odłożył ją i pomógł nam z Szynkawieprzem, i nigdy już nie wrócił do tego ani słowem. Pytałam go o to później, po tym wszystkim co wydarzyło się z zaklinaczem i w ogóle, ale powiedział tylko: „Tak. Szczury w pułapce”.

— Co naprawdę wsypałaś do cukru? — zapytał Keith, kierując się do sekretnego przejścia.

— Cascarę — odparła Malicia.

— To nie jest trucizna, prawda?

— To środek przeczyszczający.

— Co to znaczy?

— Że musisz iść... no wiesz.

— Gdzie?

— Nie chodzi o to gdzie, głupku. Tylko iść... no... zrobić. Nie będę ci tego w szczegółach tłumaczyć.

— A, chodzi ci o to, że trzeba... pójść.

— No właśnie.

— I tak przez przypadek miałaś to ze sobą.

— Oczywiście. W mojej dużej torbie z lekarstwami.

— Chcesz powiedzieć, że nosisz takie rzeczy, na taki właśnie wypadek?

— Ależ tak. To się często przydaje.

— Na przykład kiedy? — pytał Keith, wspinając się po drabinie.

— Wyobraź sobie, że jesteś porwany. Wyobraź sobie, że złapali nas piraci. Piraci mają bardzo monotonną dietę, pewnie właśnie dlatego są przez cały czas wściekli. Albo założmy, że udało nam się uciec i znaleźliśmy się na wyspie, gdzie są tylko orzechy kokosowe. Niezwykle zatwardzają.

— No tak, ale... przecież... wszystko się może zdarzyć! Jeśli rozumiesz w taki sposób, powinnaś mieć przy sobie wszystko na wypadek każdej sytuacji!

— Dlatego ta torba jest taka duża — odparła spokojnie Malicia, przełaząc przez otwór i otrzepując się z kurzu.

Keith westchnął.

— Ile im dałaś?

— Dużo. Ale nic im się nie stanie, jeśli tylko nie zażyją zbyt wiele odtrutki.

— A co im podałaś jako antidotum?

— Cascarę.

— Malicia, nie jesteś miła.

— Naprawdę? To ty chciałaś im podać prawdziwą truciznę i bardzo dobrze sobie wyobrażałaś, co się stanie w ich brzuchach.

— Tak, ale szczury są moimi przyjaciółmi. I niektóre trucizny właśnie to z nimi robią. A pomyśl... żeby jako odtrutkę podawać więcej trucizny...

— To nie jest trucizna, tylko lekarstwo. Po tym wszystkim będą całkiem wyczyszczeni. Wspaniałe uczucie.

— No dobrze, już dobrze. Ale... podanie tego samego środka także jako odtrutki było trochę... trochę...

— Sprytne? Znakomite z punktu widzenia opowieści? — zapytała Malicia.

— Chyba tak — opornie zgodził się Keith.

Dziewczynka rozejrzała się dokoła.

— Gdzie twój kot? Myślałam, że idzie za nami.

— Czasami się gdzieś włóczy. I to nie jest mój kot.

— No tak, to ty jesteś jego chłopcem. Ale młody człowiek ze sprytnym kotem może zajść daleko.

— Tak?

— Przede wszystkim mamy przykład Kota w Butach — powiedziała Malicia. — Każdy też oczywiście wie o Dicku Livingstonie i jego cudownym kocie, prawda?

— Ja nie wiem — odparł Keith.

— To bardzo słynna historia.

— Przykro mi. Od dawna nie miałem okazji nic czytać.

— Naprawdę? No cóż, Dick Livingstone był chłopcem bez grosza przy duszy, a stał się burmistrzem Übergurgl, ponieważ jego kot doskonale łapał... no, te... gołębie. W mieście było zatrzęsienie... gołębi, tak, o to właśnie chodziło. Co więcej, ożenił się potem z córką sułtana, ponieważ kot oczyścił z... gołębi pałac jej ojca...

— Chodziło o szczury, prawda? — zapytał ponuro Keith.

— Przykro mi, ale tak.

— I to była tylko bajka — dodał chłopiec. — Posłuchaj, czy naprawdę istnieją opowieści o królach szczurów? Czy szczury mają królów? Nigdy o tym nie słyszałem. Jak to się dzieje?

— Nie tak jak myślisz. Te historie są znane od lat. A król szczurów istnieje naprawdę. Tak jak na szyldzie Gildii Szczurołapów.

— Co? Szczury z powiązanymi ogonami? Jak...?

Rozległo się głośne i nieustępliwe stukanie w drzwi. Tak głośne, jakby ktoś raczej kopał w nie, a nie stukał.

Malicia odsunęła zasuwę.

— O co chodzi? — zapytała lodowato.

Przed progiem stała gromada mężczyzn. Ich przywódca, który wyglądał tak, jakby został przywódcą wyłącznie dlatego, że znalazł się z przodu, cofnął się na widok Malicii.

— O... to panienka...

— Tak. Mój ojciec jest tu burmistrzem, to wiecie, prawda? — upewniła się.

— E... oczywiście. O tym wie każdy.

— Dlaczego wszyscy trzymacie w dłoniach kije?

— E... chcieliśmy rozmawiać ze szczurołapami — powiedział rzecznik grupy. Starł się przy tym zerknąć jej przez ramię.

— Tu nie ma nikogo poza nami — zapewniła go Malicia. — A może myślicie, że znajdują się tu ukryte drzwi prowadzące do labiryntu piwnic, gdzie trzyma się przerażone zwierzątka w klatkach i gdzie zmagazynowane zostało skradzione jedzenie?

Przestąpił z nogi na nogę nerwowo.

— Panienka znowu opowiada te swoje historie.

— Macie jakieś kłopoty?

— Wydaje nam się... że szczurołapy... zachowały się... no... niegrzecznie. — Zbladł pod jej spojrzeniem.

— Tak?

— Oszukali nas przy gonitwach szczurów! — wykrzyknął jakiś mężczyzna z tyłu, odważniejszy, ponieważ ktoś oddzielał go od Malicii. — Musieli te szczury tresować! Jeden latał na gumie!

— A drugi ugryzł mojego Jacko w... w... część ciała, o której się nie mówi! — wykrzyknął ktoś inny z tyłu. — Nikt mi nie powie, że szczur zrobił coś takiego sam z siebie!

— Widziałam dziś jednego szczura w kapeluszu — powiedziała Malicia.

— Dzisiaj pojawiło się zdecydowanie zbyt wiele dziwnych szczurów — odezwał się jeszcze ktoś inny. — Mamusia mi mówiła, że widziała takiego, który tańczył po półkach w jej kuchni! A kiedy dziadek sięgnął po swoje sztuczne zęby, szczur ugryzł go nimi. Ugryzł go jego własnymi zębami.

— Co? Założył je sobie? — zapytała Malicia.

— Nie, chapnął nimi w powietrzu. Nasza sąsiadka otworzyła drzwi kredensu, a tam szczury pływały sobie w śmietanie. I nie tylko pływały. Musiały to wcześniej wyćwiczyć. Robiły figury, machając łapkami w powietrzu.

— Chcesz powiedzieć, że to był taniec synchroniczny? — dopytywała się Malicia.

— No i kto teraz opowiada historie, co?

— Jesteś pewna, że nie wiesz, gdzie są szczurołapy? — zapytał podejrzliwie dowódca. — Ludzie mówili, że kierowały się w tę stronę.

Malicia przewróciła oczami.

— No dobrze, zgadza się. Przyszli tu obaj, a gadający kot pomógł nam nakarmić ich trucizną i teraz siedzą zamknięci w piwnicy.

Mężczyźni długą chwilę stali bez słowa.

— Tak, no jasne — westchnął ich dowódca. — Cóż, gdybyś zobaczyła szczurołapów, powiedz, że ich szukamy, dobrze?

Malicia zamknęła drzwi.

— To okropne, gdy nie chcą ci wierzyć — stwierdziła.

— A teraz opowiedz mi o szczurzych królach — powiedział Keith.

## Rozdział 10

### **A kiedy zapadła noc, pan Królik przypomniał sobie, że w Ciemnym Lesie jest coś strasznego.**

„Przygoda pana Królika”

Dlaczego ja to robię? — pytał samego siebie Maurycy, pełzając wzdłuż rury. Koty nie są tak zbudowane, żeby łatwo im było pełzać.

Ponieważ w głębi serca jesteś dobrym stworzeniem, powiedziała jego świadomość.

Wcale nie jestem dobry, odmyślał Maurycy.

To oczywiście prawda, zgodziła się z nim świadomość. Ale nie chcemy o tym powiedzieć Niebezpiecznemu Groszkowi, czyż nie? Temu z małym, wiecznie poruszającym się noskiem. On myśli, że jesteśmy bohaterem.

No cóż, ja nie jestem, stwierdził Maurycy.

To czemu się przeciskasz pod ziemią, szukając go?

Oczywiście dlatego, że to on ma wizję odnalezienia wyspy dla szczurów i bez niego szczury nie będą ze mną współpracować, a wtedy nie dostanę swoich pieniędzy, odparł Maurycy.

Przecież my jesteśmy kotem! Na co kotu pieniądze?

Na mój fundusz emerytalny, pomyślał Maurycy. Mam już cztery lata. Kiedy tylko uzbieram swój stosik, znajdę sobie miły dom z kominkiem i miłą starszą panią, która codziennie będzie mi dawała śmietanę. Wszystko przemyślałem, w najdrobniejszym szczególe.

Dlaczego nas weźmie do swojego domu? Śmierdzimy, mamy poszarpane uszy, coś nam strzyka nieprzyjemnie w jednej nodze i wyglądamy, jakby ktoś nas kopnął w pysk... czemu jakaś staruszka miałaby nas sobie wziąć zamiast milutkiego młodego koteczka?

Tu cię mam! Ponieważ czarne koty przynoszą szczęście, pomyślał Maurycy.

Naprawdę? Nie chciałabym być tą, która przynosi złą nowinę, ale nie jesteśmy czarni! Jesteśmy tylko brudni!

Istnieje coś takiego jak farbowanie, pomyślał Maurycy. Paczka czarnej farby, wstrzymuję oddech na minutę i... śmietanka i rybki przez całe życie. Dobry plan, co?

A co ze szczęściem? — zapytała świadomość.

A, i tu jest właśnie mój haczyk. Czarny kot, który, powiedzmy, raz na miesiąc przynosi złotą monetę — czy to nie jest szczęście?

Świadomość zamilkła. Prawdopodobnie zaniemówiła oszołomiona chytrą chytrością mojego planu, pomyślał Maurycy.

Musiał przyznać, że jest lepszy w planowaniu niż w wędrowaniu przez podziemne korytarze. Nie można powiedzieć, żeby się zgubił, bo koty nigdy się nie gubią. Po prostu nie wiedział, gdzie znajduje się wszystko, co nie jest nim. Jedno było pewne — pod miastem nie znajdowało się zbyt dużo ziemi. Piwnice, rury, starożytne kanały ściekowe, krypty, zapadnięte budynki tworzyły coś na kształt plastra miodu. Nawet człowiek mógłby się tam poruszać. I szczurołapy na pewno to robiły.

Wszędzie czuł zapach szczurów. Zastanawiał się, czy nie nawoływać Niebezpiecznego Groszka, ale uznał, że lepiej nie. Wołanie mogłoby pomóc w odnalezieniu małego szczurka, ale również mogło obudzić czujność... każdej innej istoty przebywającej w pobliżu. A te wielkie szczury były, no cóż, wielkie. I wyglądały bardzo nieprzyjemnie. Nawet głupi pies miałby kłopot, żeby sobie z nimi poradzić.

Był teraz w niewielkim tunelu o kwadratowym przekroju, którym biegły jakieś rury. Stare i dziurawe. Z dziurek wydobywała się świszcząc para, tu i tam na dno tunelu skapywała gorąca woda. W górze co jakiś czas widniały kratki, przez które wpadało z ulicy słabe światło.

Woda wyglądała na czystą. Przynajmniej nie była mętna. A Maurycy czuł wielkie pragnienie. Pochylił się, wysunął język...

W wodzie falował łagodnie cienki jasnoczerwony pasek...

\* \* \*

Szynkawieprz wyglądał na oszołomionego i sennego, ale był na tyle przytomny, by trzymać Sardynki za ogon, kiedy szczury ruszyły w drogę powrotną ze stajni. To była powolna podróż. Sardynki uznał, że stary szczur nie da sobie rady na sznurach na bieliznę. Skradali się więc kanałami i ściekami, przykryci jedynie płaszczem nocy.

Kiedy wreszcie dotarli do piwnicy, kręciło się w niej kilka szczurów. Szynkawieprz ledwo powłóczył nogami, podpierany to z jednej, to z drugiej strony przez Sardynki i Ciemnąopaleniznę.

W piwnicy wciąż jeszcze paliła się świeca. Ciemnaopalenizna zdziwił się. Tyle wydarzyło się ostatnio, a minęła zaledwie godzina.

Pozwolili Szynekawieprzowi opaść na podłogę, gdzie leżał, dysząc ciężko. Dygotał przy każdym oddechu.

— Truciznę, szefie? — zapytał szeptem Sardynki.

— Myślę, że dla niego to było po prostu za wiele — odparł Ciemnaopalenizna. — Po prostu za wiele — powtórzył.

Szynekawieprz otworzył oczy.

— Czy... ja... jestem... nadal... dowódcą? — zapytał.

— Tak jest, sir — odparł Ciemnaopalenizna.

— Potrzebuję... snu...

Ciemnaopalenizna rozejrzał się wokół. Szczury w grupkach szeptały między sobą. Spoglądały na niego. Szukał wzrokiem jasnej postaci Niebezpiecznego Groszka.

— Odżyłka... mówiła mi... że widziałeś... tunel... Wielkiego Szczura — z trudem odezwał się znowu Szynekawieprz.

Ciemnaopalenizna obrzucił piorunującym spojrzeniem młodą szcurzycę.

— Widziałem... coś — odpowiedział.

— Więc będę śnił i... nigdy się nie obudzę — powiedział Szynekawieprz. Jego głowa znowu opadła. — Stary szcur... nie powinien umierać... w ten sposób — wymruczał. — Nie w ten sposób. Nie... w świetle.

Ciemnaopalenizna skinął pospiesznie na Sardynki, który natychmiast zgasił świecę kapeluszem. Otoczyła ich wilgotna, gęsta piwniczna ciemność.

— Ciemnaopalenizno — wyszeptał Szynekawieprz. — Powinieneś wiedzieć...

Sardynki w napięciu usiłował usłyszeć ostatnie słowa dowódcy skierowane do Ciemnejopalenizny. Po kilku chwilach przeszedł go dreszcz. Czuł, że coś się na świecie zmieniło.

W ciemności trzasnęła zapałka, płomień znowu ożywił świecę, wydobywając na świat cienie.

Szynekawieprz leżał całkiem nieruchomo.

— Czy powinniśmy teraz go zjeść? — ktoś zapytał.

— On... odszedł — powiedział Ciemnaopalenizna. Pomysł zjedzenia Szynekawieprza wydawał mu się jakoś nie na miejscu. — Zagrzebmy go — powiedział.

— I oznaczmy to miejsce, byśmy wiedzieli, gdzie się on znajduje.

Wszyscy poczuli ulgę. Szanowali Szynkawieprza, ale nawet jak na gust szczurów, był już zbyt stary.

Jeden ze szczurów zapytał niepewnie:

— Jeśli mówi pan, by oznaczyć miejsce, to czy ma pan na myśli takie oznaczenie jak w miejscach, gdzie coś zakopujemy?

— To znaczy, czy mamy zostawić na nim odchody? — zapytał inny szczur.

Ciemnaopalenizna spojrział na Sardynki, ale ten milczał. Nowy przywódca czuł się tak, jakby tracił grunt pod nogami. Kiedy jesteś przywódcą, wszyscy chcą zrozumieć, co powiedziałaś. A wciąż nie było z nimi białego szczura.

Musiał sam podjąć decyzję. Przez chwilę w skupieniu zastanawiał się, wreszcie skinął głową.

— Tak. To by mu się podobało. To bardzo po... szczurzemu. Ale zrobimy coś jeszcze. Narysujemy na ziemi, która go okryje, to:

I narysował na ziemi znak:

— To oznacza: „Był szczurem pochodzącym z długiej linii szczurów i myślał o szczurach” — rzekł Sardynki. — Dobry znak, szefie.

— A czy on powróci, tak jak powrócił Ciemnaopalenizna? — zapytał ktoś.

— Dopiero by się wściekł, gdyby chciał wrócić, a my byśmy go zjedli — odpowiedział inny.

Rozległy się nerwowe śmiechy.

— Posłuchajcie, ja nie... — zaczął Ciemnaopalenizna, ale Sardynki leciutko go szturchnął.

— Słówko na osobności, szefie — zaproponował, unosząc grzecznie swój przypalony kapelusz.

— Tak, oczywiście... — Ciemnaopalenizna zaczynał się martwić. Nigdy tak wiele szczurów nie przyglądało mu się z uwagą. Odeszli na bok.

— Pan wie, że spędziłem kiedyś sporo czasu w teatrze — powiedział Sardynki. —

I sporo się tam nauczyłem. Chodzi o... proszę posłuchać, co do pana mówią. Pan jest teraz przywódcą, prawda? Więc proszę się zachowywać, jakby pan wiedział, co robi. Jeśli przywódca nie wie, co robi, nie wie też nikt inny.

— Ja wiem tylko, co robię, kiedy rozbrajam pułapki — przyznał się Ciemnaopalenizna.

— W porządku, proszę myśleć o przyszłości jak o wielkiej pułapce. W której nie ma sera.

— To średnia pomoc.

— I powinien im pan pozwolić myśleć, co im się podoba, o panu i... o tym, co się z panem wydarzyło — dodał Sardynki. — To moja rada, szefie.

— Ale ja nie umarłem, Sardynki!

— Coś się wydarzyło, prawda? Chciał pan podpalić stajnię. Przyglądałem się panu. Coś się jednak z panem stało, kiedy był pan w pułapce. Proszę mnie nie pytać, co to było, ja tylko potrafię stepować. Jestem zwykłym małym szczurem. I zawsze takim będę, szefie. Ale jest kilka dużych szczurów, jak Wsolance czy Sprzedanyprzez i jeszcze kilku innych, szefie, którzy teraz, gdy Szynkawieprz nie żyje, woleliby raczej siebie widzieć w roli przywódcy. Łapie pan?

— Nie.

Sardynki westchnął.

— A ja myślę, że tak. Czy chciałby pan, żebyśmy teraz zaczęli się między sobą kłócić?

— Nie!

— No właśnie. Dzięki paplaninie małej Odżywki jest pan szczurem, który spojrzął w twarz Kościanemu Szczurowi i powrócił, czyż nie...?

— No tak, ale ona...

— Wydaje mi się, szefie, że nikt nie chce mieć z Kościanym Szczurem nic wspólnego, chyba mam rację, nie? A szczur, który się z nim zmierzył i nosi na sobie znak po jego zębach niczym pas, to jest naprawdę ktoś. Za takim kimś pójdą inne szczury. A w takim czasie jak teraz potrzebujemy kogoś, za kim byśmy mogli podążać. Bardzo dobrze się stało, że wrócił pan tutaj ze starym Szynkawieprzem. Pochowanie go, a potem zostawienie na tym miejscu szczurzych odchodów i rysunku, to się podoba i starym szczurom, i młodym. Pokazuje im, że pan myśli za wszystkich. —

Sardynki przekrzywił głowę i uśmiechnął się smutnie.

— Coś widzę, że będę musiał na ciebie uważać, Sardynki — powiedział Ciemnaopalenizna. — Myślisz tak jak Maurycy.

— Mną się nie trzeba przejmować, szefie. Ja jestem mały. I tańczę. Ja nigdy nie byłbym dobry w przewodzeniu.

Myśleć za wszystkich, powtórzył do siebie Ciemnaopalenizna. Biały szczur...

— Gdzie Niebezpieczny Groszek? — zapytał, rozglądając się dookoła. — Jest tu gdzieś?

— Nie widziałem go, szefie.

— Potrzebujemy go! On ma w głowie mapę.

— Mapę, szefie? — Sardynki wyglądał na zatroskanego. — Myślałem, że pan rysował mapy w błocie...

— Nie chodzi mi o mapę będącą rysunkiem tuneli i pułapek! Ale o mapę tego... kim jesteśmy i gdzie zmierzamy...

— A, chodzi panu o naszą cudowną wyspę? Nigdy w to naprawdę nie wierzyłem, szefie.

— Nic nie wiem o żadnej wyspie, nie o to chodzi — powiedział Ciemnaopalenizna. — Ale kiedy byłem... tam, zobaczyłem... zarys idei. Między ludźmi i szczurami zawsze toczyła się wojna. Musi się zakończyć. I tutaj, teraz, w tym miejscu, gdzie te szczury... widzę, że to się może stać. Prawdopodobnie jest to jedyne miejsce i jedyny czas na to. Widzę w mojej głowie kształt idei, ale nie umiem znaleźć odpowiednich słów, rozumiesz? Więc musimy znaleźć białego szczura, ponieważ on zna mapy wszystkiego. Musimy wymyślić, jak z tego wyjść. Bieganie w kółko i popiskiwanie do niczego nie prowadzi!

— Jak na razie radzi pan sobie całkiem dobrze, szefie — rzekł mały tancerz, poklepując go po ramieniu.

— Wszystko idzie nie tak, jak trzeba — stwierdził Ciemnaopalenizna, starając się nie podnosić głosu. — Potrzebujemy go. Ja go potrzebuję.

— Zbiorę kilka oddziałów, szefie, jeśli powie mi pan, gdzie powinniśmy zacząć szukać.

— W kanałach ściekowych, gdzieś blisko klatek. Był z nim Maurycy.

— To dobrze czy źle, szefie? Wie pan, co zawsze powtarzał Szynekawieprz:

Zawsze możesz ufać kotu...

— Że zachowa się jak kot. Tak. Wiem. I chciałbym znać odpowiedź na twoje pytanie, czy to dobrze, czy źle.

Sardyński podszedł bliżej.

— Mogę zapytać jeszcze o coś, szefie?

— Oczywiście.

— Co wyszeptał panu do ucha Szynkawieprz tuż przed swoją śmiercią? Jakaś specjalna mądrość przywódcy?

— To była dobra rada, Sardyński — odparł Ciemnaopalenizna. — Dobra rada.

\* \* \*

Maurycy zamrugał. Bardzo powoli cofnął język. Uszy położył ciasno przy głowie, jak w zwolnionym niemym filmie sunął nad strumieniem wody.

Tuż pod kratką leżało coś jasnego. Czerwone pasemko płynęło z góry.

Maurycy sięgnął łapą po zwinięty kawałek papieru, przesiąknięty wodą i poplamiony czerwienią. Pazurami wyłowił go na brzeg kanału. Delikatnie rozwinął papier i zobaczył rozmazane rysunki wykonane ołówkiem. Wiedział, co to za rysunki. Oglądał je pewnego dnia, kiedy nie miał nic lepszego do roboty. Były głupio wprost proste.

„Żaden szczur nie powinien”... Potem następował jakiś mokry kleks i dalej znowu można było odczytać: „Nie jesteście jak inne szczury”.

— O nie! — Jęknął Maurycy. Nigdy by tego nie upuścili, prawda? Śliczna nosiła to zawsze ze sobą, dbając jak o największy skarb...

*Czy ja ich znajdę pierwszy? — rozległ się w głowie Maurycyego obcy głos. A może ja mam...*

Maurycy rzucił się biegiem, ślizgając się po mokrych kamieniach na zakręcie tunelu.

*Jakie to dziwne stworzenia, KOCIE. Szczury, które myślą, że nie są szczurami. Czy powinienem zachowywać się jak ty? Czy powinienem zachowywać się jak KOT? Czy powinienem jedno z nich zachować sobie żywe? NA CHWILĘ?*

Maurycy cichutko zawył. Mniejsze tunele odchodziły na boki, ale czerwone pasemko płynęło cały czas prosto, aż wreszcie pod inną kratką jakaś rzecz leżała w

wodzie, i to czerwone coś łagodnie do niej przylgnęło.

Przecież się tego spodziewał. Ale to było... to było... gorsze... Gorsze niż wszystko.

Całkiem przemoczona, cieknąca czerwoną farbą z czerwonego płaszcza szczura Szymona leżała „Przygoda pana Królika”.

Maurycy złapał ją pazurem, ale osłabione szycie puściło i kartki jedna po drugiej popłynęły wodą. Upuścili ją, zgubili. Czy uciekali? A może... ją wyrzucili? Co takiego powiedział Niebezpieczny Groszek? „Jesteśmy tylko szczurami”? I powiedział to takim głuchym głosem, z wielkim smutkiem.

*Gdzie oni teraz są, KOCIE? Czy potrafisz ich znaleźć? Którędy teraz?*

Widzi to, co ja widzę, pomyślał. Nie może odczytać moich myśli, ale widzi to, co ja widzę, i słyszy to, co ja słyszę, i całkiem nieźle się domyśla, co ja myślę...

Jeszcze raz zamknął oczy.

*W ciemności, KOCIE? Jak będziesz walczył z moimi szczurami? Tymi, które są ZA TOBĄ?*

Maurycy błyskawicznie obrócił się, szeroko otwierając oczy. Było tam kilkanaście szczurów, niektóre wielkości połowy Maurycyego. Przyglądały mu się tym samym nic niemówiącym spojrzeniem.

*Dobrze, naprawdę dobrze, KOCIE! Widzisz piszczące stworzenia i nawet nie podskoczyłeś! Jak kot uczy się nie być kotem?*

Szczury, niczym jeden szczur, przesunęły się do przodu. Szurały łapkami. Maurycy cofnął się o krok.

*Wyobraź sobie, KOCIE, odezwał się Pająk. Wyobraź sobie milion sprytnych szczurów. Szczury, które nie uciekają. Szczury, które walczą. Szczury, które mają jeden umysł, jedną wizję. MOJĄ.*

— Gdzie jesteś? — zapytał na głos Maurycy.

*Wkrótce mnie zobaczysz. Idź dalej, kiciusiu. Musisz dalej iść. Jedno moje słowo, jedno mgnienie myśli, a szczury rzucą się na ciebie. Oczywiście uda ci się zabić jednego czy dwa, ale ich zawsze będzie więcej. Szczurów zawsze będzie więcej.*

Maurycy obrócił się i ruszył dalej brzegiem kanału. Szczury szły za nim. Stał i odwrócił się. One zatrzymały się także. Znowu zrobił kilka kroków i obejrzał się. Szczury podążały za nim jak na sznurku.

Poczuł znajomy zapach zatechłej wody. Najwyraźniej był w pobliżu tej zalanej piwnicy. Ale jak blisko? Śmierdziała gorzej niż puszkowe jedzenie dla kotów. Mogła się znajdować w każdym kierunku. Na krótki dystans na pewno byłby szybszy niż szczury. Krwiożercze szczury by mu dodały skrzydeł.

Czy zamierzasz zwać i zrezygnować z udzielenia pomocy białemu szczurkowi? — zapytała jego świadomość. A może myślisz o wyskoczeniu na światło dnia?

Maurycy musiał przyznać, że słoneczny blask nigdy nie wydawał mu się bardziej kuszący niż w tej chwili. Nie miało sensu okłamywanie samego siebie. Żeby nie wiem co, szczury i tak długo nie żyją, nawet jeśli mają ruchliwe nosy.

*Oni są blisko, KOCIE. Zabawimy się? Koty lubią się bawić. Czy bawiłeś się ze Składem? ZANIM ODGRYZŁEŚ MU GŁOWĘ?*

Maurycy stanął jak wmurowany.

Umrzesz, powiedział bardzo cicho.

*Zbliżasz się do mnie, Maurycy. Jesteś już blisko. Czy powinienem ci powiedzieć, że twój chłopiec wyglądający na głupka i opowiadająca głupstwa dziewczynka umrą? Czy wiesz, że szczury potrafią zjeść człowieka żywcem?*

\* \* \*

Malicia zasunęła zasuwę w drzwiach.

— Szczurzy królowie to bardzo tajemnicze stworzenia — powiedziała. — Król szczurów to grupa szczurów ze splecionymi ogonami...

— Jak?

— Podobno tak się po prostu... dzieje.

— Jak to?

— Czytałam gdzieś, że kiedy są jeszcze w gnieździe, ich ogony splątują się z powodu odchodów...

— Szczury mają zazwyczaj sześcioro albo siedmioro dzieci, których ogonki są bardzo krótkie, a w dodatku ich rodzice bardzo dbają o czystość — powiedział Keith. — Czy ludzie, którzy opowiadają takie historie, w ogóle widzieli kiedyś szczura?

— Nie wiem. Może kiedy szczury są stłoczone, ich ogony się splątują? W miejskim muzeum można zobaczyć króla szczurów w wielkim słoju spirytusu.

— Nieżywego?

— Bardzo pijanego. To jest dziesięć szczurów, ułożonych na planie gwiazdy, a pośrodku gruby węzeł z ich ogonów. Znalaziono też inne. Podobno jednego tworzyły trzydzieści dwa szczury. Istnieje wiele ludowych przekazów na ten temat.

— Ale szczurołap powiedział, że zrobił króla szczurów — upierał się Keith. — Zrobił go, żeby zostać członkiem cechu. Czy wiesz, co to jest majstersztyk?

— Oczywiście. To coś naprawdę dobrego...

— Chodzi mi o prawdziwy majstersztyk — przerwał jej Keith. — Wychowałem się w dużym mieście, gdzie było mnóstwo gildii. Stąd wiem o tym. Majstersztyk to dzieło, które musi wykonać czeladnik na koniec swej praktyki, by pokazać starszym członkom gildii, że zasługuje na miano majstra. Prawdziwego członka gildii. Rozumiesz? To może być wielka symfonia, piękna rzeźba lub taca przepysznych bułek.

— Bardzo interesujące. Więc?

— Więc co powinnaś wykonać, żeby stać się majstrem Gildii Szczurołapów? Żeby pokazać, że naprawdę potrafisz sobie z nimi dać radę? Czy pamiętasz ten znak nad drzwiami?

Na czole Malicii pojawiła się zmarszczka świadcząca o zmaganiu się z niewygodnym faktem.

— Każdy potrafi związać kilka szczurzych ogonów w węzeł, jeśli tylko zechce — stwierdziła. — Jestem tego pewna.

— Jeśli szczury żyją? Najpierw musisz je złapać i co masz wtedy? Śliskie sznureczki, które ruszają się przez cały czas, a to, co jest z drugiej strony, gryzie. Opanujesz osiem szczurów? Może dwadzieścia? Trzydzieści dwa? Trzydzieści dwa wściekle szczury?

Malicia rozejrzała się po nieporządnym pomieszczeniu.

— To działa na wyobraźnię. Prawie tak jak dobra opowieść. Może był kiedyś jeden prawdziwy szczurzy król, może dwa... no dobrze, już dobrze, może tylko jeden... i ludzie usłyszeli o nim i uznali, że skoro tak pobudza ciekawość, spróbują takiego króla zrobić. Tak. To jak z kręgami na polu zboża. Nieważne, ilu obcych się natrudzi, by powstały, zawsze się znajdują jacyś zawzięci twardogłowi, którzy wierzą, że to robią nocami ludzie, używając kosiarek do trawy.

— Ja tylko myślę, że niektórzy ludzie lubią być okrutni — powiedział Keith. — Jak taki szczurzy król by polował? Każdy szczur by ciągnął w inną stronę.

— No cóż, w niektórych opowieściach o królu szczurów mówi się, że on rozkazuje innym szczurom. Rozkazuje im myślami. Każe sobie przynosić jedzenie, przenosić się z miejsca na miejsce i tak dalej. Więc... uczy się, jak widzieć oczami innych szczurów i używać ich uszu do słyszenia.

— Używać innych szczurów? — powtórzył Keith.

— W jednej czy dwóch takich opowieściach mówi się, że potrafią też rozkazywać ludziom — dodała Malicia.

— Jak? — zapytał Keith. — Czy to się mogło kiedyś naprawdę przydarzyć?

— Nie mogło, prawda? — zapytała Malicia.

*Tak.*

— Co tak? — zapytała Malicia.

— Ja nic nie mówiłem. To ty powiedziałaś „tak” — odparł Keith.

*Głupiutkie umysły. Wcześniej lub później zawsze się znajdzie droga do nich. Kot stawiał znacznie silniejszy opór! Macie mnie słuchać. Idźcie wypuścić szczury.*

— Myślę, że powinniśmy wypuścić szczury — powiedziała Malicia. — Trzymanie ich w klatkach jest zbyt okrutne.

— O tym samym właśnie pomyślałem — zgodził się Keith.

*A o mnie zapomnijcie. Jestem tylko legendą.*

— Właściwie to myślę, że króla szczurów wcale nie ma, trzeba go między bajki włożyć — mówiła dalej Malicia, ciągnąc za klapę w podłodze. — Szczurołap jest głupi. Plecie trzy po trzy.

— Zastanawiam się, czy powinniśmy wypuszczać szczury. — Chłopca wyraźnie coś zaniepokoiło. — Wyglądają na bardzo głodne.

— Nie mogą chyba być groźniejsze od szczurołapów, prawda? Pamiętaj też, że niedługo zjawi się tu zaklinacz. Wyprowadzi je wszystkie do rzeki.

— Do rzeki... — powtórzył jak echo Keith.

— Tak właśnie robią. Każdy to wie.

— Ale szczury mogą...

*Słuchaj moich poleceń. Nie MYŚL. Postępuj zgodnie ze scenariuszem.*

— Co mogą szczury?

— Szczury mogą... szczury mogą... — wyjąkał Keith. — Nie pamiętam. Chodziło mi o coś związanego ze szczurami i rzeką. Pewnie to nie było nic ważnego.

\* \* \*

Gęsta, głęboka ciemność. I gdzieś w tej ciemności ciche głosiki.

— Zgubiłam „Pana Królika” — odezwała się Śliczna.

— No i dobrze — odpowiedział Niebezpieczny Groszek. — To było oszustwo. Oszustwo, które ciągnęło nas w dół.

— Mówiłeś, że to ważne!

— To było kłamstwo!

...nieskończona, sącząca się ciemność...

— I... zasady też zgubiłam...

— Co z tego? — w głosie Groszka brzmiała gorycz. — Nikogo nie obchodziły.

— To nieprawda. Staraliśmy się. Większość z nas. A kiedy coś nam nie wychodziło, martwiliśmy się.

— To była tylko kolejna bajka. Głupia bajka o szczurach, które myślały, że nie są szczurami — rzekł Niebezpieczny Groszek.

— Dlaczego tak mówisz? Zachowujesz się jak nie ty.

— Widziałem, jak uciekały. Piszczwały. Straciły umiejętność mówienia. Pod ziemią jesteśmy tylko... szczurami.

...obrzydliwa, cuchnąca ciemność...

— Owszem — powiedziała Śliczna. — Ale czym jesteśmy na wierzchu? Tak właśnie kiedyś mówiłeś. Chodź, proszę. Wracajmy. Nie czujesz się dobrze.

— Wszystko było dla mnie tak jasne — mruczał Niebezpieczny Groszek.

— Połóż się, jesteś zmęczony. Zostało mi kilka zapalek. Zawsze czułeś się lepiej, kiedy widziałeś światło.

Ślicznej ścisnęło się serce, sama czuła się zagubiona. Znalazła kawałek chropowatej ściany i wyciągnęła zapalną z swojej prymitywnej torby. Czerwona główka załśniła płomieniem. Śliczna uniosła zapalną, jak najwyżej mogła.

Zewsząd spoglądały na nią oczy.

Co jest w tym najgorsze? — myślała sztywna z przerażenia. Że widzę te oczy? A może raczej to, że będę sobie zdawała sprawę z ich obecności, kiedy zapalnik zgaśnie?

— Zostały mi już tylko dwie — wymamrotała do siebie.

Oczy zniknęły w mroku. Panowała głęboka cisza.

Jak szczury mogą być tak nieporuszone, tak ciche? — zastanawiała się Śliczna.

— Czuję niepokój — powiedział Niebezpieczny Groszek.

— Ja też.

— Coś tu jest. Czuję to na tej kiikiisce znalezionej w pułapce. Przerazenie. A teraz czuję to od ciebie.

— Tak — potwierdziła Śliczna.

— Czy widzisz, co powinniśmy zrobić? — zapytał Niebezpieczny Groszek.

— Tak. — Oczy zniknęły, ale Śliczna widziała je nadal.

— Co możemy zrobić? — zapytał Niebezpieczny Groszek.

Śliczna przełknęła.

— Moglibyśmy sobie życzyć, by mieć więcej zapalek.

I wtedy z ciemności, ale tej wewnętrznej, doszedł ich głos:

*Więc teraz, drogą rozpaczy, doszliście wreszcie do mnie...*

\* \* \*

Światło ma zapach.

W zawilgoconych piwnicach ostry zapach siarki z zapalniczki przeplątał jak żółty ptak, unosił się w powietrzu, wciskał w każdą szczelinę. To był czysty i gorzki zapach, który ciął podziemny zaduch niczym nóż.

Sardynki odwrócił głowę w kierunku, z którego woń płynęła.

— Zapalniczki, szefie! — oznajmił.

— Ruszamy w tamtą stronę — wydał rozkaz Ciemnaopalenizna.

— Tam są pomieszczenia z klatkami, szefie — ostrzegł Sardynki.

— No i co z tego?

— Pamięta pan, co się wydarzyło ostatnim razem?

Ciemnaopalenizna zmierzył wzrokiem swój oddział. Mogło być lepiej. Niektóre ze szcurek wróciły, opuszczając swoje kryjówki, ale inne — i często dotyczyło to dobrych, rozsądnych szcurek — w panice trafiły w pułapki lub zjadły trutkę. Wybrał najlepszych. Paru starszych i doświadczonych, na przykład Wsolance i Sardynki, ale w większości młodych. Może to zresztą nie takie złe, pomyślał. Starsze szczury najszybciej uległy panice. Nie były tak wdrożone w myślenie.

— Dobrze — powiedział. — Słuchajcie, nie wiemy, gdzie trafimy... — zaczął, ale zamilkł, widząc, że Sardynki leciutko kręci głową.

No tak, dowódcy nie wolno nie wiedzieć.

Spojrzał na młode, zmartwione pyszczki, wziął głęboki oddech i zaczął jeszcze raz:

— Tutaj jest coś nowego... — Nagle już wiedział, co powinien powiedzieć. — Coś, czego nikt nigdy nie widział. Coś twardego. Coś silnego.

Prawie wszystkie szczury skuliły się, poza Odżywką, która wpatrywała się w niego lśnącymi oczami.

— Coś przerażającego. Coś nowego. Coś niespodziewanego — mówił dalej. — To wy. Każdy z was. Szczury, które potrafią myśleć. Szczury, które nie odwrócą się i nie uciekną. Szczury, które nie boją się ani ciemności, ani ognia, ani hałasów, ani pułapek, ani trutki. Takich szcurek jak wy nic nie powstrzyma, mam rację?

Teraz słowa wypływały z niego niepowstrzymanie.

— Słyszeliście o Ciemnym Lesie z książki? Właśnie się w nim znaleźliśmy. I poza nami coś się w nim jeszcze kryje. Coś przerażającego, co chowa się za waszymi lękami. Ono myśli, że może nas zatrzymać, ale się myli. Znajdziemy to coś, wywlecemy, niech żałuje, że w ogóle się urodziło. A jeśli to my umrzemy... no cóż... — Wszystkie szczury jak jeden wpatrywały się w ślady na jego piersi. — Śmierć nie jest taka zła. Czy mam wam opowiedzieć o Kościanym Szczurze? Czeka na tych, którzy się złamią i uciekną, którzy się chowają, którzy tracą wiarę. Ale jeśli potrafisz mu spojrzeć prosto w oczy, przejdzie mimo.

Wyczuwał ich podniecenie. W świecie, który istniał w ich głowach, były teraz najdzielniejszymi szcurekmi na świecie. Musiał umocnić tę wiarę.

Dotknął swej rany. Zrastała się źle i powoli, ciągle sączyła się z niej krew, do końca życia będzie miał w jej miejscu wielką bliznę. Teraz podniósł w górę łapę czerwoną od własnej krwi. Pomysł przyszedł do niego wprost z trzewi.

Szedł wzdłuż rzędu szcurek, dotykając każdego po kolei tuż nad oczami, zostawiając czerwony znak.

— A potem — mówił spokojnie — wasi bracia powiedzą: „Poszli tam, zrobili to i wrócili z Ciemnego Lasu, i w ten sposób się dowiedzieli, kim naprawdę są”.

Spojrzał ponad głowami zgromadzonych szcurek na Sardynki, który uniósł kapelusz. To przełamało czar. Szczury oprzytomniały. Ale część magii pozostała, widać to było po lśnieniu ich oczu, po ruchach ogonów.

- Gotowy polec za klan, Sardynki?! — wykrzyknął Ciemnaopalenizna.
- Nie, szefie! Gotowy zabić!
- Dobrze. Idziemy więc. Kochamy Ciemny Las! On jest nasz!

\* \* \*

Woń zapałki wędrowała przez tunele i dotarła do nosa Maurycego. Śliczna! Miała bzika na punkcie światła. Bo Niebezpieczny Groszek potrafił zobaczyć tylko światło. Zawsze miała kilka zapałek. Wariactwo! Stworzenia żyjące w ciemnościach, noszące przy sobie zapałki. No cóż, gdyby się nad tym zastanowić, nie było to do końca szalone, a jeśli nawet...

Szczury z tyłu popychały go w tym kierunku. Jestem zabawką, pomyślał. Podrzucany z łapki do łapki, w oczekiwaniu na pisk.

Usłyszał w głowie głos Pająka: *Więc teraz, drogą rozpaczy, doszliście wreszcie do mnie...*

A potem usłyszał już własnymi uszami odległy i słaby głos Niebezpiecznego Groszka:

— Kim jesteś?

*Jestem Wielkim Szczurem, który Mieszka pod Ziemią.*

— Naprawdę? Wiele... myślałem o tobie.

W ścianie była dziura, a przez nią widać było blask od płonącej zapałki. Czując za sobą napieranie szczurów, Maurycy precisnął się przez nią.

Zobaczył mnóstwo wielkich szczurów, były wszędzie, na podłodze, w klatkach, uczone ścian. A pośrodku, w kręgu światła z na wpół wypalanej zapałki, drżąca Śliczna. Niebezpieczny Groszek stał przed nią, wpatrując się w klatki i worki.

Śliczna obróciła się. Ten ruch spowodował, że płomień rozbłysnął mocniej. Stojące najbliżej szczury cofnęły się niczym fala.

— Maurycy? — zapytała.

*Kot ma się nie ruszać,* powiedział głos Pająka.

Maurycy spróbował go nie posłuchać, ale jego łapy miały teraz innego właściciela.

*Nie ruszaj się, KOCIE. Jeśli nie okażesz mi posłuszeństwa, każe twoim płucom, by przestały pracować. Widzicie, szczurki? Nawet kot jest mi posłuszny.*

— Tak — powiedział Niebezpieczny Groszek, maleńki w kręgu światła. — Widzę, że masz moc.

*Sprytny szczur. Słyszałem, co mówiłeś innym. Ty rozumiesz prawdę. Wiesz, że gdy stawiamy czoło ciemności, stajemy się silniejsi. Rozróżniasz ciemność wokół nas i w nas. Wiesz, że masz wybór, możesz współpracować lub umrzeć. Czy będziesz... WSPÓŁPRACOWAĆ?*

— Współpracować? — powtórzył Groszek. W jego głosie brzmiało zwątpienie. Poniuchał nosem. — Tak jak te szczury, które czuję. Czuję, że są... silne i głupie.

*Silne przeżyją, odezwał się głos Pajaka. Uciekną przed szczurołapami, przegryzą klatki, wyrwą się na wolność. I podobnie jak ty, zostali wezwani do mnie. A jeśli chodzi o ich umysły... Ja mogę myśleć za wszystkich.*

— Ja nie jestem silny — rzekł ostrożnie Niebezpieczny Groszek.

*Ale masz interesujący umysł. Ty także patrzysz w przyszłość, kiedy to szczury zapanują nad światem.*

— Zapanują? — powtórzył z pytaniem w głosie Niebezpieczny Groszek. — Ja o tym myślałem?

*Potrafisz domyślić się, jakie istoty kradną, zabijają, rozprzestrzeniają choroby i niszczą wszystko, czego nie potrafią użyć, mówił Pajak.*

— To proste — odparł Groszek. — Ludzie.

*Znakomicie. Czy widzisz moje wspaniałe szczury? Za kilka godzin zjawi się tu ten głupi zaklinacz z głupią fujarką i moje szczury wyjdą za nim z miasta. Czy wiesz, jak zaklinacz zabija szczury?*

— Nie.

*Prowadzi je do rzeki... Czy mnie słuchacie? Wszystkie toną!*

— Przecież szczury znakomicie pływają — zdziwił się Groszek.

*Właśnie. Nigdy nie ufaj szczurołapom! Chcą sobie zostawić pracę na dzień następny. Ale ludzie uwielbiają takie bajdy! Wolą uwierzyć w zmyśloną historię niż w prawdę. Ale my... my jesteśmy SZCZURAMI! I my, szczury, potrafimy pływać, wierzcie mi. Wielkie szczury, odmienione szczury, szczury, które przetrwały, szczury posługujące się moim umysłem rozprzestrzenia się od miasta do miasta i wtedy nastąpi klęska, o jakiej ludzi nie śnili. Odplacimy im po tysiącokroć za każdą pułapkę, jaką na nas zastawili! Ludzie torturowali nas, truli i zabijali, i wszystko to teraz*

*przybrało moją postać, i spotka ich ZEMSTA.*

— Przybrało twoją postać. Tak, myślę, że zaczynam rozumieć.

Rozległ się trzask i znowu załśnił mocny płomień. To Śliczna odpaliła drugą zapalniczkę od umierającego zarzewia pierwszej. Krąg szczurów, teraz już ciaśniejszy, znowu się odsunął.

*Jeszcze tylko dwie zapalniczki, powiedział Pająk. A potem, szczurku, należysz do mnie.*

— Chciałbym zobaczyć, z kim rozmawiam — odezwał się zdecydowanym głosem Groszek.

*Jesteś ślepy, mały biały szczurku. Przez twoje różowe oczka widzę tylko mgłę.*

— One widzą więcej, niż ci się wydaje — odpowiedział Niebezpieczny Groszek.  
— I jeśli jesteś, tak jak mówisz, Wielkim Szczurem... to pokaż mi się. Poczuję, to uwierzę.

Usłyszeli drapanie i z ciemności ukazał się Pająk.

Maurycy pomyślał, że wyglądem przypomina tobołek ze szczurów, tobołek, który płynnie przesuwał się wzdłuż klatek, ponieważ jego nogami sterował jeden mózg. Kiedy wszedł na szczyt worków i znalazł się w kręgu światła, kot ujrzał, że ogony były związane w jeden wielki brzydki węzeł. Każdy ze związanych szczurów był ślepy. Kiedy głos Pajaka dudnił Maurycemu w głowie, osiem szczurów stawało na tylnych nogach, szarpiąc, jakby się chciały wyrwać.

*Powiedz mi prawdę, biały szczurku. Czy mnie widzisz? Podejdź bliżej. O tak, widzisz, choć przez mgłę. Ludzie stworzyli mnie dla zabawy. Związać szczury ogonami i patrzeć, jak walczą. Ale ja nie walczę. Razem jesteśmy silniejsi. Jeden umysł ma siłę jednego umysłu, dwa umysły są dwa razy mocniejsze, ale już trzy umysły mają siłę czterech, cztery ośmiu, a osiem... jednego — Jednego umysłu silniejszego niż osiem. Mój czas nadchodzi. Głupi ludzie kazali szczurom walczyć i hodowali coraz silniejsze, które znowu walczyły, a przeżywały najsilniejsze z silnych... niedługo klatki się otworzą, a ludzie dowiedzą się, co to jest plaga! Czy widzisz tego głupiego kota? Chciałby się poruszyć, a ja mu nie pozwalam. Żaden umysł nie jest w stanie mi się sprzeciwić. Ale ty... ty jesteś interesujący. Twój umysł jest podobny do mojego, bo myślisz za wielu. Chcemy tego samego. Planujemy. Chcemy triumfu szczurów. Przyłącz się do nas. Razem będziemy jeszcze silniejsi.*

Zapadła cisza. Trochę nazbyt długa, pomyślał Maurycy. I wreszcie usłyszał:

— Twoja propozycja jest... interesująca — powiedział Niebezpieczny Groszek.

Śliczna złapała gwałtownie powietrze, ale Groszek mówił dalej swoim cichutkim głosem:

— Świat jest wielki i niebezpieczny, bez żadnych wątpliwości. A my jesteśmy słabi i ja jestem zmęczony. Razem moglibyśmy być silniejsi.

*Bez żadnych wątpliwości!*

— Ale co z tymi, którzy nie są silni, powiedz?

*Słabi są pożywieniem. Tak zawsze było!*

— Aha. Tak jak zawsze było. Sprawy stają się jaśniejsze.

— Nie słuchaj tego — syknęła Śliczna. — On wpływa na twój umysł.

— Nie, mój umysł działa znakomicie, nie musisz się martwić — odparł Groszek tym samym spokojnym głosem. — Owszem, propozycja jest kusząca. I moglibyśmy we dwóch rządzić szczurzym światem, dobrze rozumiem?

*My moglibyśmy... współpracować.*

Maurycy pomyślał: Jasne, ty współpracujesz, a on rządzi. Nie dasz się na to złapać, prawda?

— Współpraca — rzekł Groszek. — Tak. I wspólnie moglibyśmy wypowiedzieć wojnę ludziom, wojnę, w jaką nie są w stanie uwierzyć. Nęcące. Bardzo nęcące. Oczywiście, zginą miliony szczurów...

*Umrą tak czy siak.*

— To prawda. A ten szczur tutaj... — Niebezpieczny Groszek nagle machnął łapką w stronę dużej szczurzycy zahipnotyzowanej blaskiem ognia. — Możesz mi powiedzieć, co ona o tym myśli?

*Myśli? — W głosie Pajaka pojawiła się niepewność. Dlaczego miałaby cokolwiek myśleć? Przecież to szczur.*

— Ach — westchnął Groszek. — To już całkiem jasne. Ale nie uda się.

*Nie uda się?*

— Nie, ponieważ ty myślisz za wiele szczurów, ale nie myślisz o nich. Wcale nie jesteś Wielkim Szczurem. Każde przez ciebie wypowiedziane słowo jest kłamstwem. I jeśli istnieje Wielki Szczur, a mam nadzieję, że istnieje, nie mówiłby o wojnie i śmierci. Byłby tym, co w nas najlepsze, a nie co najgorsze. Nie, nie pójdę z tobą, łgarzu z

ciemności. Wolę naszą drogę. Czasem jesteśmy słabi i śmieszni. Ale razem jesteśmy silni. Ty snujesz plany dotyczące szczurów. Ja mam dla nich marzenia.

Pająk wspiął się na tylne łapy. Dygotał. Jego głos zagrział w umyśle Maurycego:

*Och, więc myślisz, że jesteś DOBRY? Dobry szczur to taki, który najlepiej kradnie! Ty myślisz, że dobry szczur nosi kamizelkę, jest człowiekiem porośniętym futerkiem? Tak, tak, znam tę waszą idiotyczną książkę. Zdrajca. Zdradziłeś szczury! Czy poczujesz mój... BÓL?*

Maurycy poczuł. To było jak fala palącego powietrza, jego głowę wypełniła gorąca para. Rozpoznał to wrażenie. Czasami tak właśnie czuł się przed Przemianą. Tak się czuł, zanim został Maurycem. Był po prostu kotem. Inteligentnym, ale tylko kotem.

*Stawiasz mi opór? — krzyczał Pająk na Niebezpiecznego Groszka. Kiedy ja jestem uosobieniem prawdziwego SZCZURA? Jestem plugastwem i ciemnością! Jestem hałasem pod podłogą i szelestem za ścianą! Jestem tym, co przeszkadza i brudzi! Jestem sumą tego, co odrzucasz! Jestem twoim prawdziwym ja! Czy będziesz mnie SŁUCHAŁ?*

— Nigdy — odparł Niebezpieczny Groszek. — Ty jesteś tylko cieniem.

*Poczuj mój BÓL.*

Maurycy wiedział dobrze, że jest czymś więcej niż tylko kotem. Wiedział, że świat jest duży i skomplikowany, i składa się na niego o wiele więcej niż tylko myśl, co się trafi na kolejny posiłek — karaluch czy kurze udko. Świat był wielki, skomplikowany, pełen niezwykłych rzeczy i...

...głos, który stał się czerwonym gorącym płomieniem, zagotował jego umysł. Wspomnienia umykały w ciemność. Wszystkie inne głosiki, nie jakiś straszny głos, ale głosy, które należały do Maurycego, kłóciły się, dyskutowały między sobą, mówiły mu, że potrafi lepiej lub że robi coś po prostu źle, stawały się coraz słabsze.

Ale Niebezpieczny Groszek stał nieporuszony, mały i słaby wpatrywał się w ciemność.

— Tak — powiedział. — Czuję ból.

*Jesteś tylko szczurem. Szczurkiem. A ja jestem duszą wszystkich szczurów. Przyznaj to, ślepy szczurku, ślepa szczurza zabaweczko.*

Niebezpieczny Groszek zachybotał się, a potem do uszu Maurycego doszedł jego głos:

— Nie. Nie jestem na tyle ślepy, żeby nie zobaczyć ciemności.

Maurycy pociągnął nosem. Zdał sobie sprawę, że Groszek zrobił pod siebie ze strachu. A jednak się nie poruszył.

*O tak, wyszeptał Pająk. I może nie boisz się ciemności? Mówiłeś młodemu szczurom, że mogą się nauczyć panować nad ciemnością.*

— Jestem szczurem — wyszeptał Niebezpieczny Groszek. — Ale nie jestem szkodnikiem.

*SZKODNIKIEM?*

— Kiedyś byliśmy zwykłymi leśnymi stworzonkami. Biegaliśmy, popiskiwaliliśmy — mówił Niebezpieczny Groszek. — Potem ludzie zbudowali stodoły i spiżarnie pełne jedzenia. Oczywiście zabieraliśmy, ileśmy potrafili. Więc nazwali nas szkodnikami, łapali nas, podkładali trutki i jakoś z tego całego zła narodziłeś się ty. Ale nie jesteś rozwiązaniem. Jesteś po prostu kolejnym złem stworzonym przez człowieka. Możesz sprawić szczurom tylko więcej bólu. Masz moc, która pozwala ci wejść w cudzy umysł, kiedy jest zmęczony, głupi lub zmartwiony. I jesteś teraz w moim umyśle.

*Tak. O tak.*

— A mimo to ja wciąż tutaj stoję — powiedział Niebezpieczny Groszek. — Teraz, kiedy cię zrozumiałem, mogę ci stawić czoło. Chociaż moje ciało dygocze, zdołam pozostać niezależny od ciebie. Czuję, jak biegasz po mojej głowie, ale wszystkie drzwi są już dla ciebie zamknięte. Potrafię zapanować nad ciemnością, która jest we mnie, a to jest źródło wszelkiej ciemności. To ty pokazałeś mi, że jestem czymś więcej niż tylko szczurem. A jeśli bym nie był czymś więcej niż szczurem, byłbym niczym.

Wszystkie głowy Pajaka obracały się naokoło. W umyśle Maurycego niewiele zostało miejsca zdolnego do myślenia, ale dotarło do niego, że szczurzy król usiłuje wyciągnąć wniosek.

Odpowiedź nadeszła w okrzyku:

**WIĘC BĄDŹ NICZYM!**

\* \* \*

Keith zawahał się. Trzymał dłoń na zamknięciu klatki.

Szczury zamarły w bezruchu. Wszystkie w takiej samej pozie. Wszystkie wpatrzone w jego palce. Setki szczurów. Wyglądały na... głodne.

— Słyszałeś coś? — zapytała Malicia.

Keith bardzo powoli opuścił rękę. Zrobił kilka kroków wstecz.

— Czuję się tak... jakbym miał sen. Dlaczego chcemy je wypuścić?

— Nie wiem. To ty się znasz na szczurach.

— Ale przecież zgodziliśmy się, że trzeba je wypuścić.

— Ja... ja... miałam wrażenie...

— Szczurzy król potrafi mówić do ludzi, prawda? — zapytał Keith. — Czy do nas nie przemawiał?

— Ale przecież to jest prawdziwe życie — zaprotestowała Malicia.

— A ja myślałem, że to przygoda — odparł Keith.

— Do licha! Zapomniałam. Co się z nimi dzieje?

Szczury już nie były spokojne, czujne, uważne. Ogarniała je panika.

Nagle ze ścian wyłoniły się inne szczury, biegały jak oszalałe. Były dużo większe od tych w klatkach. Jeden ugryzł chłopca w nogę i odskoczył.

— Postaraj się je deptać, tylko nie strać równowagi — polecił Keith. — Nie są przyjazne!

— Mam je rozdeptywać?! — wykrzyknęła Malicia. — Fúj!

— Nie znajdziesz w swej torbie nic, co by pomogło w walce ze szczurami? Masz przecież mnóstwo rzeczy przeciw piratom, bandytom i złodziejom!

— Tak, ale nigdy nie czytałam książki, której akcja rozgrywałaby się w piwnicach urządzonych przez szczurołapów! — odkrzyknęła Malicia. — Oj! Jeden mi siedzi na karku! I jeszcze jeden. — Pochyliła się gwałtownie, by zrzucić szczury, ale natychmiast odskoczyła, bo kolejny rzucił się na jej twarz.

Keith chwycił ją za rękę.

— Tylko nie upadnij, bo cię zagryzą! Próbuj dostać się do drzwi!

— Są takie szybkie — jęknęła Malicia. — Jeden zaplątał mi się we włosy...

— Nie ruszaj się, głupia! — odezwał się głos w jej uchu. — Stój spokojnie, bo jak nie, to cię ugryzę.

Poczuła na sobie pazury, a potem zobaczyła, jak szczur zeskakuje na ziemię. Po chwili kolejny wykorzystał ją jako trampolinę.

— W porządku — odezwał się głos za nią. — Teraz nie ruszaj się, nie depcz po nikim i nie wchodź nam w drogę!

— Co to jest? — wysyczała z odrazą, czując, że szczur zsuwa się po jej spódnicy.

— Przypuszczam, że to Przecena — powiedział Keith. — Oto nadchodzi klan.

W pomieszczeniu pojawiało się coraz więcej szczurów, ale te zachowywały się zupełnie inaczej. Nie rozbiegały się, rozciągnęły w linię, która powoli sunęła do przodu. Kiedy atakował wrogi szczur, linia w jednej chwili zamykała się wokół niego niczym pięść, a kiedy się rozwierała, nieprzyjaciel już nie żył.

Dopiero gdy wrogie szczury rzuciły się do ucieczki, linia podzieliła się na pary polujące na uciekinierów. I nagle, w ciągu zaledwie kilku sekund, wojna się zakończyła. Kilku niedobitków z piskiem zniknęło w różnych dziurach.

Szczury należące do klanu wydały okrzyk radości, wiwat, który oznaczał: „Ja żyję! Po tym wszystkim, co się wydarzyło!”.

— Ciemnaopalenizno? — odezwał się Keith z pytaniem w głosie. — Co ci się stało?

Ale Ciemnaopalenizna tylko wspiął się na tylne łapy i wskazując drzwi po drugiej stronie piwnicy, wykrzyknął:

— Jeśli chcesz pomóc, otwórz te drzwi. Prędko!

Potem błyskawicznie skoczył do kanału, a za nim reszta klanu. Jeden ze szczurów stepował.

## Rozdział 11

### I tam znalazł pana Królika, w płaszczu poszarpanym kolcami jeżyn.

„Przygoda pana Królika”

Król szczurów wpadł w szal.

Szczury skuliły się. Śliczna zadrzała, zrobiła kilka kroczków do tyłu, potknęła się i ostatnia płonąca zapałka wypadła jej z łapek.

Ale w Maurycym coś przeżyło ten wrzask, tę burzę myśli. Jakaś niewielka część ukryła się za jedną z szarych komórek i przetrwała tam, gdy resztę świadomości Maurycego wywiało. Wszystkie jego myśli wymiół silny wicher. Koniec z mówieniem, koniec z zastanawianiem się, z postrzeganiem świata jako czegoś na zewnątrz... to, co uskładało się w jego umyśle, wyparowało i pozostał tylko umysł kota. Sprytnego kota, ale jedynie kota.

Nic ponad kota. W jednej chwili pokonał wstecz całą drogę, jaką kiedyś przebył z lasów i jaskiń, od kłów i pazurów.

Po prostu kot.

A zawsze można wierzyć, że kot pozostanie kotem.

Kot zawahał się. Był dezorientowany i zły. Jego uszy płasko przylegały do głowy. Oczy jaśniały zielenią.

Nie mógł myśleć. I nie myślał. Teraz słuchał instynktu — czegoś, co działało na poziomie gotującej się w nim krwi.

Był więc kot i było to drgające piszczące coś. Co robi kot, gdy widzi drgające piszczące coś? Skacze na nie...

Szczurzy król ruszył do kontrataku. Zęby zatrasnęły się na kocie, który znalazł się w gmatwaninie walczących szczurów. Maurycy jęknął i przetoczył się po podłodze. Rzuciło się na niego kilka kolejnych szczurów, z których każdy mógłby się zmierzyć z psem... ale teraz, przynajmniej przez kilka sekund, ten kot potrafiłby pokonać nawet wilka.

Nie zwrócił uwagi na płomień, jakim zajęły się od zapałki leżące na podłodze źdźbła słomy. Nie przejął się faktem, że następne szczury rzuciły się w jego kierunku. Nie obchodziło go, że w pomieszczeniu robi się ciemno od dymu.

Kierowało nim tylko jedno pragnienie — zabić!

Mroczna strona jego osobowości czuła się przez ostatnie miesiące niczym uregulowana rzeka. Zbyt długo była bezradna, gdy małe piszczące stworzenia biegały tuż przed kocim nosem. Przez cały czas pragnienie, by skoczyć, ugryźć i zabić, było tłumione. Tłumiony był prawdziwy kot w tym kocie. I nagle ten prawdziwy kot wyłonił się niczym z worka i tak wiele dziedzicznej woli walki, złośliwości i brutalności płynęło w jego żyłach, że aż spływało ogniem z pazurków.

A kiedy kot przetaczał się, walczył i gryzł, słaby cichy głos z tyłu jego maleńkiego umysłu, ten kawałek, który przetrwał, ostatni maleńki kawałek, który był Maurycym, a nie krwawą bestią, odezwał się: Teraz! Ugryź tutaj!

Zęby i pazury zamknęły się na zamotanych ośmiu ogonach i rozerwały węzeł.

Maleńkie coś, co kiedyś było ja Maurycego, usłyszało coś, co było raczej myślą, nie słowem:

*Nie... eee... ee... e...*

Głos zamilkł i nagle pomieszczenie wypełniały szczury, szczury, które są po prostu szczurami, niczym więcej, szczurami, które walczą, by uciec przed oszalałym, krwiożerczym kotem. A kot drapał, gryzł, rozrywał i spadał na zdobycz. Nagle zobaczył małego białego szczura trwającego nieporuszenie podczas całej walki. Pazury same się wyciągnęły...

Niebezpieczny Groszek wykrzyknął:

— Maurycy!

\* \* \*

Drzwi zastukotały raz i jeszcze raz, kiedy Keith wymierzał kolejnego kopniaka w zamek. Za trzecim kopniakiem drewno pękło i drzwi stanęły otworem.

Następna piwnica płonęła. Był to czarny ogień, zły ogień, płomień przyduszany ciężkim dymem. Klan przedzierał się przez okratowanie i rozproszył, patrząc na płomienie.

— O nie! Wracajmy, w poprzedniej piwnicy były wiadra! — krzyknął Keith.

— Ale... — zaczęła Malicia.

— Musimy! Szybko! To zadanie dla dużych ludzi!

Płomienie zasyczały i zgasły. Wszędzie na podłodze, tam gdzie działał ogień, leżały ciała nieżywych szczurów. Niekiedy były to tylko szczątki.

— Co tu się wydarzyło? — zapytał Ciemnaopalenizna.

— Wygląda na wojnę, szefie — odparł Sardynki, wachając ciała.

— Obejrzyjmy dokładnie pole walki.

— Za gorąco, szefie. Przepraszam, ale my... czy to nie jest Śliczna?

Leżała w pobliżu płomieni, mamrocząc coś do siebie, pokryta błotem. Ciemnaopalenizna pochylił się nad nią. Śliczna otworzyła zmęczone oczy.

— Nic ci nie jest, Śliczna? Co się stało Niebezpiecznemu Groszkowi?

Sardynki, nic nie mówiąc, klepnął Ciemnaopaleniznę w ramię i wskazał łapą.

Poprzez płomienie szedł cień...

Zbliżał się powoli między ścianami ognia. Falowanie powietrza powodowało, że wyglądał, jakby był ogromny, niczym monstrum wylaniające się z jaskini, a potem stał się... zwykłym kotem. Z jego sierści unosił się dym. To, co nie płonęło, pokrywało błoto. Jedno oko miał zamknięte. Zostawiał za sobą ścieżkę krwi. Kulał.

Z jego mordki zwisał kawałek białego futerka.

Dotarł do Ciemnejopalenizny, ale szedł dalej, nie zaszczycając go spojrzeniem. Przez cały czas coś mamrotał pod nosem.

— Czy to Maurycy? — zapytał Sardynki.

— On niesie Niebezpiecznego Groszka! — wykrzyknął Ciemnaopalenizna. — Zatrzymaj tego kota!

Ale Maurycy stanął sam, odwrócił się i położył tuż przed nim. Delikatnie wypuścił biały tobołek na podłogę. Potrącił go raz i drugi, sprawdzając, czy się poruszy. Nic się nie stało. Kot popatrzył smutnie. Otworzył mordkę jak do ziewnięcia, wypuścił z niej obłoczek dymu. Potem złożył głowę na łapach i umarł.

\* \* \*

Maurycemu świat wydawał się wypełniony widmowym światłem, jakie bywa przed brzaskiem, kiedy jest na tyle jasno, że można rozpoznać kształty, ale nie kolory.

Usiadł i zaczął się myć. Wokół niego kręciły się szczury. Ruszały się bardzo, bardzo wolno. Nic go nie obchodziły. Było też dwoje ludzi. Najwyraźniej uważali, że coś muszą robić, i to właśnie robili. Poruszali się w ciszy, niczym duchy. Maurycy nie musiał nic robić. To mu bardzo odpowiadało. Oko już go nie bolało, skóra też nie. Pazury nie były połamane, co oznaczało dużą poprawę od czasu, gdy im się przyglądał

po raz ostatni.

Teraz, kiedy się nad tym zastanawiał, nie był całkiem pewny, co się ostatnio wydarzyło. Najwyraźniej coś wyjątkowo złego. Obok leżało coś, co miało jego kształt, niczym trójwymiarowy cień. Odwrócił łebek, kiedy w niemym świetle usłyszał jakiś hałas.

Coś poruszało się w pobliżu ściany. Niewielka postać zbliżała się do małego tobołka, którym był Niebezpieczny Groszek. Postać była wielkości szczura, ale wyglądała znacznie realniej niż pozostałe znajdujące się w pomieszczeniu szczury, a poza tym, w odróżnieniu od nich, miała na sobie czarny płaszcz.

Szczur w ubraniu, pomyślał Maurycy. Ale ten szczur nie przypominał żadnej postaci z książki o panu Króliku. Na ramieniu niósł miniaturową kosę. Spod kaptura wyłaniał się kościsty szczurzy nos i szczurza czaszka.

Ludzie biegający tam i z powrotem z wiadrami nie zwracali na tę postać uwagi. Inne szczury też nie. Czasem nawet przez nią przechodziły. Tak jakby ten szczur i Maurycy znajdowali się w innym, własnym świecie.

To Kościany Szczur, pomyślał Maurycy. Ponury Piskacz. Przyszedł po Niebezpiecznego Groszka. Po tym wszystkim, co przeszedłem? To się nie może stać! Wskoczył w powietrze i wylądował na Kościanym Szczurze. Małeńka kosa potoczyła się po podłodze.

— No dobrze, mój panie, posłuchamy, jak przemawiasz — zaczął Maurycy.

PIII...!

Do Maurycego dotarło, że popełnił zbrodnię.

Jakaś dłoń złapała go za kark i podniosła w górę, wyżej i wyżej, a wreszcie odwróciła go do góry nogami. W jednej chwili przestał się szamotać.

Trzymał go ktoś duży, o kształcie człowieka, ale w takim samym czarnym płaszczu i z dużo większą kosą, za to z całkowitym brakiem skóry na twarzy. Mówiąc otwarcie — na twarzy brakowało po prostu twarzy, była tylko kość.

ZANIEHAJ ATAKOWANIA MOJEGO POMOCNIKA, odezwał się Śmierć.

— Oczywiście, panie Śmierć, sir! Jużzaniechałempanie! — odparł szybkoitko Maurycy. — Bezproblemupanie.

NIE WIDZIAŁEM CIĘ OSTATNIMI CZASY, MAURYCY.

— Nie, sir — odparł nieco swobodniej Maurycy. — Byłem bardzo ostrożny, sir.

Rozglądałem się na obie strony, zanim przeszedłem przez jezdnię i w ogóle.

ILE CI JESZCZE ZOSTAŁO?

— Sześć, sir. Sześć. Bardzo zdecydowanie sześć żyć, sir.

Śmierć wyglądał na zdziwionego.

PRZECIEŻ W ZESZŁYM TYGODNIU PRZEJECHAŁA CIĘ CIĘŻARÓWKA.

— Ledwie mnie musnęła. Udało mi się zwać bez większej szkody, sir.

NAPRAWDĘ?

— Oj...

TO BY OZNACZAŁO, ŻE ZOSTAŁO CI PIĘĆ ŻYĆ, MAURYCY DO DZIŚ.  
ZACZYNAŁEŚ Z DZIEWIĘCIOMA.

— Zgoda, sir. W porządku. — Maurycy przełknął ślinę. Przecież nie mógł nie spróbować. — Więc powiedzmy, że zostały mi trzy, dobrze?

TRZY? PRZYSZEDŁEM, ŻEBY CI ZABRAĆ TYLKO JEDNO. NIE MOŻESZ STRACIĆ WIĘCEJ NIŻ JEDNO ŻYCIE ZA JEDNYM RAZEM, NAWET JEŚLI JESTEŚ KOTEM. WIĘC ZOSTAJĄ CI CZTERY.

— Ale ja chcę, żeby pan zabrał dwa — pospiesznie rzekł Maurycy. — Dwa moje i rezygnujesz z niego.

I Śmierć, i Maurycy patrzyli na Niebezpiecznego Groszka, wokół którego zgromadziło się kilka innych szczurów.

JESTEŚ PEWIEN? — zapytał Śmierć. TO JEST SZCZUR.

— Oczywiście, sir. Dlatego to wszystko stało się tak skomplikowane.

NIE MOŻESZ WYJAŚNIĆ?

— No właśnie. Nie wiem dlaczego, sir. Wszystko się poplątało.

TO BARDZO NIEPODOBNE DO TAKIEGO KOTA JAK TY, MAURYCY. JESTEM ZADZIWIIONY.

— Właściwie ja też. Można powiedzieć, że jestem w szoku, sir. Chciałbym tylko, by nikt się o tym nie dowiedział.

Śmierć opuścił Maurycyego na podłogę, tuż koło jego ciała.

NIE POZOSTAWIASZ MI WIELKIEGO WYBORU. SUMA SIĘ ZGADZA, NAWET JEŚLI JEST TO ZADZIWIAJĄCE. PRZYSZLIŚMY PO DWA I DWA ZABIERZEMY...  
RÓWNOWAGA JEST ZACHOWANA.

— Czy mogę zadać pytanie? — zapytał Maurycy, gdy Śmierć odwracał się, by

odejść.

MOŻESZ NIE OTRZYMAĆ ODPOWIEDZI.

— Czy jest, być może, jakiś Wielki Kot w Niebie?

ZNOWU ZADZIWIASZ MNIE, MAURYCY. OCZYWIŚCIE, ŻE NIE MA KOTA BOGA.  
TO ZBYT PRZYPOMINAŁOBY... PRACĘ.

Maurycy skinął łebkiem. Warto być kotem. Nie tylko masz dziewięć żyć, ale i teologia jest dużo prostsza.

— Zapomnę o tym, prawda? — zapytał jeszcze. — Inaczej to byłoby zbyt krępujące.

OCZYWIŚCIE, ŻE ZAPOMNISZ, MAURYCY

Świat nabrał kolorów. Maurycy poczuł, że Keith go głaszcze. Każdy kawałeczek Maurycyego bolał go i mu dokuczał. Jak futro może boleć? I łapki wołały o pomstę do Maurycyego, jedno oko zamieniło się w kawałek lodu, za to w płucach szalał ogień.

— Myśleliśmy, że nie żyjesz! — powiedział Keith. — Malicia miała zamiar wyprawić ci pogrzeb w kącie ogrodu. Podobno ma już czarny welon.

— W tej torbie na przygody?

— Oczywiście — odparła Malicia. — Wyobraźmy sobie, że wylądowalibyśmy na tratwie płynącej rzeką pełnych krwiożerczych...

— Tak, tak, dzięki — wymruczał Maurycy.

Śmierdziało spalenizną, dymem i brudną parą.

— Nic ci nie jest? — Keith wyglądał na zatroskanego. — Stałeś się czarnym kotem, który przynosi szczęście!

— Cha, cha, jasne, cha, cha — zaśmiał się ponuro Maurycy. Podniósł się na łapki. Każde drgnienie wywoływało ból. — Czy z małym szcurkiem wszystko w porządku? — zapytał, próbując rozejrzeć się dookoła.

— Wyglądał tak samo nieżywo jak ty, ale kiedy go nieśli, wykasłał mnóstwo błota. Nie jest z nim najlepiej, ale lepiej niż było.

— Wszystko dobre, co się dobrze... — zaczął Maurycy i nagle skrzywił się z bólu.  
— Nie mogę obrócić głowy — powiedział.

— Bo jesteś cały pokąsany przez szczury. — Jak wygląda mój ogon?

— Prawie cały jest na miejscu.

— Świetnie. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Przygoda zakończona, czas

na herbatkę i słodkie bułeczki, jak mawiają miłe dziewczynki.

— Nie — sprzeciwił się Keith. — Wciąż grozi nam zaklinacz.

— Nie mogą mu po prostu dać dolara za fatygę i odesłać z powrotem?

— Zaklinacza szczurów tak się nie traktuje.

— Nieprzyjemniaczek, co?

— Nie wiem. Sądzymy jednak, że ma kilka przykrych cech. Ale mamy plan.

— Ty masz plan? — burknął Maurycy. — Ty go ułożyłeś?

— Ja, Ciemnaopalenizna i Malicia.

— Zreferuj mi swój wspaniały plan — westchnął Maurycy.

— Zamierzamy trzymać kiikiisy zamknięte w klatkach. Kiedy zaklinacz zacznie grać na fujarce, nie wyjdzie za nim żaden szczur. To go całkiem ośmieszy, prawda? — powiedziała Malicia.

— I to jest ten wasz plan?

— Twoim zdaniem nie zadziała? — zapytał Keith. — Malicia twierdzi, że zaklinacz ucieknie ze wstydu.

— Nie wiecie nic o ludziach, prawda? — westchnął znowu Maurycy.

— Coś takiego! Przecież ja jestem człowiekiem! — wykrzyknęła Malicia.

— No i co z tego? Na ludziach znają się koty. My musimy. Człowiek otwiera kredens, nikt inny. A teraz posłuchajcie, nawet szczurzy król miał plan lepszy od waszego. Dobry plan to nie taki, gdzie ktoś wygrywa, ale taki, gdzie nikt nie uważa, że stracił. Rozumiecie? Oto co musicie zrobić... nie, to się nie uda, potrzebowalibyśmy dużo waty...

Malicia otworzyła swoją torbę z wyrazem triumfu na twarzy.

— Wiecie co? — zaczęła. — Wymyśliłam, że gdybym została uwięziona w ogromnym podwodnym mechanicznym urządzeniu i potrzebowała czegoś do zatkania...

— Chcesz nam powiedzieć, że masz dużo waty, tak? — rzekł beznamiętnie Maurycy.

— Tak!

— I czym ja się w ogóle martwię? — spytał kot.

\* \* \*

Ciemnaopalenizna wbił miecz w błoto. Wokół zebrały się starsze szczury, ale starszeństwo oznaczało teraz coś innego. W tej grupie znajdowały się też i młode wiekiem szczury, każdy z czerwonym znakiem na czole, i to właśnie one przepychały się na front.

Gadały jeden przez drugiego. Po przejściu Kościanego Szczura, który nikogo nie zabrał ze sobą, wszystkie poczuły ulgę i paplały jak najęte.

— Cisza! — krzyknął Ciemnaopalenizna głosem jak gong.

Wszystkie czerwone znaki na czołach zwróciły się na niego. Był zmęczony, nie mógł porządnie odetchnąć, spływał błotem i krwią. Część tej krwi nie była jego.

— To jeszcze nie koniec — powiedział.

— Ale my właśnie...

— To jeszcze nie koniec! — Rozejrzał się wkoło. — Nie dostaliśmy jeszcze wszystkich wielkich szczurów, tych prawdziwych wojowników — wydyszał. — Wsolance, zawróćcie w dwudziestu i pomożecie pilnować gniazd. Przecena i wszystkie stare szczurzyce są tam. Mają rozedrzeć na strzępy każdego, kto odważy się zaatakować, ale chcę mieć pewność.

Przez chwilę Wsolance się zastanawiał.

— Nie rozumiem, dlaczego ty... — zaczął.

— Wykonać!

Wsolance ruszył truchtem na czele grupki szczurów. Zniknęli w ciemności.

Ciemnaopalenizna przyglądał się pozostałym. Niektóre pod wpływem jego spojrzenia cofały się, jakby je dotknął płomień.

— Sformujemy oddziały — powiedział. — Wszyscy z klanu, którzy nie pilnują gniazd, podzielą się na grupy. W każdym oddziale musi być przynajmniej jeden szczur wytrenowany w rozbrajaniu pułapek! Weźcie ze sobą ogień. Kilku młodych zostanie posłańcami, byśmy mieli między sobą kontakt. Nie podchodźcie blisko kłetek, te biedne stworzenia mogą tam czekać! Ale musicie przejść wszystkie tunele, wszystkie piwnice, wszystkie dziury, wszystkie kąty! Jeśli jakiś obcy szczur się podda, bierzcie go, będzie jeńcem! Ale jeśli zechce walczyć — a te duże będą walczyć, bo tylko to potrafią — musicie go zabić! Spalić lub zagryźć! Zagryźć na śmierć! Słyszycie?

Odpowiedział mu pomruk aprobaty.

— Zapytałem, czy mnie słyszycie?

Teraz odpowiedział mu wrzask.

— Dobrze! Będziecie sprawdzać tunel po tunelu, aż wszystkie staną się czyste, od końca do końca! Wtedy sprawdzicie je jeszcze raz! Aż tunele będą nasze! Ponieważ... — Ciemnaopalenizna złapał swój miecz i na chwilę wsparł się na nim, by złapać oddech — ponieważ jesteśmy teraz w sercu Ciemnego Lasu i znaleźliśmy też Ciemny Las w naszych sercach i... dzisiejszego wieczoru... jesteśmy... straszliwi. — Wziął jeszcze jeden oddech, a jego następne słowa usłyszeli tylko ci, którzy stali najbliżej: — I nie mamy gdzie odejść.

\* \* \*

Nastał świt. Sierżanta Doppelpunkta, czyli połowę Straży Miejskiej (i to tę większą połowę), obudziło własne chrapnięcie. Był w pokoiku przy głównej bramie miasta.

Poruszając się trochę niepewnie, ubrał się, po czym umył twarz w kamiennym zlewie, zerkając w kawałek lusterka wiszący na ścianie.

Zamarł. Doszedł go cichy, ale rozpaczliwy pisk, a potem wypadła kratka zatykająca odpływ w zlewie i wyskoczył stamtąd szczur. Był duży i szary, przebiegł sierżantowi po ręce, nim zeskoczył na podłogę.

Z wodą skapującą z twarzy sierżant Doppelpunkt wpatrywał się w szczerym zadziwieniu, jak w ślad za tym wielkim wyłoniły się trzy mniejsze szczury i ruszyły w pogoń. Pośrodku podłogi rozegrała się walka, ale małe szczury atakowały naraz, każdy z innej strony. To wcale nie wyglądało na bójkę, pomyślał sierżant. Raczej na egzekucję...

W ścianie znajdowała się szczurza dziura. Dwa szczury złapały pokonanego za ogon i zawlekły go tam, ale trzeci zatrzymał się, odwrócił do sierżanta i stanął na tylne nogi.

Sierżant czuł, że szczur mu się przygląda. To nie było zwykłe spojrzenie zwierzęcia, które sprawdza, czy ten człowiek jest niebezpieczny. Nie wyglądał na przestraszonego, po prostu patrzył z ciekawością. Miał na główce coś jakby czerwone znamię.

Szczur zasalutował. Z całą pewnością był to salut, choć trwał zaledwie sekundę. Potem wszystkie szczury zniknęły.

Sierżant przez jakiś czas wpatrywał się w dziurę. Woda skapywała z jego brody.

Z dziury odpływowej doszedł go śpiew, który odbijał się echem, jakby dochodził już z daleka. Jeden głos intonował, a reszta mu odpowiadała:

	Niestraszny	nam	ni	kot,	ni	pies...
...	bo	szczur	odważny,		odważny	jest.
Nie	mamy		chorób		ani	pcheł...
...	zjemy	truciznę,		lecz	wolimy	ser.
Jeśli		zechcesz		otruć		nas...
...	na		próżno		tracisz	czas.
Nie	damy	ziemi,		skąd	nasz	ród...

...i każdy szczur zostanie tu.

Głos zamarł w oddali. Sierżant Doppelpunkt zawahał się, po czym uważnie obejrzał butelkę po piwie, które wypił wieczorem. Miał za sobą samotną nocną wartę. A przecież nikt nie zamierzał napaść na Lśniący Zdrój. Nie znalazłby tu niczego, co warto byłoby ukraść.

Ale z pewnością nie należało o tym nikomu wspominać. Najprawdopodobniej nic wyjątkowego się w ogóle nie zdarzyło. Powiedzmy, że to jakaś feralna butelka piwa...

Do strażnicy wkroczył kapral Knopf.

— Dzień dobry, sierżancie. Chodzi o... co się z panem dzieje?

— Nic! — odparł szybko Doppelpunkt, wycierając twarz. — Z pewnością nie byłem świadkiem niczego niezwykłego! Dlaczego tu przyszedłeś? Pora otworzyć bramy, kapralu!

Strażnik wyszedł na zewnątrz i rozsunął miejskie bramy, wpuszczając strumień słonecznego blasku.

Któremu towarzyszył długi, bardzo długi cień.

O nie, pomyślał sierżant Doppelpunkt. Nie zapowiada się na miły dzionek...

Jeździec na koniu minął go, nie zaszczyciwszy nawet spojrzeniem, kierując się prosto na rynek. Strażnicy ruszyli pospiesznie za nim. Przecież ludzie nie powinni ignorować tych, którzy noszą broń.

— Stać! Co pana tu sprowadza?! — zakrzyknął kapral Knopf, truchtając za koniem.

Jeździec ubrany w biało-czarny strój, w którym przypominał srokę, nic nie

odpowiedział, tylko leciutko uśmiechnął się do siebie.

— No dobrze, może nic pana tu nie sprowadziło, ale nie zaszkodziłoby powiedzieć, kim pan jest, prawda? — dodał kapral Knopf, który za nic nie chciał się znaleźć w kłopotach. Jakichkolwiek kłopotach.

Jeździec przez chwilę popatrzył na niego, ale po chwili znów wbił wzrok przed siebie.

Sierżant Doppelpunkt ujrzał, że w miejskiej bramie pojawił się niewielki zakryty wóz. Ciągnął go osioł prowadzony przez staruszkę. Jestem sierżantem, powiedział sam do siebie Doppelpunkt. Otrzymuję większą gażę niż kapral, czyli moje myśli mają większą wartość. A właśnie przyszło mi do głowy, że nie mamy obowiązku sprawdzać każdego, kto się tylko pokaże w bramie, prawda? Zwłaszcza gdy jesteśmy zajęci. Wtedy wybieramy ludzi losowo i jest całkiem rozsądne wybrać losowo tego staruszkę, który wygląda na dość wiekowego, by przestraszyć się na widok raczej niechlujnego munduru z zardzewiałą kolczugą.

— Stop!

— He, he! Nic z tego — odparł staruszek. — Uważaj na osła. Kiedy wpadnie w złość, może cię ugryźć. Nie, żeby mnie to specjalnie obchodziło...

— Chcesz okazać lekceważenie przedstawicielowi prawa? — zapytał sierżant Doppelpunkt.

— Nie staram się prawa łamać. Ale jeśli chcesz coś uzyskać, rozmawiaj z moim panem. To ten na koniu. Na dużym koniu.

Obcy w czarno-białym stroju zsiadł właśnie z wierzchowca na środku rynku i otwierał juk przy siodle.

— Powinienem podejść do niego i porozmawiać, tak? — upewnił się sierżant.

Zanim zdołał dojść do nieznajomego, a starał się iść jak najwolniej, przybysz oparł lusterko na fontannie i zaczął się golić. Obserwował go kapral Knopf, który dostał wodze do potrzymania.

— Czemu go nie aresztowałeś? — wyszeptał sierżant do kaprała.

— Za co? Za nielegalne golenie się na rynku? Wie pan co, sierżancie? Niech pan to zrobi.

Sierżant Doppelpunkt odchrząknął. Kilka rannych ptaszków Lśniącego Zdroju gapilo się na niego.

— Hm... posłuchaj no, przyjacielu. Jestem pewien, że nie zamierzałeś... — zaczął.

Obcy wyprostował się i obrzucił strażników spojrzeniem, od którego obaj się cofnęli. Pociągnął za rzemyk spinający gruby skórzany zwój przed siodłem. Kapral Knopf aż gwizdnął. Na całej długości skózanego pasa leżały — jedna przy drugiej, każda przytrzymywana osobnym rzemyczkiem — fujarki. Lśniły w porannym słońcu.

— O, więc ty jesteś zaklinaczem... — domyślił się sierżant.

Przybysz już odwrócił się i powiedział jakby do swego odbicia w lusterku:

— Gdzie człowiek mógłby zjeść tutaj śniadanie?

— A, śniadanie! Pani Shover w Modrej Kapuście będzie...

— Parówki — rzekł zaklinacz, nie przerywając golenia. — Podsmażone z jednej strony. Trzy. Tutaj. Za dziesięć minut. Gdzie jest burmistrz?

— Pójdiesz tą ulicą, skręcisz w pierwszą w lewo...

— Przyrowadź go.

— Hej, nie możesz... — zaczął sierżant, ale kapral Knopf złapał go za ramię i odciągnął.

— Przecież to zaklinacz! — wysyczał. — Nie zadziera się z zaklinaczem. Jeśli zagra odpowiednią nutę na swojej fujarce, mogą panu odpaść nogi!

— Co? Jak przy pladze?

— Mówią, że w Porkscratchenz burmistrz mu nie zapłacił, więc zagrał specjalną melodię i wszystkie dzieci wyszły w góry. Nikt ich już nigdy nie zobaczył!

— Boże! Myślisz, że mógłby coś takiego zrobić tutaj? Od razu byłoby dużo ciszej.

— Nigdy pan nie słyszał o tym mieście w Klatchu. Wynajęto go, by pozbyć się plagi mimów, ale mu nie zapłacono, więc spowodował, że wszyscy strażnicy miejscy ruszyli w tanecznym korowodzie do rzeki i utonęli.

— Nie. Naprawdę coś takiego zrobił?! To diabeł wcielony! — wykrzyknął sierżant Doppelpunkt.

— Żąda trzystu dolarów!

— Trzystu dolarów!

— Dlatego ludzie tak niechętnie mu płacą — dodał kapral Knopf.

— Czekaj, czekaj... jak można mieć plagę mimów?

— Słyszałem, że to prawdziwa makabra. Ludzie bali się wychodzić na ulice.  
— Chodzi ci o te wymalowane na białą twarz i te skradające się sylwetki...  
— No właśnie. Okropność. A właśnie, dziś raniutko na mojej toalecie tańczył szczur. Stepował.

— Dziwne. — Sierżant Doppelpunkt spojrzał jakoś inaczej na kaprala.  
— I nucił sobie „Nie ma lepszego biznesu od show-biznesu”. Słowo „dziwne” to za mało.

— Powiedziałem „dziwne”, bo się zdziwiłem, że masz toaletkę. Przecież nawet nie jesteś żonaty.

— Proszę nie zmieniać tematu, sierżancie.

— To toaletka z lustrem?

— Niech już pan da spokój, sierżancie. Pan idzie po parówki, ja sprowadzę burmistrza.

— Nie, Knopf. Ty przyniesiesz parówki, a ja sprowadzę burmistrza, ponieważ burmistrz przyjdzie za darmo, a pani Shover zażąda pieniędzy.

Kiedy zjawił się sierżant, burmistrz już nie spał. Ze zmartwionym wyrazem twarzy chodził po domu z kąta w kąt.

Na widok sierżanta zmartwił się jeszcze bardziej.

— Co zmalowała tym razem? — jęknął.

— Słucham, sir? — zapytał strażnik. Przy czym „sir” zabrzmiało jak „Co ty pleciesz?”.

— Malicia całą noc spędziła poza domem — odparł burmistrz.

— Myśli pan, że coś jej się mogło przydarzyć?

— Nie, myślę, że to ona się mogła komuś przydarzyć, człowieku. Pamiętasz, co się stało miesiąc temu? Kiedy tropiła Tajemniczego Jeźdźca bez Głowy?

— Musi pan przyznać, że to był jeździec.

— Owszem, jeździec. Bardzo niski, z wysokim kołnierzykiem. Na dodatek był to główny poborca podatkowy z Mintzu. Wciąż dostaję w związku z tą sprawą oficjalne pisma. Poborcy podatkowi niekoniecznie przepadają za młodymi damami spadającymi na nich z drzewa. A we wrześniu była ta sprawa...

— Z Tajemnicą w Starym Młynie — podpowiedział sierżant, wznosząc oczy ku niebu.

— A okazało się, że to tylko pan Vogel, urzędnik miejski, z panią Schuman, żoną szewca, którzy przez przypadek zjawili się tam razem, ponieważ oboje bardzo interesują się sówami żyjącymi w młynach i stodołach...

— A pan Vogel był bez spodni, bo rozdarł je sobie na gwoździu... — dodał sierżant, nie patrząc na burmistrza.

— A pani Schuman w swojej dobroci właśnie je reperowała — dopowiedział burmistrz.

— Przy blasku księżyca — spuentował sierżant.

— Ona ma bardzo dobry wzrok — zachnął się burmistrz. — I na pewno nie zasłużyła na zakneblowanie i związanie razem z panem Voglem, który na dodatek w rezultacie się przeziębził. Otrzymałem potem skargę i od niego, i od niej, i od pani Vogel, i od pana Schumana, a potem jeszcze raz od pana Vogla, po tym jak pan Schuman przyszedł do jego domu z kopytem, i od pani Schuman, po tym jak pani Vogel nazwała ją...

— Z kopytem, sir?

— Co?

— Przyszedł z kopytem czy z kopyta?

— Człowieku! Kopyto to jest takie drewniane coś, czego szewcy używają do robienia butów! Bóg wie, co Malicia wymyśli tym razem!

— Z pewnością dowie się pan już wkrótce.

— A czego pan ode mnie chce, sierżancie?

— Zjawił się zaklinacz szczurów, sir.

Burmistrz zbladł

— Już?

— Tak. Goli się przy fontannie.

— Gdzie mój oficjalny łańcuch? I moja oficjalna toga? I mój oficjalny kapelusz? Szybko, człowieku, pomóż mi!

— Wyglądał na dość powolnego balwierza — powiedział sierżant, podążając biegiem za burmistrzem.

— W Klotzu burmistrz nie powitał zaklinacza od razu, ten zagrał na fujarce i zamienił go w... borsuka — odparł burmistrz, otwierając energicznie kredens. — Tu są... pomóż mi, dobrze?

Prawie bez tchu zjawili się na placu. Zaklinacz siedział na ławeczce przy fontannie, otoczony sporym tłumkiem trzymającym się w bezpiecznej odległości. Przyglądał się z uwagą połówce parówki nadzianej na widelec. Kapral Knopf stał obok niego niczym uczeń, który dowiedział się właśnie, że praca pisemna, którą oddał, jest nie najlepsza, i zaraz się dowie, jak naprawdę jest zła.

— I to nazywacie...? — zaklinacz zawiesił głos.

— Parówka, sir — wymruczał kapral Knopf.

— Ach, więc myślicie, że parówka to coś takiego?

Tłumek aż westchnął. Lśniący Zdrój był bardzo dumny ze swej tradycyjnej wieprzowo-nornicowej parówki.

— Tak jest, sir — odparł sierżant Knopf.

— Ciekawe — uznał zaklinacz. Następnie zwrócił się do burmistrza: — A pan jest...?

— Jestem burmistrzem tego miasta i...

Zaklinacz powstrzymał go dłonią, po czym wskazał siedzącego na wozie staruszka, który uśmiechał się szeroko.

— Mój agent to załatwi — rzekł. Wyrzucił parówkę, oparł nogi na drugim krańcu ławki i położył się, naciągając kapelusz na twarz.

Burmistrz spurpurowiał. Sierżant Doppelpunkt pochylił się do niego.

— Proszę pamiętać o borsuku, sir! — wyszeptał.

— Ach... tak... — Burmistrz pomaszerował w kierunku wozu, usiłując zachować resztkę godności. — Opłata za wyprowadzenie z miasta szczurów, jak rozumiem, wynosi trzysta dolarów — zwrócił się do staruszka.

— W takim razie zrozumiesz też wszystko, co ci teraz powiem — odparł staruszek. Zerknął do rozłożonego na kolanach notesu. — Zobaczmy... opłata za wezwanie... plus specjalny dodatek ze względu na dzień świętego Prodnicego... plus podatek od fajarek... miasto wygląda na średniej wielkości, więc tyle jeszcze... za zużycie wozu... koszty transportu dolar za milę oraz wszelakie wydatki, podatki i dodatki... — Podniósł wzrok. — No to dla równego rachunku niech będzie tysiąc dolarów, zgoda?

— Tysiąc dolarów? My nie mamy tysiąca dolarów! To przechodzi ludzkie...

— Borsuk, sir — wysyczał sierżant.

— Nie możecie zapłacić? — zapytał staruszek.

— Nie mamy takich pieniędzy. Wydaliśmy mnóstwo, sprowadzając jedzenie!

— W ogóle nie macie pieniędzy? — zapytał staruszek.

— Suma, którą wymieniłeś, jest niewyobrażalna.

Staruszek podrapał się po brodzie.

— Hmm — wymruczał do siebie. — Widzę, że sytuacja robi się poważna, gdyż... pozwól, że policzę. — Zerknął na moment do swego notesu. — Juz teraz jesteście nam winni czterysta sześćdziesiąt siedem dolarów i dziewięćdziesiąt pensów za wezwanie, koszty transportu i takie tam pozostałe.

— Co? Jeszcze nawet nie zagrał jednej nuty!

— Tak, ale jest gotów to zrobić w każdej chwili. Przebyliśmy do was kawał drogi. Nie możecie zapłacić? Musiała zajść jakaś pomyłka. W takim razie on musi coś wyprowadzić z miasta. Inaczej rozejdą się plotki i nikt już nigdy nie okaże mu szacunku. A jeśli nie masz szacunku, to nie masz nic. Zaklinacz, którego nie otacza podziw, jest...

— ...śmieciem — odezwał się ktoś. — Ja uważam, że to śmieć.

Zaklinacz przesunął w górę rondo swego kapelusza.

Tłum rozstąpił się pospiesznie przed Keithem.

— Tak? — mruknął zaklinacz.

— Nie przypuszczam, żeby jego fujarki posłuchał choć jeden szczur — mówił dalej chłopiec. — To oszust i bufon. Idę o zakład, że ja wyprowadzę z miasta więcej szczurów niż on.

Część gapiów zaczęła się chyłkiem wycofywać z placu. Nikt nie chciał być w pobliżu, kiedy zaklinacz straci nerwy.

Zaklinacz spuścił nogi na ziemię i poprawił kapelusz.

— Jesteś zaklinaczem szczurów, dzieciaku?

Keith wyprostował się dumnie.

— Tak. I nie nazywaj mnie dzieciakiem... stary.

Zaklinacz uśmiechnął się szeroko.

— Aha — powiedział. — Wiedziałem, że mi się tu spodoba. I potrafisz zmusić szczury do tańca, dzieciaku?

— Lepiej niż ty.

— Chyba mnie wyzywa na pojedynek — rzekł zaklinacz.

— Zaklinacz nie przyjmie wyzwania od... — odezwał się staruszek z wozu, ale zaklinacz szczurów uciszył go machnięciem dłoni.

— Wiesz co, dzieciaku, to nie zdarza mi się po raz pierwszy. Bywa, idę sobie ulicą i nagle ktoś krzyczy: „Wyciągnij swoją fujarkę, panie!”. Odwracam się i zawsze widzę dzieciaka z głupkowatą miną. Nie chcę, by ktoś powiedział, że wykorzystuję swoją przewagę, więc jeśli mnie teraz przeprosisz, pozwolę ci odejść na tyłu nogach, na ilu tu podszedłeś...

— Boisz się! — Malicia wystąpiła z tłumu.

— Ach tak? — zaklinacz uśmiechnął się teraz do niej.

— Tak, ponieważ każdy wie, co się zaraz wydarzy. Pozwól, że zapytam tego chłopca wyglądającego na głupka, którego nigdy wcześniej nie widziałam: Jesteś sierotą?

— Tak — odparł Keith.

— Czy wiesz coś na temat swojego pochodzenia?

— Nie.

— Aha! — wykrzyknęła Malicia. — Oto ostateczny dowód. Wszyscy wiemy, co się dzieje, kiedy pojawia się tajemniczy sierota i wyzywa na pojedynek kogoś dużego i potężnego, prawda? Nie może nie wygrać i tyle.

Spojrzała z triumfem na twarze zebranych ludzi. Tłum jednak nie wyglądał na przekonany. Ci ludzie nie przeczytali tylu książek co Malicia i wyciągali wnioski raczej z wydarzeń dnia codziennego, które mówiły, że jeśli ktoś jest mały i występuje przeciwko komuś dużemu, zostaje najczęściej usmażony na wolnym ogniu, i choć ogień jest wolny, dzieje się to prędyutko.

Jednak ktoś z tyłu krzyknął:

— Dać chłopakowi szansę! Przynajmniej będzie tańszy!

A ktoś inny dodał:

— Co racja, to racja!

A jeszcze inny wykrzyknął:

— Zgadzam się z tymi dwoma, co krzyknęli przede mną!

I najwyraźniej nikt nie zauważył, że wszystkie te okrzyki nadeszły z poziomu tuż nad ziemią, a miejsca, z jakiego dochodziły, dziwnie pokrywały się z miejscami, w

jakich znajdował się w danej chwili obszarpany kot bez połowy sierści. Natomiast rozległ się ogólny pomruk, nie żeby jakieś konkretne słowa, nic, do czego by się mógł przyczepić zaklinacz, gdyby się naprawdę rozgniewał, ale mruczenie, które wskazywało, że choć nikt nie chce nikogo obrazić, i biorąc pod uwagę każdy punkt widzenia, i zestawiając jedno z drugim, i porównując jedno do drugiego, dajmy chłopcu szansę, oczywiście jeśli pan nie ma nic przeciwko temu i w ogóle proszę się nie gniewać.

Zaklinacz wzruszył ramionami.

— A niech tam — powiedział. — Przynajmniej będzie o czym opowiadać. Co dostanę, jak wygram?

Burmistrz odkaszlnął.

— Chyba w takich sytuacjach zwyczajowo dostaje się rękę córki? — zapytał nie bardzo wiadomo kogo. — Ona ma bardzo zdrowe zęby i będzie dob... no, żoną dla każdego, kto ma mnóstwo miejsca na książki.

— Ojczy! — wykrzyknęła Malicia.

— Później, później! — Burmistrz machnął ręką. — Wiem, że nie jest zbyt sympatyczny, ale za to bogaty.

— Nie, po prostu chcę dostać wygraną — rzekł zaklinacz. — Nieważne w czym.

— A ja powiedziałem, że nas na to nie stać — zachnął się burmistrz.

— A ja powiedziałem, że nieważne w czym. Co ty masz dostać, jeśli wygrasz, dzieciaku?

— Twoją fujarkę — odparł Keith.

— Nie, to jest czarodziejska fujarka, dzieciaku.

— Więc czemu się boisz dać ją w zakład?

Zaklinacz zmrużył oczy.

— Dobrze — powiedział.

— I miasto musi pozwolić mi rozwiązać problem szczurów — powiedział Keith.

— A ile sobie za to policzysz? — zapytał burmistrz.

— Trzydzieści złotych monet! Trzydzieści złotych monet! No, dalej, powiedz tak!

— odezwał się głos z tłumu.

— Nic, nie będzie to was kosztowało ani centa — powiedział Keith.

— Idiota! — wykrzyknął ten w tłumie. Ludzie rozglądali się wokoło zdziwieni.

— W ogóle nic? — powtórzył burmistrz.

— Nic.

— Eee... oferta ręki mojej córki jest nadal aktualna, jeśli tylko...

— Ojczy!

— Nie, tak się dzieje tylko w bajkach — odparł Keith. — I sprowadzę z powrotem mnóstwo jedzenia ukradzonego przez szczury.

— Ależ one go zjadły — powiedział burmistrz. — Czy zamierzasz im włożyć palce do gardeł?

— Powiedziałem już, że rozwiążę wasz problem ze szczurami. Zgoda, burmistrzu?

— No cóż, jeśli sobie nic nie policzysz...

— Ale najpierw muszę pożyczyć fujarkę — mówił dalej Keith.

— Nie masz swojej? — zapytał burmistrz.

— Jest złamana.

Kapral Knopf pochylił się do burmistrza.

— Z czasów służby w wojsku mam puzon. Migiem go przyniosę.

Zaklinacz wybuchnął śmiechem.

— Czy to się będzie liczyło? — zapytał burmistrz, gdy kapral ruszył biegiem do domu.

— Co? Że będzie trąbił na puzonie, by oczarować szczury? A niech spróbuje. Nie można powiedzieć, że się nie stara. Jakim jesteś puzonistą, chłopcze?

— Nie wiem — odparł Keith.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że nigdy nie grałem na puzonie. Znacznie pewniej bym się czuł z fletem, trąbką, piszczałką, klarnetem. Ale widziałem puzon. Nie wyglądał na bardzo skomplikowany. Taka wyrośnięta trąbka.

Strażnik wrócił biegiem, pocierając zmaltretowany puzon rękawem, przez co instrument stawał się jeszcze brudniejszy. Keith wziął go, wytarł ustnik i przyłożył do warg, nacisnął kilka klawiszy, a potem zagrał jeden długi dźwięk.

— Chyba działa — powiedział. — Myślę, że się szybko nauczę, to łatwe. — Uśmiechnął się lekko do zaklinacza. — Chcesz spróbować pierwszy?

— Nie oczarujesz tym złomem ani jednego szczura, dzieciaku, ale chętnie

zobaczę, jak próbujesz.

Keith uśmiechnął się znowu, wziął głęboki wdech i zagrał.

To z pewnością była melodia. Instrument skrzypiał i piszczał, ponieważ kapralowi zdarzało się go użyć zamiast młotka, ale to była melodia, nawet skoczna, powiedzieć można, że beztroska. Chciało się przy niej poskakać.

I nawet ktoś zaczął skakać.

Sardyńki wydobył się ze szpary w pobliskiej ścianie, nucąc pod nosem: „Razdwatrzycztery”.

Tłum patrzył oniemiały na zajadle tańczącego szczura, który podskakiwał na końskich łbach, aż w końcu zniknął w klatce kanalizacyjnej. Rozległy się oklaski.

Zaklinacz spojrzał na Keitha.

— Czy ten szczur miał na głowie kapelusz?

— Nie zauważyłem — odparł chłopiec. — Teraz twoja kolej.

Zaklinacz wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kamizelki niewielką fujarkę. Potem wyjął drugą z kieszeni marynarki i połączył z pierwszą. Wszyscy usłyszeli kliknięcie brzmiące bardzo po wojskowemu.

Wciąż patrząc na Keitha i wciąż się uśmiechając, zaklinacz wyciągnął z górnej kieszeni ustnik i połączył go z fletem z kolejnym kliknięciem.

Wreszcie przyłożył do ust i zagrał.

Przecena ze swojego posterunku na dachu krzyknęła w rynnę:

— Teraz!

I jednocześnie zatkała uszy dwoma kłaczkami waty.

Stojący przy dolnym otworze rynny Wsolance krzyknął w kanał kanalizacyjny:

— Teraz!

I wepchnął do uszu waciki.

...az... az... az... — poniosło się po rurach.

— Teraz! — wykrzyknął Ciemnaopalenizna w pomieszczeniu z klatkami. — Wszyscy zatykają uszy!

Ze szczurami w klatkach zrobili, co tylko mogli. Malicia przyniosła koce, a szczury przez dobrą godzinę zatykały błotem wszystkie dziury. Zrobili też wszystko, by nakarmić więźniów, bo choć to były tylko kiikiisy, serca się kroili na ich widok.

Ciemnaopalenizna odwrócił się do Odżywki.

— Zatkalaś sobie uszy? — zapytał.

— Słucham?

— Dobrze! — pokazał dwie kulki z waty. — Mam nadzieję, że dziewczynka nie myliła się w tej kwestii — powiedział. — Nie sądzę, by wielu z nas miało jeszcze siły do ucieczki.

Zaklinacz dmuchnął znowu w fujarkę.

— Ani jednego — powiedział Keith. — Żeby chociaż jakiś.

Zaklinacz dmuchnął znowu.

— Nic nie słyszę — rzekł burmistrz.

— Ludzie nie mogą tego słyszeć — mruknął zaklinacz.

— Może jest złamana — odpowiedział Keith.

Zaklinacz spróbował jeszcze raz. Tłum szemrał.

— To ty coś zrobisz — wysyczał zaklinacz do chłopca.

— Tak? — powiedziała głośno Malicia. — No i cóż takiego on by mógł zrobić? Na pewno kazał szczirom zostać pod ziemią i zatkać sobie uszy, co?

Szemranie tłumu przeszło w stłumiony śmiech.

Zaklinacz spróbował jeszcze raz. Keith poczuł, jak włosy mu stają dęba.

Nagle pojawił się szczur. Poruszał się powoli po kamieniach, kiwając się to w jedną, to w drugą stronę, aż dotarł do nóg zaklinacza i przewrócił się, wydając wciąż z siebie warczący odgłos.

Ludzie otworzyli usta ze zdziwienia.

To był pan Klik.

Zaklinacz delikatnie go szturchnął nogą. Mechaniczny szczur potoczył się, ale sprężyna mechanizmu, nadwerężana przez miesiące wpadania w pułapki, nie wytrzymała. Rozległo się przeciągłe „piing!” i z zabawki wyskoczyła fontanna śrubek i kółek. Tłum wybuchnął głośnym śmiechem.

— Hmm... — Zaklinacz tym razem obdarzył Keitha spojrzeniem, w którym czaił się cień powściągliwego podziwu. — Moglibyśmy chwilę porozmawiać, chłopcze? Tutaj, za fontanną.

— Pod warunkiem że ludzie będą nas widzieć — odparł Keith.

— Nie ufasz mi, dzieciaku?

— Oczywiście, że nie.

Zaklinacz uśmiechnął się szeroko.

— Dobrze. Z pewnością masz zadatki na dobrego zaklinacza.

Rozsiadł się za fontanną. Wyciągnął do Keitha fujarkę. Była zrobiona z brązu, miała wzorek w kształcie szczurów i cała aż lśniła w słońcu.

— Jest twoja. A to naprawdę dobra fujarka. No bierz, proszę. Chciałbym usłyszeć, jak na niej grasz.

Keith przyglądał się niepewnie fletowi, który lśnił niczym promień słońca.

— To taka sztuczka, chłopcze — rzekł zaklinacz. — Widzisz tutaj tę przesuwaną płytkę? Jeśli ściągniesz ją w dół, fujarka zagra ton, którego ludzie nie słyszą. Ale słyszą szczury. Wariują od tego dźwięku. Wychodzą spod ziemi i możesz je zaprowadzić do rzeki niby owczarek goniący stado.

— I to cała tajemnica? — zapytał Keith.

— Oczekiwałeś czegoś więcej?

— No tak. Mówią, że potrafisz przemienić człowieka w borsuka i zaprowadzić dzieci do zaczarowanej jaskini, gdzie...

Zaklinacz pochylił się ku chłopcu konspiracyjnie.

— Reklama zawsze się opłaca, chłopcze. Miasteczka bywają odporne, kiedy mają rozstać się z kasą. Pamiętaj, takie rzeczy jak przemiana człowieka w borsuka czy temu podobne nigdy nie zdarzają się tutaj. Większość ludzi przez całe swoje życie nie ruszy się z miasta dalej niż na dziesięć mil. Uwierzą we wszystko, jeśli się to przytrafiło o pięćdziesiąt mil stąd. A opowieść raz opowiedziana zaczyna żyć własnym życiem i pracować na ciebie. Połowy z tego, co ludzie o mnie opowiadają, nawet sam nie wymyśliłem.

— Powiedz mi, czy spotkałeś kiedyś kogoś o imieniu Maurycy? — zapytał Keith.

— Maurycy? Maurycy? Nie wydaje mi się.

— Zadziwiająco — stwierdził Keith. Wziął flet i wbił wzrok w zaklinacza. — A teraz wyprowadzisz szczury z miasta. I będzie to najbardziej niezwykły z twoich wyczynów.

— Jak? Przecież wygrałeś, chłopcze.

— Wyprowadzisz szczury, bo tak właśnie powinno się stać — powiedział Keith, polerując flet o rękaw koszuli. — Dlaczego tyle sobie liczysz?

— Ponieważ damę im przedstawienie. Niezwykły strój, odgrywanie ważniaka...

drogie bilety wstępu to część zabawy. Musisz zaoferować im magię. Kiedy uznają, że jesteś tylko czymś odrobinę lepszym od szczurołapa, będziesz miał szczęście, jeśli zaproponują ci ser na obiad i uściskną rękę.

— Zrobimy to razem i szczury pójdą za nami, naprawdę pójdą prosto do rzeki. Nie musisz się nawet przejmować tą swoją dziwną nutą, to będzie jeszcze lepsze. To będzie... to będzie wielka... historia. I dostaniesz swoje honorarium. Ile to miało być? Trzysta dolarów, tak? Ale podzielimy się na pół, bo ja ci pomogę.

— W co ty się bawisz, chłopcze? Mówiłem ci już, że wygrałeś.

— Wszyscy wygrają. Zaufaj mi. Wezwali cię. Powinni ci zapłacić. Poza tym... nie chcę, by ludzie myśleli, że grajkom się nie płaci.

— A ja cię miałem za głupka! — Zaklinacz pokiwał głową. — Jaką umowę masz ze szczurami?

— Nie uwierzyłybyś. Nigdy byś w to nie uwierzył.

\* \* \*

Wsolance gnał tunelami, przedzierał się przez błoto i słomę, którymi zablokowali ostatnią piwnicę, i wreszcie wpadł do pomieszczenia z klatkami. Szczury z klanu odetkały na jego widok uszy.

— I co? Robi to? — zapytał Ciemnaopalenizna.

— Tak jest, sir! Właśnie teraz.

Ciemnaopalenizna spojrział na klatki. Kiikiisy po śmierci szczurzego króla i po nakarmieniu były spokojne. Ale czuł, jak bardzo chcą się stąd wydostać. A szczury ogarnięte paniką podążają za innymi szczurami...

— Dobra — powiedział. — Gońcy, przygotować się! Otworzyć klatki! Upewnijcie się, że biegną za wami! Już, już, już!

I to jest prawie koniec tej historii.

\* \* \*

Ależ tłum wrzeszczał, kiedy szczury wyłaziły z każdej dziury i kanału! Jak wiwatował, gdy obaj fleciści tanecznym krokiem opuścili miasto, a wszystkie szczury w płasach wyszły za nimi! Jak gwizdali, kiedy szczury zeskakiwały z mostu!

Nikt nie zauważył, że kilka z nich zostało na moście, poganiając inne okrzykami:

„Pamiętaj, silne regularne uderzenia!” i „Niedaleko jest bardzo przyjemna plaża!”, i „Uderz w wodę najpierw łapkami, to nie będzie tak bardzo bolało!”.

A jeśli nawet ktoś to zauważył, najprawdopodobniej nic nie powiedział. Takie szczegóły nie pasują do reszty historii.

Zaklinacz szczurów tanecznym krokiem poszedł dalej drogą między wzgórzami i już nigdy nie wrócił.

\* \* \*

Wszyscy wiwatowali. To było naprawdę znakomite przedstawienie, każdy się zgodził, chociaż trzeba przyznać, że trochę kosztowało. Ale było to coś, co można będzie opowiadać następnym pokoleniom.

Wyglądający na głupka chłopiec, który pojedynkował się z zaklinaczem, wrócił na rynek. On też otrzymał swoją porcję oklasków. Dzień jednak okazał się bardzo dobry. Ludzie zastanawiali się, czy mogą mieć więcej dzieci, żeby opowiadać im tę historię.

A kiedy pojawiły się inne szczury, zdali sobie sprawę, że mają dość do opowiadania nawet dla wnuków.

Nagle były wszędzie, wylewały się z rynien, kanałów i szczelin. Nie piszczały i nie biegały. Po prostu usiadły przed ludźmi.

— Hej, chłopcze! — zawołał burmistrz. — Zostawiłeś je.

— Nie, my nie jesteśmy szczurami, które pójdą za zaklinaczem — odezwał się głos. — My jesteśmy szczurami, z którymi musicie sobie poradzić.

Burmistrz spojrział w dół. Przy jego bucie stał szczur i spoglądał na niego. Najwyraźniej miał przytroczony do boku miecz.

— Ojciec — odezwała się z tyłu Malicia — wysłuchaj tego szczura.

— Ale to jest szczur!

— On dużo wie, ojciec. Wie, jak odzyskać pieniądze i jedzenie, i jak znaleźć ludzi, którzy nas okradali.

— Ale to jest szczur!

— Tak, ojciec. Ale jeśli porozmawiasz z nim właściwie, może nam pomóc.

Burmistrz wpatrywał się w szeregi klanu.

— Mamy rozmawiać ze szczurami?

— To byłby bardzo dobry pomysł, ojcze.

— Ale to są szczury! — Burmistrz najwyraźniej starał się trzymać tej myśli, jakby to była szalupa ratunkowa podczas szturmu na morzu, a on by utonął, gdyby ją puścił.

— Przepraszam, przepraszam — odezwał się koło niego głos. Burmistrz spojrział w dół i zobaczył uśmiechającego się brudnego, nadpalonego kota.

— Czy ten kot coś właśnie powiedział? — zapytał burmistrz.

— Który kot? — zapytał Maurycy.

— Ty. Czy ty właśnie coś mówiłeś?

— Czy poczujesz się lepiej, jeśli odpowiem: „nie”?

— Ale koty nie mówią!

— Cóż, nie mogę obiecać, że potrafię wygłosić, no wiesz, całą porządną mowę i w ogóle mnie nie prosz o dowcipne monologi — powiedział Maurycy. — Nie potrafię też dobrze wymawiać trudnych słów, takich jak „lumbago” czy „marmolada”. Całkowicie wystarcza mi umiejętność złośliwych uwag i zwykłej rozmowy. Mówiąc jako kot, chciałbym się dowiedzieć, co szczur ma do powiedzenia.

Podszedł Keith, obracając w dłoni swój nowy flet.

— Panie burmistrzu, nie sądzi pan, że już czas rozwiązać problem szczurów raz na zawsze?

— Rozwiązać? Ale...

— Jedyne, co powinien pan zrobić, to porozmawiać z nimi. Zebrać swoją radę i porozmawiać ze szczurami. Wszystko w pana rękach, burmistrzu. Oczywiście może też pan zacząć krzyczeć i wrzeszczeć, zawołać psy, ludzie mogą chwycić miotły i... jasne, szczury uciekną. Tyle że niezbyt daleko. I wrócą. — Nachylił się do ucha osłupiałego burmistrza i wyszeptał: — Będą żyć pod deskami pańskiej podłogi, sir. A one wiedzą, jak używać ognia. Wiedzą też wszystko na temat trucizn. O tak. Więc... lepiej posłuchać tego szczura.

— Czy on nas straszy? — zapytał burmistrz, spoglądając w dół na Ciemnaopaleniznę.

— Nie, panie burmistrzu — powiedział Ciemnaopalenizna. — Ja proponuję panu... — spojrział na Maurycego, który przytaknął — ... cudowną okazję.

— Ty naprawdę mówisz! — stwierdził burmistrz. — Czy potrafisz myśleć?

Ciemnaopalenizna westchnął. To była długa noc. I nie chciałby jej zapamiętać, nawet kawałka. A teraz czekał go jeszcze dłuższy i cięższy dzień. Westchnął znowu.

— Mam propozycję — powiedział. — Pan będzie udawał, że szczury potrafią myśleć. A ja zrewanżuję się tym samym w stosunku do ludzi.

## Rozdział 12

**— Dobra robota, szczurze Szymonie! — wykrzyknęły wszystkie zwierzęta z Omszałego Krańca.**

„Przygoda pana Królika”

W sali zgromadzeń na ratuszu zebrał się tłum, chociaż większość ludzi i tak musiała pozostać na zewnątrz, starając się zerkać ponad głowami innych, by zobaczyć, co się dzieje w środku.

Rada miejska stłoczyła się u jednego końca długiego stołu, u drugiego skupiło się kilkanaście szczurów.

A pośrodku siedział Maurycy. Znalazł się tam całkiem nagle, wskoczył z podłogi na stół.

Hopwick, zegarmistrz, wykrzyknął, starając się przekrzyczeć zgiełk:

— Mówimy do szczurów! Kiedy to się rozniesie, staniemy się pośmiewiskiem. „Miasto, które rozmawiało ze swymi szczurami!”. Słyszycie już to?

— Szczury nie są po to, byśmy do nich mówili — zawtórował mu Raufman, szewc, szturchając burmistrza paluchem. — Burmistrz, który znałby się na swojej robocie, posłałby po szczurołapów!

— Wiem od mojej córki, że szczurołapy są zamknięte w piwnicy — odparł burmistrz. Wpatrywał się w wymierzony w siebie palec.

— Zamknęły ich pańskie gadające szczury? — ironizował Raufman.

— Zamknęła ich moja córka — spokojnie odpowiedział burmistrz. — I proszę zabrać swój palec, panie Raufman. Malicia sprowadziła tam Straż Miejską. Postawiła bardzo poważne oskarżenia, panie Raufman. Twierdzi, że pod pomieszczeniem szczurołapów znajdują się ogromne zapasy jedzenia. Przez cały czas okradali nas i sprzedawali żywność kupcom rzeczonym. Czy główny szczurołap nie jest pańskim kuzynem, panie Raufman? Pamiętam, że bardzo panu zależało na tej nominacji.

Na zewnątrz zapanowało poruszenie. Uśmiechnięty szeroko sierżant Doppelpunkt przepchnął się przez tłum i położył na stole wielką kielbasę.

— Za jedną kielbasę trudno nazwać kogoś złodziejem — odparował Raufman.

Tumult na dworze wzmógł się, ludzie robili przejście dla bardzo powoli idącego kaprała Knopfa. Dlaczego tak wolno szedł, wyjaśniło się, gdy złożył na stole swój

ładunek: trzy worki ziarna, osiem pęt kiełbas, baryłkę buraków ćwikłowych i piętnaście głów kapusty.

Sierżant Doppelpunkt elegancko zasalutował przy wtórze stłumionych przekleństw i odgłosów spadających na podłogę kapuścianych głów.

— Proszę o pozwolenie zebrania sześciu chłopca, by pomogli nam przynieść resztę, sir! — wykrzyknął uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Gdzie szczurołapy? — zapytał burmistrz.

— W głębokich... kłopotach, sir — odparł sierżant. — Zapytałem, czy chcą wyjść, ale uznali, że zostaną tam jeszcze trochę, choć dziękują za propozycję, tylko bardzo proszą o wodę i czyste spodnie.

— Czy to wszystko, co mieli do powiedzenia?

Sierżant Doppelpunkt zerknął do swego notatnika.

— Nie, sir. Mówili dużo więcej. A właściwie płakali. Powiedzieli, że przyznają się do wszystkiego za czyste spodnie. Poza tym, sir, znaleźliśmy to.

Sierżant cofnął się i po chwili wrócił z ciężką skrzynką, którą postawił na wypoliturowanym stole.

— Działając na podstawie informacji otrzymanej od szczura, spojrzeliśmy pod wskazaną deskę w podłodze. Tu musi być ponad dwieście dolarów.

— Otrzymaliście informację od szczura?

Sierżant wyciągnął z kieszeni Sardynki. Szczur posilał się krakersem, ale bardzo uprzejmie zdjął kapelusz.

— Czy to czasem nie jest... niehigienicznie? — zapytał burmistrz.

— Nie, szefie, on umył ręce — odparł Sardynki.

— Zwracam się do sierżanta!

— Nie, sir. Bardzo miły szczur, sir. Czyściutki. Przypomina mi chomika, którego hodowałem w dzieciństwie, sir.

— No cóż, w porządku, sierżancie, dobra robota, proszę iść i...

— Miał na imię Horacy. — Sierżant był pełen dobrej woli.

— Dziękuję, sierżancie, a teraz...

— Miło popatrzeć na te małe policzki wydymające się od jedzenia.

— Dziękuję, sierżancie!!!

Kiedy Doppelpunkt wyszedł, burmistrz odwrócił się w stronę pana Raufmana,

który miał na tyle honoru, by wyglądać na zakłopotanego.

— Ledwo go znam — powiedział. — To jest po prostu ktoś, za kogo wyszła moja siostra. Nawet rzadko go widywałem.

— W pełni to rozumiem — odparł burmistrz. — Nie mam zamiaru prosić sierżanta, by sprawdził pańską spiżarnię. — Parsknął śmiechem i dodał: — Na razie. O czym mówiliśmy?

— Miałem wam opowiedzieć historię — odezwał się Maurycy.

Rajcy gapili się na kota oniemiaли.

— A ty masz na imię...? — zapytał burmistrz, który nagle wpadł w bardzo dobry humor.

— Maurycy — odpowiedział Maurycy. — Jestem negocjatorem z wolnej stopy. Widzę, że rozmowa ze szczurami sprawia wam kłopot. Ale z kotami ludzie lubią rozmawiać, czyż nie?

— Jak w książce Dicka Livingstone'a? — zapytał Hopwick.

— Tak, zgadza się, jak u niego i... — zaczął Maurycy.

— Jak w kreskówkach? — zapytał kapral Knopf.

— Jak w książkach. — Maurycy zmarszczył brwi. — Chciałem powiedzieć, że koty rozmawiają ze szczurami, prawda? A ja zamierzam opowiedzieć wam historię. Ale najpierw chciałbym poinformować tu zebranych, że moi klienci, to znaczy szczury, opuszczą to miasto, jeśli tego chcecie, i już nigdy tu nie wrócą. Nigdy.

Ludzie nadal gapili się na niego. Szczury też.

— Tak zrobimy? — zapytał Ciemnaopalenizna.

— Tak zrobią? — zapytał burmistrz.

— Tak — rzekł Maurycy. — A teraz opowiem wam historię szczęśliwego miasta. Nie znam jeszcze jego nazwy. Wyobraźmy sobie, że moi klienci opuszczą Lśniący Zdrój i ruszą w dół rzeki, dobrze? Idę o zakład, że co rusz leży tam jakieś miasto. I gdzieś istnieje takie, które — założmy — podpisze umowę ze szczurami. I to będzie właśnie bardzo szczęśliwe miasto, ponieważ będą tam obowiązywać zasady, rozumiecie?

— Niezupełnie — odparł burmistrz.

— No cóż, założmy, że w tym szczęśliwym mieście jakaś pani przygotowuje blachę ciasteczek. Wtedy wystarczy, że podejdzie do najbliższej szczurzej dziury i krzyknie: „Dzień dobry, szczury! Jest tu dla was jedno ciasteczko, byłabym

zobowiązana, gdybyście nie ruszały reszty”. Szczury odpowiedzą: „Oczywiście, droga pani, to żaden problem”. A potem...

— Chcesz nam powiedzieć, że mamy przekupywać szczury? — powiedział z niedowierzaniem burmistrz.

— To wychodzi taniej niż zaklinacz. I niż kilku szczurołapów — rzekł Maurycy. — Poza tym to będą opłaty. Już słyszę krzyk, za co opłaty.

— Czy ja coś krzyknąłem? — zapytał burmistrz.

— Nie, ale zaraz pan to zrobi. A ja zaraz wam powiem, że te opłaty będą za... za... za ochronę przed szkodnikami.

— Co? Ależ to przecież szczury są...

— Nie wypowiadaj tego słowa — powiedział Ciemnaopalenizna.

— Takimi szkodnikami jak karaluchy — ciągnął Maurycy. — Widzę, że sporo ich tu macie.

— Czy one potrafią mówić? — zapytał burmistrz. To, co teraz malowało się na jego twarzy, było charakterystyczne dla każdego, kto zbyt długo rozmawiał z Maurycym. Widniało na niej: „Idę tam, gdzie nie chciałem iść, ale nie umiem zmienić tej drogi”.

— Nie — odparł Maurycy. — Ani myszy, ani nornice, ani inne szczury. Dla tego szczęśliwego miasta robactwo stanie się całkowitą przeszłością, ponieważ nasze nowe szczury zadziałają jak siły policyjne. Strażnicy klanu będą pilnowali waszych spiżarni... przepraszam, mam na myśli spiżarnie tego szczęśliwego miasta. Żaden szczurołap nie jest więcej potrzebny. Pomyślcie o oszczędnościach. Ale to tylko początek. W tym szczęśliwym mieście rzeźbiarze staną się bogaci.

— W jaki sposób? — zapytał natychmiast Hauptmann, rzeźbiarz.

— Ponieważ szczury będą dla nich pracować — odparł Maurycy. — Przecież muszą cały czas coś gryźć, żeby piłować zęby, więc równie dobrze mogą wycinać zegary z kukułką. Zegarmistrzom też będzie się żyło dobrze.

— Dlaczego? — zapytał Hopwick, zegarmistrz.

— Małe łapki bardzo dobrze sobie radzą z małymi sprężynkami i takimi tam — odparł Maurycy. — A potem...

— Czy będą robiły tylko zegary z kukułką, czy potrafią też inne rzeczy? — chciał dowiedzieć się Hauptmann.

— ...i trzeba wziąć pod uwagę aspekt turystyczny — kontynuował swoją wizję Maurycy. — Na przykład Szczurzy Zegar. Słyszeliście o zegarze, jaki mają w Bonk na rynku? Małe ludziki, które pokazują się co kwadrans i uderzają w dzwonki. Bing, bong, bong! Bing, bong, bong! Bardzo znane, można to zobaczyć na kartach pocztowych. Wielka atrakcja. Ludzie przyjeżdżają z bardzo daleka tylko po to, żeby stać i czekać na takie wydarzenie. No cóż, w szczęśliwym mieście szczury będą uderzać w dzwonki!

— Chcesz więc nam powiedzieć — odezwał się zegarmistrz — że jeśli my... to znaczy ci ludzie ze szczęśliwego miasta będą mieli taki specjalny zegar ze szczurami, ludzie mogą chcieć go oglądać?

— I stać wokół, czekając na wybicie kolejnego kwadransa? — dodał ktoś.

Ludzie zaczęli sobie wyobrażać tę scenę.

— Kubki z wizerunkiem szczurów — powiedział garncarz.

— Wygryzione pięknie drewniane miseczki i talerzyki — rozmarzył się Hauptmann.

— Pluszowe szczurki do zabawy.

— Szczury-ciągutki.

Ciemnaopalenizna wziął głęboki wdech. Maurycy dodał szybciotko:

— Świetny pomysł. Zrobione z toffi oczywiście. — Spojrzał w stronę Keitha. — Podejrzewam też, że miasto mogłoby chcieć zatrudnić własnego zaklinacza szczurów. No wiecie, na wszelkie uroczystości. „Można sobie tu zrobić zdjęcie z zaklinaczem i jego szczurami”... tego typu rzeczy.

— Jakaś szansa na teatrzyk? — odezwał się cichutki głosik.

Ciemnaopalenizna obrócił się na pięcie.

— Sardynki!

— Ależ szefie, każdy ma mieć w tym jakiś swój udział! — zaprotestował Sardynki.

— Maurycy — odezwał się Niebezpieczny Groszek, ciągnąc kota za nogę. — Musimy o tym porozmawiać.

— Przepraszam na moment. — Maurycy rzucił burmistrzowi szybki uśmiech. — Muszę się skonsultować z moimi klientami. Oczywiście — dodał — rozmawiamy o szczęśliwym mieście. Którym z pewnością nie będzie Lśniący Zdrój, ponieważ kiedy tylko wyniosą się stąd moi klienci, pojawią się nowe szczury. Zawsze znajdzie się

więcej szczurów. I one nie będą mówić, w związku z tym nie będzie żadnych zasad i znowu będą się kąpać w śmietanie, a wy znowu będziecie musieli znaleźć nowych szczurołapów, którym będziecie mogli zaufać, no a z pieniędzmi będzie bieda, bo wszyscy turyści wyniosą się do tamtego miasta. To tylko taka myśl.

Przedefilował po stole, podchodząc do szczurów.

— Ależ mi dobrze poszło! — pochwalił się. — Powinienem dostawać od was dziesięć procent. Wasze wizerunki na miseczkach! No, no!

— I o to walczyliśmy przez całą noc? — zapytał Ciemnaopalenizna. — Żeby zostać zwierzątkami domowymi?

— Maurycy, to nie w porządku — powiedział Niebezpieczny Groszek. — Z pewnością lepiej byłoby zaapelować do wspólnoty między inteligentnymi gatunkami niż...

— Nic nie wiem o żadnym inteligentnym gatunku. Układamy się z ludźmi — odparł Maurycy. — Wiecie coś na temat wojen? Bardzo popularne wśród ludzi. Jedni ludzie walczą z innymi ludźmi. Wspólnota ludzka nie jest bardzo wspólna.

— Tak, ale my nie...

— Teraz posłuchaj — rzekł Maurycy. — Dziesięć minut temu ci ludzie uważali was za szkodników. Teraz myślą, że możecie być... użyteczne. Kto wie, co im wmówię za pół godziny?

— Chcesz, żebyśmy dla nich pracowali? — zapytał Ciemnaopalenizna. — Zdobyliśmy sobie miejsce tutaj! Wywalczyliśmy!

— Będziesz pracował dla siebie — odparł Maurycy. — Zrozum, ci ludzie tutaj nie są filozofami. Są... zwyczajni. Nie znają się na tunelach. Chcą handlować. Musisz ich podejść z odpowiedniej strony. Przecież naprawdę będziecie trzymać z daleka inne szczury i nie będziecie zanieczyszczać dżemów, więc możecie za to przyjąć podziękowania. — Po chwili spróbował jeszcze raz. — Czeka nas jeszcze sporo pokrzykiwań, zgoda. Ale wcześniej czy później musicie zacząć rozmawiać. — Widząc wciąż w ich oczach niedowierzanie, westchnął w desperacji: — Sardynki, pomóż mi.

— On ma rację, szefie. Musisz zrobić dla nich przedstawienie — powiedział Sardynki, wykonując przy tym kilka nerwowych kroczków.

— Będą się z nas śmiali! — gorzko stwierdził Ciemnaopalenizna.

— Lepiej żeby się śmiali, niż krzyczeli, szefie. To na początek. Trzeba tańczyć,

szefie. Możesz myśleć i możesz walczyć, ale świat ciągle idzie do przodu i jeśli też chcesz pozostać w przodzie, musisz tańczyć. — Zdjął kapelusz i zakręcił laseczką, na co siedzący po drugiej stronie stołu ludzie zareagowali głośnym śmiechem. — Widzicie? — powiedział.

— Miałem nadzieję, że istnieje jakaś wyspa — powiedział Niebezpieczny Groszek — gdzie szczury mogą być prawdziwie szczurami.

— I widzimy, gdzie nas to doprowadziło — stwierdził Ciemnaopalenizna. — Wiesz co, nie wydaje mi się, by dla takich jak my istniała wyspa, do której moglibyśmy dotrzeć. Nie dla takich jak my. — Westchnął. — Jeśli gdzieś istnieje miejsce, które moglibyśmy nazwać cudowną wyspą, to właśnie tutaj. Ale ja nie zamierzam tańczyć.

— To taka figura retoryczna, szefie, tylko figura retoryczna — rzekł Sardynki, przeskakując z nogi na nogę.

Z drugiej strony stołu doszło ich łupnięcie. To burmistrz walnął pięścią w stół.

— Musimy być praktyczni! — zagrzmiał. — Czy może być gorzej, niż było? One potrafią mówić. Nie mam zamiaru przechodzić przez to wszystko raz jeszcze, zrozumiano? Mamy jedzenie, odzyskaliśmy większość pieniędzy, przetrwaliśmy wizytę zaklinacza... te szczury przyniosły nam szczęście...

Keith i Malicia podeszli do szczurów.

— Wygląda na to, że mój ojciec doszedł do tych samych wniosków — powiedziała Malicia. — Co z wami?

— Dyskusja trwa — odparł Maurycy.

— Ja... noo... zaraz... Maurycy powiedział mi, gdzie tego szukać, i znalazłam to w tunelu... — Malicia wyjęła coś z torby. Kartki były posklejane i zniszczone od wody, i zostały znowu razem zszyte bardzo niewprawną ręką, ale można było poznać, że to książeczka „Przygoda pana Królika”. — Musiałam pootwierać mnóstwo kratek ściekowych, żeby odnaleźć wszystkie kartki.

Szczury milczały. Patrzyły to na książeczkę, to na Niebezpiecznego Groszka.

— To jest „Przygoda...” — zaczęła Śliczna.

— Wiem. Czuję — powiedział Niebezpieczny Groszek.

Szczury znowu patrzyły na szczątki książeczki.

— Same kłamstwa — stwierdziła Śliczna.

— A może po prostu ładna opowieść — rzekł Sardynki.

— Tak — odezwał się Niebezpieczny Groszek. — Tak. — Zwrócił swe zamglone różowe oczy na Ciemnąopaleniznę, który musiał się powstrzymać, żeby przed nim nie przykucnąć, i dodał: — Być może, jest to mapa.

\* \* \*

Gdyby to była opowieść, a nie prawdziwe życie, to ludzie i szczury uścisnęliby sobie dłonie i ruszyli wspólnie w jasną nową przyszłość.

Ale ponieważ to jest prawdziwe życie, trzeba było napisać kontrakt. Wojna, która toczyła się od czasów, gdy pierwsi ludzie zamieszkali w domach, nie może się zakończyć tylko promiennym uśmiechem. I musi powstać komitet. I tyle szczegółów trzeba przedyskutować. Zaangażowała się w to rada miejska i większość starszyny szczurzej, a Maurycy spacerował z jednej strony stołu na drugą jako łącznik.

Ciemnaopalenizna zasiadł po jednej stronie. Tak naprawdę to chciało mu się tylko spać. Bolały go rany, bolały go zęby i nie jadł od wieków. Godzinami argumenty krzyżowały się nad jego umęczoną głową. Nie zwracał uwagi, kto co mówi. Wydawało się, że wszyscy mówią naraz.

— Następny punkt: wszystkie koty mają obowiązek noszenia dzwoneczków. Zgoda?

— Czy moglibyśmy jeszcze na chwilę wrócić do punktu trzydziestego, panie... hmm, Maurycy? Powiedziałeś, że zabicie szczura będzie się traktowało jak morderstwo.

— Tak. Oczywiście.

— Ale to jest tylko...

— Mów do łapy, panie, bo wąż nie chce tego słyszeć!

— Ten kot ma rację — zgodził się burmistrz. — Burzy pan porządek, panie Raufman. Przez to już przechodziliśmy.

— A jeżeli szczur mi coś ukradnie?

— Hmm, to będzie kradzież i szczur będzie musiał stanąć przed sądem.

— Ach tak, młoda damo?

— Mam na imię Śliczna. Jestem szczurem.

— I... no, miejscy strażnicy będą w stanie odnaleźć go w tunelach?

— Tak. Ponieważ wśród strażników będą też strażnicy szczury. Tak musi być —

stwierdził Maurycy. — To żaden problem.

— Naprawdę? A co o tym sądzi sierżant Doppelpunkt? Sierzancie Doppelpunkt?

— Ja... no nie wiem, sir. Powinno być w porządku. Ja nie wejść w szczurzą dziurę. Tylko trzeba będzie zrobić mniejsze odznaki, to jasne.

— Ale chyba nie proponuje pan, by szczur mógł zaaresztować człowieka?

— Ależ tak, sir — powiedział sierżant.

— Co?

— No cóż, ja jestem zaprzysiężonym prawnie strażnikiem... nie ma przepisu, że nie wolno mi aresztować kogoś większego ode mnie, prawda? Szczur strażnik może być bardzo przydatny. Znają świetny trik, który polega na tym, że wbiegają po nogawce od spodni i...

— Panowie, czy możemy kontynuować? Proponuję, by tym punktem zajęła się specjalna podgrupa.

— Którym, sir? Jesteśmy już przy siedemnastym!

Jeden z rajców chrapnął. To był dziewięćdziesięcioletni pan Schlummer, który spokojnie przespał cały poranek. Chrapnięcie oznaczało, że się budzi.

Przyjrzał się obu stronom stołu. Poruszał wąsami.

— Tu siedzi szczur! — wykrzyknął. — Patrzcie no, jaki bezczelny! Szczur! W kapeluszu.

— Tak jest, sir — powiedział ktoś z boku. — To spotkanie zwołano, by porozmawiać ze szczurami.

Pan Schlummer zaczął szukać w kieszeni okularów.

— A to co? — Przyjrzał się dokładniej. — Czy ty przypadkiem nie jesteś także szczurem?

— Tak jest, sir. Mam na imię Odżywka. Przyszliśmy tutaj, żeby porozmawiać z ludźmi. I skończyć z kłopotami.

Pan Schlummer długo patrzył na szczurzycę. Potem przeniósł wzrok na stół, gdzie stał Sardynki, który uniósł kapelusz. Wreszcie spojrzał na burmistrza, który przytaknął. Jeszcze raz potoczył wzrokiem po wszystkich zebranych, poruszając ustami, jakby sam sobie opowiadał, co widzi, żeby to sobie lepiej poukładać.

— Czy wy wszyscy mówicie? — zapytał wreszcie.

— Tak, sir — odparła Odżywka.

— W takim razie... kto słucha?

— Zmieniamy się — rzekł Maurycy.

Pan Schlummer przyjrzał mu się uważnie.

— Czy jesteś kotem?

— Tak, sir.

Pan Schlummer powoli przetrawił i tę wiadomość.

— Myślałem, że szczury trzeba tępić — powiedział wreszcie, jakby nie był już tego całkiem pewien.

— Tak, ale teraz już jest przyszłość — poinformował go Maurycy.

— Przyszłość? — zdziwił się pan Schlummer. — Naprawdę? Zawsze się zastanawiałem, kiedy to nastąpi. Hm. Teraz także koty mówią? Dobra. W takim razie ruszajmy ze sprawami, które, hmm... no, ze sprawami, które powinno się ruszyć. Obudź mnie, kiedy przyniosą herbatę, kiciu.

— Hmm... nie wolno się zwracać do kota „kiciu”, jeśli się ma więcej niż dziesięć lat — powiedziała Odżywka.

— Punkt dziewiętnasty be — zdecydowanie oświadczył Maurycy. — Nikt nie będzie używał zdrobnień na określenia kota, chyba że zamierza natychmiast dać mu jeść. To mój punkt — oświadczył dumnie.

— Naprawdę? — zdziwił się pan Schlummer. — Daję słowo, przyszłość jest dziwna. Powiedziałbym, że wszystko trzeba uporządkować.

Zapadł znowu w swój fotel, z którego po chwili dobiegło chrapanie.

Szczury i ludzie powrócili do dyskusji, która trwała i trwała. Wszyscy dużo mówili. Niektórzy nawet słuchali. Od czasu do czasu zgadzali się... przechodzili do kolejnego punktu... i znowu dyskutowali. Stos papieru na stole robił się coraz wyższy i wyglądał coraz bardziej i bardziej oficjalnie.

Ciemnaopalenizna kolejny raz się ocknął i zdał sobie sprawę, że z drugiego końca stołu patrzy na niego w zamyśleniu burmistrz.

Ojciec Malicii cofnął się i powiedział coś do stojącego za nim urzędnika, który skinął głową, okrążył stół i pochylił się nad Ciemnaopalenizną.

— Czy... mnie... rozumiesz? — powiedział, wymawiając każde słowo bardzo starannie.

— Tak... nie... jestem... głupi — odparł Ciemnaopalenizna.

— Hmm... pan burmistrz pyta, czy nie zechciałbyś się z nim spotkać na osobności. W biurze za tymi drzwiami. Mogę pomóc ci zejść, jeśli sobie życzysz.

— A ja mogę cię ugryźć w palec, jeśli sobie tego życzysz.

Burmistrz już szedł w stronę drzwi. Ciemnaopalenizna zsunął się na podłogę i podążył za nim. Nikt nie zwrócił na nich uwagi.

Burmistrz poczekał, żeby cały ogon Ciemnejopalenizny znalazł się za progiem, po czym zamknął drzwi.

Pokój był mały i zabałaganiony. Wszędzie leżały papiery. Ściany zabudowane były półkami na książki, ponadto książki i różne papiery powkładane zostały w przestrzenie między książkami a półkami i w każdą wolną przestrzeń.

Burmistrz, poruszając się z przesadną ostrożnością, podszedł do dość zniszczonego obrotowego fotela i spojrzał w dół na Ciemnąopaleniznę.

— Nie chcę popełnić błędu — powiedział. — Uznałem, że powinniśmy chwilę porozmawiać tylko we dwóch. Czy mogę cię podnieść? Byłoby mi łatwiej z tobą rozmawiać, gdybyś siedział na biurku...

— Mnie byłoby łatwiej rozmawiać, gdybyś położył się płasko na podłodze. — Ciemnaopalenizna westchnął. Był zbyt zmęczony na takie gierki. — Jeśli położysz rękę na podłodze, ja na nią wejdę i wtedy możesz mnie podnieść na wysokość biurka. Ale uważaj, bo mogę ci odgryźć kciuk.

Burmistrz podniósł go niezwykle ostrożnie. Ciemnaopalenizna wskoczył na stosy papierów, pustych kubków i starych ołówków, które zalegały na pokrytym skórą blacie biurka.

— Hmm... czy masz dużo papierkowej roboty? — zapytał burmistrz.

— Śliczna wszystko zapisuje — odparł Ciemnaopalenizna tępo.

— To ta mała szcurzyca, która zawsze chrząka, zanim się odezwie?

— Zgadza się.

— Ona jest bardzo... stanowcza, prawda? Muszę przyznać, że nieźle wystraszyła niektórych radnych, cha, cha.

— Cha, cha. — Ciemnaopalenizna dostrzegł teraz, że burmistrz jest spocony i wygląda na bardzo zmęczonego.

— Czy dobrze się urządziłeś w naszym mieście? — Burmistrz rozpaczliwie szukał tematu do rozmowy.

— Ostatniej nocy walczyłem z psami, potem przez chwilę myślałem, że jestem zatrzaśnięty w pułapkę — wyliczał Ciemnaopalenizna lodowatym tonem. — A wreszcie wziąłem udział w czymś w rodzaju wojny. Poza tym nie mam się na co skarżyć.

Burmistrz wyglądał na tak wykończonego, jak Ciemnaopalenizna się czuł. Po raz pierwszy za swojej pamięci Ciemnaopalenizna czuł współczucie dla człowieka.

— Posłuchaj — rzekł. — To może się udać. Jeśli oczywiście chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę.

Burmistrz nieco się rozpogodził.

— Naprawdę? Strasznie się kłóć.

— Dlatego właśnie uważam, że to się może udać. Ludzie i szczury pertraktują. Nie zatruwacie sera dla nas, a my nie pozostawiamy odchodów w dżemach. To nie będzie łatwe, ale jest jakiś początek.

— O coś muszę cię zapytać — powiedział burmistrz.

— Tak?

— Moja córka twierdzi, że jesteście bardzo... rozwinięci. Umiecie zatruć nasze studnie. Umiecie podpalić nasze domy. Dlaczego mielibyście tego nie zrobić?

— Po co? Co czekałoby nas potem? Poszlibyśmy do kolejnego miasta. I musielibyśmy przechodzić przez to wszystko jeszcze raz. Czy zabicie was dałoby nam coś dobrego? Wcześniej czy później musielibyśmy rozmawiać z ludźmi. Równie dobrze możemy rozmawiać z wami.

— Cieszę się, że nas lubicie — odetchnął burmistrz.

Ciemnaopalenizna już otwierał pyszczek, żeby powiedzieć: Lubimy was? Nie, po prostu nie nienawidzimy was aż tak bardzo. Nie jesteśmy przyjaciółmi.

Ale...

Nie będzie więcej walk psów ze szczurami. Nie będzie więcej pułapek i trucizny. To prawda, że czeka go wyjaśnienie klanowi, co to jest policjant i dlaczego szczur strażnik może ścigać szczura, który złamał nowe prawa. Nie będzie im się to podobało. Wcale nie będzie im się to podobało. Nawet szczur, który nosi na sobie ślady zębów Kościanego Szczura, będzie miał z tym problem. Ale tak jak powiedział Maurycy: oni ustąpią tu, a wy ustąpicie tam. Nikt nie straci zbyt wiele, a wszyscy dużo zyskają. Miasto będzie się rozwijać, wszystkie dzieci dorosną i nagle takie życie stanie się normalne.

Każdy lubi, kiedy jest normalnie. A nie lubi, kiedy ktoś chce normalność zmienić. W takim razie warto chyba spróbować, pomyślał Ciemnaopalenizna.

— Teraz ja chcę ci zadać pytanie — powiedział. — Jesteś tu przywódcą... od jak dawna?

— Od dziesięciu lat.

— Czy nie jest ci ciężko?

— Jest. Bardzo. Przez cały czas wszyscy się ze mną kłóca. Chociaż muszę przyznać, że liczę na więcej spokoju, jeśli nam się uda. Ale to nie jest lekka praca.

— Idiotyczne, kiedy trzeba się cały czas wydzierać tylko po to, żeby coś zostało zrobione — stwierdził Ciemnaopalenizna.

— Zgadzam się — przytaknął burmistrz.

— I wszyscy oczekują, że podejmiesz decyzje — powiedział Ciemnaopalenizna.

— Prawda.

— Nasz ostatni przywódca dał mi przed śmiercią radę. Wiesz, co powiedział? „Nie zjadaj tego galaretowatego, trzęsącego się zielonego kawałka”!

— Czy to dobra rada? — zapytał burmistrz.

— Dobra — rzekł Ciemnaopalenizna. — Ale jemu wystarczyło być dużym, silnym i pokonać wszystkie szczury, które chciałyby zająć jego miejsce.

— To trochę przypomina moje starcia z rajcami — zauważył burmistrz.

— Co? — zdziwił się Ciemnaopalenizna. — Gryziesz ich w karki?

— Jeszcze nie, ale to niezła myśl.

— Ta praca jest znacznie bardziej skomplikowana, niż mi się kiedykolwiek wydawało! — Ciemnaopalenizna był coraz bardziej zdziwiony. — Kiedy nauczyłeś się krzyżeć, musisz nauczyć się, by tego nie robić!

— Z tym też się zgadzam — powiedział burmistrz. — Tak właśnie to działa.

Położył dłoń na stole, wewnętrzną stroną do góry.

— Mogę prosić? — zapytał.

Ciemnaopalenizna wkroczył na tę dłoń. Nawet się nie zachwiał, kiedy burmistrz przeniósł go do okna i postawił na parapecie.

— Czy widzisz rzekę? — zapytał burmistrz. — Widzisz domy? Widzisz ludzi na ulicach? Muszę sprawiać, żeby to działało. No, nie mam na myśli rzeki, oczywiście, ona działa sobie sama. A kiedy mija kolejny rok, okazuje się, że nie zdenerwowałem ludzi

na tyle, by wybrali na moje miejsce kogoś innego. Więc muszę to robić dalej. Wcześniej nie wiedziałem, że to jest aż tak skomplikowane.

— Co, ty też? — zdziwił się Ciemnaopalenizna. — Ale przecież ty jesteś człowiekiem.

— Ha! I myślisz, że jest mi łatwiej? A ja uważałem, że szczirom jest łatwiej, bo są dzikie i wolne!

— Hmm... — mruknął Ciemnaopalenizna i zamyślił się głęboko.

Przez okno widzieli Keitha i Malicię pogrążonych w rozmowie.

— Gdybyś miał ochotę — powiedział burmistrz — mógłbyś mieć tutaj swoje biurko...

— Zostanę pod ziemią, ale bardzo ci dziękuję — odparł Ciemnaopalenizna. — Biureczka za bardzo przypominają mi pana Królika.

Burmistrz westchnął.

— Pewnie tak. Ja... — wyglądał, jakby miał się zwierzyć ze wstydliwego sekretu. — Kiedy byłem małym chłopcem, bardzo lubiłem te książki. Oczywiście wiedziałem, że to wszystko nonsens, ale i tak miło było pomyśleć, że...

— Tak, tak — przerwał mu Ciemnaopalenizna. — Ale pan Królik był głupi. Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby króliki mówiły?

— To prawda. Nigdy nie przepadałem za królikiem. Ale postacie drugoplanowe były świetne. Szczur Szymon i bażant Bartłomiej, i wąż Olly.

— Daj spokój. Olly miał kołnierzyk i krawat.

— No i co z tego?

— Przecież by się na nim nie utrzymały. Wąż ma kształt tuby.

— A wiesz, nigdy o tym nie pomyślałem — przyznał burmistrz. — To naprawdę głupie. Wsunąłby się z niego, prawda?

— A kamizelki nie sprawdziłyby się na szczurach.

— Nie?

— Nie — odrzekł zdecydowanie Ciemnaopalenizna. — Próbowałem. Pasy na narzędzia mogą być, ale nie kamizelki. Niebezpieczny Groszek był bardzo tym zawiedziony. Powiedziałem mu, że musimy być praktyczni.

— Zawsze to samo powtarzam mojej córce — powiedział burmistrz. — Bajki to bajki. Życie jest wystarczająco skomplikowane. W prawdziwym życiu musimy

planować. Na fantazje nie ma już miejsca.

— Właśnie — zgodził się z nim Ciemnaopalenizna.

I tak rozmawiali ze sobą człowiek i szczur, aż nadszedł wieczór.

\* \* \*

Pewien człowiek malował mały obrazek pod tabliczką z nazwą ulicy, a była to ulica Rzeczna. Obrazek znajdował się sporo poniżej, tuż nad chodnikiem, tak że człowiek musiał klęknąć. Cały czas zerkał na skrawek papieru, który trzymał w ręce.

Widniał tam taki rysunek:

Keith roześmiał się.

— Co cię tak śmieszy? — zapytała Malicia.

— To w szczurzym alfabecie — wyjaśnił jej Keith. — Oznacza woda plus szybko plus kamienie. Ulica jest wybrukowana. Dla szczurów bruk to kamienie. Czyli ulica Rzeczna.

— Nazwy ulic w obu językach. Paragraf sto dziewięćdziesiąty trzeci — powiedziała Malicia. — Szybcy są. Dogadali się ledwie dwie godziny temu. Jak sądzę, będą też ludzkie oznaczenia w szczurzych tunelach.

— Mam nadzieję, że nie.

— Dlaczego?

— Bo szczury większość miejsc oznaczają odchodami.

Malicia ani trochę się nie skrzywiła, czym bardzo zaimponowała Keithowi.

— Widzę, że wszyscy będziemy musieli się mentalnie przestawić w wielu kwestiach — stwierdziła z namysłem. — Tylko Maurycy dziwnie się zachowuje. A przecież mój ojciec mu powiedział, że mnóstwo miłych starszych pań z naszego miasta oferuje mu dom.

— Masz na myśli jego oświadczenie, że to wcale nie będzie zabawne? — zapytał Keith.

— Tak. O co mu chodziło?

— Chodziło mu o to, że on jest Maurycym. Myślę, że naprawdę był w swoim żywiole, spacerując z jednego końca stołu na drugi i wydając wszystkim polecenia. Nawet oświadczył, że szczury mogą sobie zatrzymać wszystkie pieniądze! Podobno głos w jego głowie powiedział mu, że tak naprawdę należą do nich!

Malicia dumiała jakiś czas.

— A... a czy ty zostajesz? — zapytała wreszcie.

— Paragraf dziewiąty, miejski zaklinacz szczurów — powiedział Keith. — Mam oficjalny strój, którego nie muszę dzielić z nikim innym, kapelusz z piórem i pozwolenie na fujarkę.

— To będzie... dobre rozwiązanie — przyznała Malicia. — Bo ja...

— Tak?

— Kiedy mówiłam ci, że mam dwie siostry, to... nie była całkiem prawda — przyznała. — To też... nie było do końca kłamstwo, oczywiście, ale powiedzmy... przewidywanie przyszłości.

— Tak?

— Gdybym chciała być zupełnie szczerą, to... nie mam żadnych sióstr.

— Aha — stwierdził Keith.

— Ale oczywiście mam miliony przyjaciół — mówiła dalej.

Keith pomyślał, że Malicia jest przeraźliwie smutna.

— To zadziwiające — powiedział. — Większości ludzi wystarcza parę tuzinów.

— Miliony — powtórzyła. — Ale zawsze się znajdzie miejsce na jeszcze jednego.

— To dobrze — oświadczył Keith.

— No i jest jeszcze, no ten, paragraf piąty. — Malicia wciąż wyglądała na zdenerwowaną.

— A, tak — przytaknął Keith. — Wszystkich zadziwił. „Obfity podwieczorek z maślanymi bułeczkami i z wręczeniem medalu”, zgadza się?

— Tak — oświadczyła Malicia. — Bez tego nie byłoby porządnego zakończenia. A więc, czy będziesz mi towarzyszył?

Keith skinął głową. Przyjrzał się miastu. Wyglądało na całkiem miłe. I było odpowiedniej wielkości. Człowiek mógł znaleźć tu dla siebie przyszłość...

— Tylko jeszcze jedno pytanie — powiedział.

— Tak? — spytała pokornie Malicia.

— Ile czasu potrzeba, by zostać burmistrzem?

\* \* \*

Jest takie miasto w Überwaldzie, gdzie co kwadrans z zegara na wieży wychodzą szczury i uderzają w dzwonki.

Ludzie przyglądają się temu i biją brawo, i kupują na prezenty — wygryzione we wzorki kubki i talerze, i zegary, i inne przedmioty, które nie mają innego przeznaczenia ponad to, by je kupić i zabrać do domu. Ludzie chodzą do Muzeum Szczurów i zjadają szczurze ogonki w cukrze (z certyfikatem, że nie ma w tym szczurzych ogonków), kupują też szczurze uszka, które się przypina do ubrania, i książki o szczurzej poezji pisanej w szczurzym języku, i mówią: „Jakie to niezwykle”, kiedy chodzą ulicami i przyglądają się szczurzym nazwom ulic, i dziwią się, że całe miasteczko jest takie czyste...

Raz dziennie miejski zaklinacz szczurów, właściwie jeszcze chłopiec, gra na flecie, a szczury tańczą (najbardziej lubią conge — latynoski taniec węża). To jest bardzo popularne. W niektóre dni mały stepujący szczur organizuje wielkie imprezy baletowe; wtedy ubrane w cekiny szczury wykonują skomplikowane układy taneczne, wykorzystując nawet fontannę.

Organizowane są wykłady na temat podatku szczurzego i jak cały system działa, i o szczurzym mieście, które znajduje się pod miastem ludzi. O tym, że szczury mogą za darmo korzystać z biblioteki, a nawet czasami wysyłają swoje młode do szkoły. I wszyscy powtarzają: znakomite, świetnie zorganizowane, jakie to zadziwiające!

A po powrocie do swoich miast ludzie znowu zaczynają ustawiać pułapki i wykladać trutkę, bo większości umysłów nie ocioszesz w nowy kształt nawet toporkiem. Ale niektórzy ludzie widzą, że świat można zmienić na lepsze.

To nie jest ideał, ale działa. A z opowieściami jest tak, że to ty musisz wybrać te, które będą trwać.

\* \* \*

A gdzieś daleko w dole rzeki całkiem przystojny kot, z kilkoma tylko łysymi łatami, zeskoczył z barki, przemaszerował wzdłuż doku i wkroczył do wielkiego

zamożnego miasta. Przez kilka dni toczył bójki z miejscowymi kotami, poznając ducha miejsca, ale przede wszystkim siedział i patrzył.

Wreszcie zobaczył to, czego szukał. I ruszył za chłopakiem, który wychodził z miasta. Chłopak, jak to bywa w takich historiach, niósł kij, na którym wisiał tłumoczek z wszystkimi jego ziemskimi dobrami. Kot uśmiechnął się do siebie. Ludźmi można kierować, jeśli tylko pozna się ich marzenia.

Przy pierwszym kamieniu milowym chłopak zatrzymał się na odpoczynek. I wtedy kot go zagadnął:

— Cześć, chłopcze wyglądający na głupka! Chciałbyś zostać burmistrzem? Nie, popatrz w dół...

Ponieważ niektóre opowieści się kończą, ale inne stare historie wciąż trwają. A jeśli chcesz być w przodzie, musisz podążać za muzyką.

## Od autora

Przez ostatnie miesiące przeczytałem mnóstwo o szczurach, może nawet za dużo. Większość najprawdziwszych opowieści — przynajmniej ich prawdziwość poświadczali autorzy — była tak nieprawdopodobna, że nie mogłem ich wykorzystać, bo czytelnik na pewno zarzuciłby mi zmyślanie.

Znany jest przypadek ucieczki szczurów z zagrody do walk, przy zastosowaniu takiego samego triku, jaki zastosował Ciemnaopalenizna, by załatwić Jacko. Jeśli w to nie wierzycie, mam na to najbardziej wiarygodnych świadków: Starego Alfa, Jimma i Wuja Boba.

Szczurzy król istnieje naprawdę. Jak powstał, to zagadka; w tej książce Malicia wymienia kilka teorii na ten temat. Doktorowi Jackowi Cohenowi zawdzięczam bardziej współczesną i zasmucającą — jego zdaniem kilka wieków temu jacyś okrutnicy mieli zbyt wiele czasu i wolne ręce.

---

<sup>1</sup> Omastą smaruje się chleb, a jeśli się ją zdejmie, je się chleb bez omasty.

<sup>2</sup> Trudno przełożyć „sir” na język szczurów. Słowo, którego one używają, nie jest słowem, tylko króciutkim pokłonem wskazującym, że w tej właśnie chwili kłaniający się szczur jest gotowy zaakceptować przywództwo tego drugiego, ale tamten nie może tego wykorzystać do jakiejś głupoty.

<sup>3</sup> Szczurza miara. Około 2,5 centymetra.

<sup>4</sup> Szczury znalazły taki sklep w Quirmie i tam właśnie natrafiły na panów Klik. Leżeli na półce z napisem „Zabawki dla kotów” razem z pudełkiem piszczących gumowych szczurków, które ktoś o ogromnej wyobraźni nazwał: pan Pisk. Szczury w ten sposób rozbrajały pułapki, że wsuwały w nie kijem gumowe zabawki, ale pisk, jaki wydawały, gdy pułapka się zatrzaśniała, był zbyt deprymujący. Nikt natomiast nie dbał o to, co działo się z panem Klik.